

Od października 2014 w Top 10
brytyjskich list bestsellerów

ALFIE

kot wielorodzinny



*Podnosząca na duchu,
ciepła i wzruszająca
powieść o kocie,
który zmienia życie ludzi.
Dla fanów Kota Boba.*

Amazon

RACHEL WELLS



ALFIE

kot wielorodzinny

RACHEL WELLS

Przekład
EWA SPIRYDOWICZ



AMER

Redakcja stylistyczna

Dorota Kielczyk

Korekta

Barbara Cywińska

Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcia na okładce

Kot: © Dora Zett/Shutterstock

Drzwi: © Zbigniew Foniok

Tytuł oryginału

Alfie the Doorstep Cat

Copyright © Rachel Wells 2014

Originally published in the English language

by HarperCollins Publishers Ltd.

under the title *Alfie the Doorstep Cat*

All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2015 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5473-9

Warszawa 2015. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63

tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

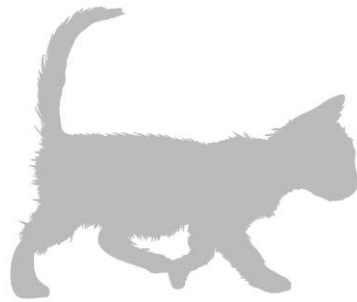
Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

juras@evbox.pl

Ginger, pierwszemu kotu, którego na smyczy wyprowadzałam na spacer i który pozwalał traktować się jak lalka. Odszedłeś dawno, ale nigdy cię nie zapomnimy.

Rozdział 1



Chyba nam długo nie zejdzie z pakowaniem tego wszystkiego – stwierdziła Linda.

– Ale z ciebie optymistka; popatrz tylko, ile rupieci nazbierała twoja mama – odparł Jeremy.

– Ej, to bardzo niesprawiedliwe. Miała sporo ładnej porcelany, część z tego może być coś warta, nigdy nie wiadomo.

Udawałem, że śpię, ale pilnie nadstawiałem uszu, słuchałem tego, co mówią, i starałem się nie ruszać nerwowo ogonem. Leżałem zwinięty na ulubionym fotelu Margaret – a raczej byłym ulubionym fotelu Margaret – i obserwowałem jej córkę i zięcia, jak dyskutują co dalej i decydują o mojej przyszłości. W ostatnie dni panowało straszne zamieszanie. Nie do końca rozumiałem, co się stało. Ale – kiedy się tak przysłuchiwałem, z trudem powstrzymując płacz – jedno zrozumiałem na pewno: życie już nigdy nie będzie takie jak dawniej.

– Akurat. Zresztą powinniśmy wezwać kogoś do sprzątania. Niech się tym wszystkim zajmą. Na Boga, przecież nie chcemy żadnych jej rzeczy.

Usiłowałem na nich zerknąć tak, żeby nie zauważyli. Jeremy był wysoki, siwowłosy i wybuchowy. Nigdy tak naprawdę go nie lubiłem, ale ta kobieta, Linda, zawsze była dla mnie miła.

– Chciałabym jednak zatrzymać kilka drobiazgów mamy. Będzie mi jej brakowało.

Linda zaczęła płakać, chciałem z nią zamiauczeć rozpaczliwie, mimo to trzymałem pyszczek na kłódkę.

– Wiem, kochanie. – Głos Jeremy'ego złagodniał. – Ale nie możemy siedzieć tu bez końca. Teraz, po pogrzebie, musimy wystawić dom na sprzedaż i, no cóż, jeśli wszystko popakujemy, za kilka dni możemy się zbierać.

– To takie ostateczne, choć oczywiście masz rację. – Westchnęła. – No i co z Alfiem? Najeżyłem się. Właśnie na to czekałem. Co ze mną?

– Chyba trzeba go oddać do schroniska.

Sierść stanęła mi dęba.

– Do schroniska? Ale przecież mama bardzo go kochała. To byłoby okrutne tak się go pozbyć.

Żałowałem, że nie mogę głośno się z nią zgodzić: tak, to by było okrutne.

– Wiesz przecież, że nie możemy go zabrać do domu, skarbie. Już mamy dwa psy. I jeszcze do tego kot? To nie jest dobry pomysł, chyba rozumiesz.

Byłem oburzony. To nie tak, że za wszelką cenę chciałem z nimi jechać, ale absolutnie nie

mogłem trafić do schroniska.

Schronisko. Wzdrygnąłem się na samą myśl; co za niewłaściwe słowo dla miejsca, które w naszej kociej społeczności uważamy za obóz śmierci. Owszem, zdarzają się koci szczęściarze – ci, co trafiają do nowych domów – ale kto wie, jak później toczą się ich losy? Wszystkie znane mi koty przyznawały jednogłośnie, że schronisko to straszne miejsce. A jeśli nikt cię nie przygarnie, to już niemal jak wyrok śmierci. Choć uważałem się za przystojnego kocura ze swoistym wdziękiem, nie zamierzałem tak ryzykować.

– Jasne, masz rację, psy pożarłyby go żywcem. A w dzisiejszych czasach schroniska są bardzo porządne, pewnie szybko znajdą mu nowy dom – urwała, jakby nad czymś myślała. – Tak, tak musi być. Rano zadzwonię do schroniska i do firmy sprzątającej. A potem sprowadzimy agenta nieruchomości – oznajmiła z większym przekonaniem.

Już wiedziałem, że mój los został przypieczętowany, chyba że wezmę go we własne łapy.

– Wreszcie mówisz rozsądnie, Lindo. Rozumiem, że ci ciężko, ale twoja mama była już bardzo stara i, szczerze mówiąc, jej śmierć raczej tak bardzo cię nie zaskoczyła.

– Owszem, ale to niczego nie ułatwia.

Zakryłem uszy łapkami. Myśli kłębiły się w mojej małej głowie. W ciągu ostatnich dwóch tygodni straciłem swoją panią, jedynego człowieka, którego naprawdę znałem. Moje życie wywróciło się do góry nogami, miałem złamane serce, a teraz jeszcze wszystko wskazywało na to, że zostałem bez dachu nad głową. I co, u licha, taki kot ma zrobić?

Byłem, jak to się mówi, kanapowcem. Nie odczuwałem potrzeby, żeby polować całymi nocami, włóczyć się i utrzymywać więzi z innymi kotami, skoro miałem do dyspozycji miękką kanapę, wygodę, jedzenie. Miałem też towarzystwo: rodzinę. A potem to wszystko mi odebrano, boleśnie łamiąc moje kocie serce. Po raz pierwszy byłem sam jak palec.

Niemal całe życie spędziłem w tym małym szeregowcu razem ze swoją właścicielką Margaret. Mieszkała tu ze mną też moja przyszywana kocia siostra, choć biorąc pod uwagę wiek, to raczej przyszywana kocia ciotka, bo była ode mnie dużo starsza. Kiedy rok temu Agnes poszła do kociego nieba, czułem straszny ból. Nie sądziłem, że można tak cierpieć. Ale miałem Margaret, bardzo mnie kochała, wzajemnie się pocieszailiśmy po stracie Agnes. Oboje ją uwielbialiśmy i niesamowicie nam jej brakowało, to cierpienie jeszcze bardziej nas jednoczyło.

Jednak ostatnio przekonałem się, jak okrutny bywa los. Pewnego dnia przed dwoma tygodniami Margaret nie wstała z łóżka. Nie miałem pojęcia, co się stało ani co robić, jak to kot, więc tylko położyłem się przy niej i miauczałem na całe gardło. Na szczęście akurat tego dnia miała przyjść pielęgniarka, która raz na tydzień zaglądała do Margaret, więc kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, oderwałem się od swojej pani i wyskoczyłem przez kocie drzwiczki na zewnątrz.

– Ojej, co się stało? – zapytała kobieta, gdy rozpaczliwie miauczałem co sił w płucach. Znów zadzwoniła, wtedy trąciłem ją łapką. Delikatnie, ale stanowczo dałem jej do zrozumienia, że coś jest nie tak. Pielęgniarka otworzyła drzwi zapasowym kluczem i zobaczyła bezwładną Margaret. Zostałem przy swojej pani – już wiedziałem, że ją straciłem. Pielęgniarka w tym czasie do kogoś dzwoniła. Potem zjawili się jacyś mężczyźni po Margaret. Miauczałem bezustannie. Nie pozwolili mi z nią iść i właśnie wtedy zrozumiałem, że moje życie, takie jakie znałem do tej pory, skończyło się. Wezwano rodzinę Margaret, a ja miauczałem tak długo, aż ochryłem.

Jeremy i Linda rozmawiali dalej, cichutko zeskoczyłem z fotela i wyszedłem na dwór. Rozglądałem się po okolicy w poszukiwaniu znajomych kotów, żeby się poradzić, ale w porze podwieczorku mało kto biegał na dworze. Znałem jednak przemiłą starszą kotkę Mavis, która mieszkała przy naszej ulicy, poszedłem do niej. Usiadłem przy jej kocich drzwiczkach i zamiauczałem głośno. Wiedziała, że Margaret nie żyje; widziała, jak zabierali jej ciało, a potem

była świadkiem mojej rozpaczki. Miała instynkt macierzyński, trochę jak Agnes, więc opiekowała się mną, pozwałała mi miauczeć i piszczeć, aż zachryłem. Towarzyszyła mi, dzieliła się jedzeniem i mlekiem, dopóki nie pojawili się Linda i Jeremy.

Jak tylko usłyszała moje nawoływania, wyszła na dwór, a ja jej wszystko opowiedziałem.

– Więc nie mogą cię zabrać? – Przyglądała mi się smutnym wzrokiem.

– Nie, mówią, że mają psy. Zresztą ja sam nie mam wielkiej ochoty mieszkać z psami. –

Oboje wzdrygnęliśmy się na tę myśl.

– A kto by miał? – zapytała.

– Nie wiem, co robić – poskarżyłem się; bardzo starałem się nie płakać.

Mavis przytuliła się do mnie. Do niedawna właściwie się nie przyjaźniliśmy, ale otoczyła mnie niesamowitą opieką, więc byłem jej bardzo wdzięczny za tę przyjaźń.

– Alfie, nie pozwól, żeby zabrali cię do schroniska. Zająłabym się tobą, ale nie dam rady.

Jestem już stara i zmęczona, a moja pani ma niewiele mniej lat niż Margaret. Musisz być dzielnym kotkiem i znaleźć sobie nową rodzinę. – Czule otarła się o mój kark.

– Tylko jak to zrobić? – zapytałem. W życiu nie byłem równie zagubiony i przerażony.

– Nie znam na to odpowiedzi, życie jest takie niepewne, zresztą sam się przekonałeś.

Musisz być silny.

Potarliśmy się nosami, już wiedziałem, że muszę odejść. Po raz ostatni poszedłem do domu Margaret, żeby wszystko zapamiętać, zanim wyruszę w drogę. Chciałem, żeby ten obraz głęboko zapadł mi w pamięć i tam został, gdy udam się na wędrowną. Liczyłem, że doda mi sił. Patrzyłem na drobiazgi Margaret, jej skarby, jak sama je nazywała. Patrzyłem na zdjęcia na ścianach, które znałem tak dobrze. Na dywan, który sam wydrapałem w kilku miejscach, gdy jeszcze byłem za młodziutki, żeby wiedzieć, że tak nie można. To był mój dom, a teraz koniec. Nie miałem pojęcia, co dalej.

Choć nie byłem głodny, zmusiłem się, żeby zjeść część tego, co przygotowała mi Linda – właściwie nie miałem pojęcia, kiedy dostanę następny posiłek – a potem po raz ostatni smętnie rozejrzałem się po domu, który do niedawna był mój, zawsze dawał mi ciepło i bezpieczeństwo. Myślałem o tym, czego się tu nauczyłem. W ciągu minionych czterech lat odebrałem lekcje miłości i straty. Dawniej ktoś się mną opiekował, ale już nie teraz. Przypomniałem sobie, jak trafiłem tutaj jako mały kociak. Agnes mnie nie lubiła, widziała we mnie zagrożenie. Ale zdobyłem jej serce. A Margaret traktowała nas jak najważniejsze koty na świecie. Myślałem o tym, ile miałem szczęścia, ale teraz to się skończyło. Oplakiwałem jedyne znane mi życie. Instynktownie czułem, że muszę przetrwać, choć nie miałem pojęcia, jak tego dokonać.

Szykowałem się na podróż w nieznane.

Rozdział 2



Choć serce mi się kroilo, nie było innego wyjścia: wyruszyłem z jedyne go domu, jaki kiedykolwiek miałem. Nie wiedziałem, dokąd idę, jak sobie poradzę; wiedziałem tylko, że jestem zdany na własne siły, ale nawet moje ograniczone możliwości są lepsze niż schronisko. Taki kot jak ja musi mieć dom i miłość. Kiedy wychodziłem w ciemną noc, całe moje małe ciało drżało ze strachu, ale usiłowałem znaleźć w sobie odwagę. Mało wiedziałem, ale jedno było jasne – nigdy więcej nie chciałem być sam. Rozpaczliwie potrzebuję nowej kanapy, a najlepiej kilku kanap, na których mógłbym przesiadywać. Liczyłem, że ten cel doda mi śmiałości. Liczyłem, że dam radę, modliłem się o to.

Zdałem się na zmysły. Nie przywykłem włóczyć się po ulicach w nieprzyjemne, niebezpieczne noce, ale widziałem i słyszałem dobrze. Poza tym cały czas powtarzałem sobie, że wszystko się ułoży. Miałem nadzieję, że usłyszę głosy Margaret i Agnes, że dodadzą mi otuchy.

Pierwsza noc była bardzo ciężka – długa i straszna. W pewnej chwili, gdy księżyc już zniknął, zobaczyłem szopę na tyłach czyjś ogródka. Całe szczęście, bo bolały mnie już łapy i padałem ze zmęczenia. Przez uchylone drzwi zajrzałem do środka: pełno tam było kurzu i pajęczyn, ale totalnie wyczerpany już nie zwracałem na to większej uwagi. Zwinąłem się w kłębek na twardej, brudnej podłodze i jakimś cudem udało mi się zasnąć.

W nocy obudziło mnie głośne miauknięcie. Zobaczyłem nad sobą wielkiego czarnego kota. Przerażony poderwałem się na cztery łapy. Przyglądał mi się gniewnie, a ja – choć łapy mi się trzęsły – usiłowałem nie dać się zastraszyć.

– Co tu robisz? – syknął groźnie.

– Chciałem się zdrzemnąć. – Na próżno siliłem się na pewność siebie. Nie miałem szansy przemknąć się chyłkiem obok niego, więc, nadal cały rozdygotany, zrobiłem gniewną minę.

Kocur uśmiechnął się złowrogo. Już dawałem dyla, ale wyciągnął łapę i zdzielił mnie w ucho.

Zapisałbym, poczułem ból tam, gdzie mnie zadrapał, najchętniej zwinąłbym się w kłębek, ale musiałem przecież uciec przed tym potworem. Znowu mnie zaatakował z błyskiem pazurów, tym razem celował w pyszczek, ale na szczęście byłem od niego zwinniejszy. Skoczyłem w stronę drzwi, minąłem go – choć o mały włos, bo musnąłem jego szorstkie futro – i udało mi się wyskoczyć na zewnątrz. Odwrócił się i syknął gniewnie. Prychnąłem w odpowiedzi, potem popędziłem co sił w małych łapkach. Po chwili zatrzymałem się bez tchu, obejrzałem za siebie i zobaczyłem, że jestem sam. Po raz pierwszy posmakowałem niebezpieczeństwa i zdałem sobie sprawę, że muszę wyhodować twardsze futro, jeśli mam przetrwać. Wygładziłem sierść

łapką, starałem się nie zwracać uwagi na bolące zadrapanie. Przekonałem się, że jak trzeba, potrafię być szybki, a taka umiejętność może się przydać w tarapatkach. Szedłem i popiskiwałem cicho; bałem się, ale strach dodawał mi też sił. Patrzyłem w nocne niebo, w gwiazdy, i po raz kolejny zastanawiałem się, czy Agnes i Margaret mnie widzą, gdziekolwiek teraz są. Miałem nadzieję, że widzą, ale czy na pewno? Tego nie wiedziałem. W ogóle bardzo mało wiedziałem.

Kiedy się znowu zatrzymałem, było mi bardzo zimno i kiszki grały mi marsza. Zazwyczaj całymi dniami przesiadywałem przy kominku Margaret, a teraz to wszystko było dla mnie nowe. Stwierdziłem, że jeśli chcę jeść, muszę polować, a w tym nie byłem szczególnie dobry, wcześniej rzadko polowałem. Zdałem się na węż; wkrótce trafiłem na myszy przy pojemnikach na śmieci przed wielkim domem. Czułem niesmak – zazwyczaj jadałem karmę z puszki, a na szczególne okazje Margaret dawała mi surową rybę – mimo to zapędziłem jedną mysz w kąt i zabiłem.

Smakowała prawie wyśmienicie – bo chyba po raz pierwszy zaspokajałem prawdziwy głód – i dodała mi niezbędnej energii.

Wędrowałem całą noc, w kółko powtarzałem sobie, że ja to nadal ja, Alfie, psotny kotek. Przez chwilę nawet uganiałem się za własnym ogonem i usiłowałem złapać muchę, póki sobie nie przypomniałem, że trzeba oszczędzać siły, bo nie wiadomo, gdzie i kiedy przydarzy się następny posiłek.

Nadal nie miałem pojęcia, dokąd zmierzam. W końcu doszedłem do wielkiej ulicy i zdałem sobie sprawę, że muszę przejść na drugą stronę. Nie przywykłem do ulic i samochodów; kiedy jeszcze byłem całkiem małym kociakiem, Margaret powtarzała mi, że mam się trzymać z dala od ruchu ulicznego. Było bardzo głośno i strasznie, samochody śmigają co chwila. Stałem na chodniku, serce tłukło mi się jak szalone; po chwili zobaczyłem lukę w sznurze pojazdów. Mało brakowało, a zamknąłbym oczy i rzucił się na oślep, ale udało mi się zapanować nad sobą, zanim zrobiłem coś głupiego. Lękliwie postawiłem jedną łapkę na jezdni – czułem w niej wibracje nadjeżdżających samochodów. Rozległ się klakson, spojrzałem w lewo i zobaczyłem zbliżające się do mnie reflektory. Wystartowałem, biegłem tak szybko, jak nigdy przedtem. Z przerażeniem poczułem, jak coś ociera mi się o ogon. Z dzikim piskiem skoczyłem jak najdalej, aż wylądowałem na chodniku. Z rozszalałym sercem obejrzałem się za siebie – samochód tylko śmignął. Mało brakowało, a skończyłbym pod jego kołami. Ciekawe, czy właśnie zużyłem jedno z moich dziewięciu żyć – pewnie tak. W końcu oddech mi się uspokoił i znowu strach dodawał mi sił. Na roztrzęsionych łapach odszedłem dalej od ulicy i padłem jak długi przed czyjąś furtką.

Kilka minut później drzwi otworzyły się i z domu wyszła jakaś pani. Z psem na smyczy. Pies rzucił się na mnie z wściekłym ujadaniem i po raz kolejny musiałem uciekać przed niebezpieczeństwem. Kobieta szarpnęła za smycz i nakrzyczała na swojego pupila. Warknął na mnie. Syknąłem w odpowiedzi.

Bardzo szybko się przekonałem, że świat to groźne, niebezpieczne miejsce, oddalone o całe lata od mojego domu, Agnes i Margaret. Zacząłem się nawet zastanawiać, czy jednak schronisko nie byłoby lepsze.

Ale nie miałem już odwrotu. W ogóle się nie orientowałem, gdzie jestem. Wyruszałem przecież w nieznaną. Nie wykluczałem, że będę musiał trochę powędrować, ale w głębi serca liczyłem, że bardzo szybko znajdzie mnie i przygarnie jakaś miła rodzina, może ze słodką dziewczynką? I kiedy dzień w dzień stawiałem czoło niebezpieczeństwu, kiedy uciekałem co sił w łapach albo słałem się z głodu, pielęgnowałem tę wizję.

Byłem zdezorientowany, spragniony i zmęczony. Napięcie, które do tej pory dodawało mi sił, ulatniało się, jej miejsce zajmowała ociężałość w całym ciele.

Skręciłem w ślepy zaułek, wskoczyłem na ogrodzenie i balansując jak baletnica, szedłem w miarę bezpiecznie, zaglądając do ogródków. To pochłaniało resztki mojej energii. Zobaczyłem

ogród z dużą misą wody na podeście; Margaret miała coś takiego jako poidło dla ptaków. Wskoczyłem do ogrodu i wdrapałem się po słupie, tak spragniony, że wspiąłem się na najwyższą górę, żeby tylko się napić. Piłem łapczywie, wdzięczny za chwilową ulgę. Odpędziłem jakieś ptaki – teraz to moja woda. Kiedy już wychłęptałem prawie wszystko, wróciłem na płot i znów wędrowałem, coraz dalej od mojego dawnego życia.

Noc minęła, na szczęście, bez przygód. Po drodze spotykałem inne koty, ale nie zwracały na mnie uwagi, zbyt pochłonięte kocimi romansami.

Większość rzeczy o swoich pobratymcach wiedziałem od Agnes, która, kiedy się poznaliśmy, już prawie nie mogła się ruszać. Słyszałem też co nieco od innych kotów na naszej ulicy – w większości bardzo przyjaznych. Zwłaszcza od Mavis, która okazała mi tyle dobroci. Chciałem podejść do tych obcych kotów i poprosić o pomoc, ale wydawały się bardzo zajęte swoimi sprawami, a mnie tak przeraziło spotkanie z czarnym kocurem, że cichutko podreptałem dalej.

Następnego ranka czułem, że pokonałem kawał drogi. Byłem głodny, starałem się więc wyglądać bardzo przyjaźnie w nadziei, że jakiś kot podzieli się ze mną swoim jedzeniem. Natknąłem się na kotkę, która wygrzewała się w słońcu przed domem z jasnoczerwonymi drzwiami. Podeszedłem do niej nieśmiało i zamruczałem.

– Ojejku – odezwała się dość duża szylkretowa^[1] kocica. – Kiepsko wyglądasz.

Już miałem się obrazić, ale przypomniałem sobie, że odkąd opuściłem dom Margaret, właściwie się nie myłem, a to dlatego, że całą moją energię pochłaniała walka o jedzenie i przetrwanie.

– Jestem głodny i bezdomny – zamiauczałem.

– Chodź, podzielę się z tobą śniadaniem – zaproponowała. – Ale potem musisz iść dalej.

Moja pani niedługo wróci i nie będzie zadowolona, jak zobaczy w domu dzikiego kota.

Nagle do mnie dotarło, że jestem dzikim kotem. Bez domu, bez rodziny, bez opieki. Należałem do tych kocich nieszczęśników, którzy muszą sami o siebie zadbać, są wiecznie przestraszeni, głodni, zmęczeni. Wiecznie spłoszeni, wiecznie zaniedbani. Trafiłem w ich szeregi i to mnie przerażało.

Pełen wdzięczności pojadałem, popiłem i poszedłem dalej. Przedtem jednak wylewnie podziękowałem dobrej kotce. Nie wiedziałem nawet, jak ma na imię.

Mój stan psychiczny odzwierciedlał to, jak się czułem fizycznie. Rozpacz była częścią mnie, sprawiała mi ból, bo całym sobą tęskniłem za Margaret. Ale znalazłem w życiu miłości – od mojej pani i od kociej siostry – i ze względu na nie, na ich miłość nie mogłem się poddawać.

Teraz, z pełnym brzuchem, czułem, że mam dość energii, żeby sprostać temu wyzwaniu.

Rozdział 3



Minęło kilka dni i coraz większa odległość dzieliła mnie od starego domu i miejsca, do którego – przynajmniej w marzeniach – zmierzałem. Poznawałem różne koty, także groźne, i mnóstwo wrednych psów, które zawzięcie mnie oszczekiwały, ale na szczęście nie mogły dopaść. Cały czas uważałem dosłownie na każdy krok, gdy uciekałem, pryskałem i zwiewałem, czułem, jak z każdą chwilą tracę energię. Nauczyłem się walczyć o swoje, gdy zaszła taka potrzeba; choć agresja nie leży w mojej naturze, wyglądało na to, że instynkt przetrwania jest ponad wszystko. W miarę jak wymykałem się psom, kotom i samochodom, nabierałem coraz więcej ulicznej mądrości.

Tak czy siak, z dnia na dzień stawałem się coraz chudszy; moje dawniej lśniące futerko zmatowiało, byłem wiecznie głodny i zmęczony. Sam się dziwiłem, jakim cudem żyję. Nigdy nie przypuszczałem, że życie może tak wyglądać. Ledwie zasnąłem, dręczyły mnie koszmary, a gdy się budziłem i przypominałem sobie swoje położenie, zaczynałem płakać. To był bardzo ciężki okres i chwilami chciałem, żeby wszystko się już skończyło. Nie wiedziałem, jak długo jeszcze wytrzymam.

To życie nauczyło mnie, że ulica jest czasami brutalna i okrutna. Złe doświadczenia wyciskały piętno na moim ciele i umyśle. Chwilami było mi tak ciężko, że nie miałem siły zrobić kolejnego kroku.

Pogoda przypominała mój nastrój: deszcz, zimnica. Cały drżałem, bo futerko chyba nigdy nie schło mi do końca. Byłem bezdomny już dość długo, szukałem szczęśliwej przyszłości, ale kochająca rodzina – z małą dziewczynką – nie zjawiała się na horyzoncie. Nikt nie spieszył mi na ratunek i zaświtała mi myśl, że może nigdy nie pospieszy. Przyznaję, żal mi było siebie, choć to i tak mało powiedziane.

Kolejny raz doszedłem do jezdni. Ulice nadal wzbudzały we mnie strach; co prawda przechodziłem przez nie coraz pewniej, ale i tak, ilekroć zestawiałem łapę z chodnika, czułem, że ryzykuję życie. Nauczyłem się, że nie warto się spieszyć, choćby nawet trzeba było długo czekać. Siedziałem więc i wodziłem głową to w jedną, to w drugą stronę, aż dostrzegłem przerwę w sznurze aut, dawała mi dość czasu, żeby przejść na drugą stronę. Mimo to puściłem się biegiem i zdyszany wskoczyłem na chodnik. Niestety, tak koncentrowałem się na samochodach, że nie zwróciłem uwagi na małego, grubego psa po drugiej stronie chodnika.

Zasadził się na mnie, warczał, szczyrzył kły, aż mu ślina kapiała z pyska. Najgorsze, że nigdzie nie widziałem ani smyczy, ani właściciela.

– Sss – syknąłem w nadziei, że go przestraszę, choć sam umierałem z przerażenia. Był bardzo blisko, czułem jego zapach. Zaszczekał i nagle zaatakował. Mimo zmęczenia odskoczyłem i puściłem się pędem, ale cały czas czułem jego oddech na ogonie. Przyspieszyłem, zerknąłem za siebie – był tuż-tuż, deptał mi po pętach. Jak na takiego grubasa szybko biegał. Cały czas ujadał wściekle. Skręciłem – i znalazłem się w ślepym zaułku. Zawróciłem, znów pognałem co sił w łapach. Po, jak mi się zdawało, kilku kilometrach odważyłem się zerknąć do tyłu, bo nie słyszałem szczekania; na szczęście pies zniknął. Udało mi się uciec.

Serce waliło mi jak szalone, zwolniłem, rozejrzałem się dokoła. Byłem w alejce między ogródkami, w których ludzie uprawiają warzywa. Ponieważ ciągle padało, widziałem tylko kilka osób. Padałem ze zmęczenia, ale wierzyłem, że wkrótce znajdę schronienie.

Na jednej z działek wypatrzyłem komórkę z uchylonymi drzwiami. Byłem zbyt znużony, żeby się martwić, co może kryć się w środku. Trąciłem drzwi pyszczkiem. Przemarznięty i wyczerpany, ledwo żyłem. Obawiałem się, że jeśli zaraz nie wyschnę, to już koniec.

Wślizgnąłem się do komórki; z radością zauważyłem w rogu stary koc. Śmierdział stęchlizną i był dość szorstki; cóż, to z pewnością nie luksus, do jakiego dawniej przywykłem, ale w tej chwili wydawał mi się największym skarbem. Zwinąłem się w kłębek; liczyłem na to, że wytrę przemoczone futerko. Choć umierałem z głodu, nie miałem siły, żeby w tę pogodę iść na polowanie.

Słyszałem, jak deszcz bębni o dach, gdy płakałem sobie cichutko. Dopiero teraz widziałem, jak bardzo byłem rozpuszczony. Myślałem o tych wszystkich cudownych rzeczach, które w dawnych czasach z Margaret przyjmowałem jako coś oczywistego; było ich bardzo, bardzo dużo. Wiedziałem, że ktoś mnie nakarmi, ogrzeje, pogłaszcze. W chłodne dni przesiadywałem przy kominku w saloniku. W słoneczne – wygrzewałem się w oknie. Margaret rozpieszczała mnie do granic możliwości. Zabawne, że dopiero gdy to się skończyło, doceniałem, jak dużo miałem szczęścia.

A teraz? Na co mi przyszło? Kiedy Mavis radziła, żebym uciekł, nie przypuszczałem, że tak to będzie wyglądać. Nie przyszło mi do głowy, że wyląduję w ciasnej komórce, całkowicie wyczerpany. Czy moja podróż dobiegnie końca właśnie tu, na kocu śmierdzącym stęchlizną? Czy taki los jest mi pisany? Oby nie, choć nie widziałem innego wyjścia. Jasne, że się nad sobą rozczulałem, ale nie mogłem nad tym zapanować. Tak bardzo tęskniłem za dawnym życiem i miałem już dosyć niepewności swojego losu.

Chyba przysnąłem, bo obudziło mnie baczne spojrzenie. Zamrugąłem. Naprzeciwko mnie stała kocica, czarna jak noc, o błyszczących żółtych ślepiach.

– Nie mam złych zamiarów – zastrzegłem od razu i pomyślałem sobie, że jeśli zechce walczyć, poddam się natychmiast.

– Właśnie coś mi się wydawało, że czuję kota. Co tu robisz? – zapytała nieznajoma. Bez agresji.

– Chciałem odpocząć. Gonił mnie pies i tak tu trafiłem. Było ciepło i sucho, i...

– Jesteś kotem ulicznym?

– Właściwie nie, ale chwilowo tak – odparłem ponuro.

Wyprężyła grzbiet.

– Posłuchaj, to mój teren. Ja jestem kotem ulicznym i bardzo mi się to podoba. Sama decyduję, co będę jeść: myszy, ptaki czy co tam jeszcze. W każdym razie to moja działka. Tylko się upewniam, czy nie chcesz jej przypadkiem zagarnąć.

– Ależ skąd! – oburzyłem się. – Po prostu musiałem schronić się przed deszczem.

– Z czasem do niego przywykniesz – odrzekła.

Zamierzałem dodać: oby nie, ale bałem się, że ją urażę. Wstałem i podszedłem do niej powoli.

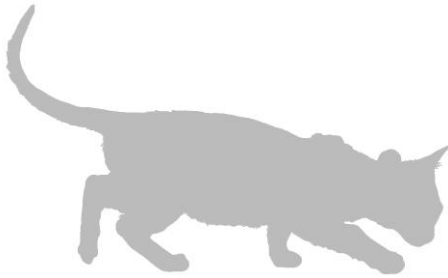
– Czy z czasem jest łatwiej? – zapytałem. Nie wierzyłem własnym uszom. Czy tak naprawdę ma wyglądać moja przyszłość?

– Nie wiem, ale można się przyzwyczaić. – Ślepią jej pociemniały. – Dobra, chodź ze mną na polowanie, pokażę ci, gdzie można się napić, ale rano sobie pójdiesz, jasne?

Oczywiście, zgodziłem się.

Najadłem się i napiłem, ale wcale nie poczułem się lepiej. Kiedy nowa znajoma sobie poszła, znowu zwinąłem się w kłębek na kocu. Modliłem się o cud, bo przy tym, jak się sprawy miały, czułem, że nie wyjdę z tego z życiem.

Rozdział 4



Następnego ranka, choć w fatalnym nastroju, zgodnie z umową, wyruszyłem w drogę. Raz czułem się lepiej, raz gorzej; jednego dnia wydawało mi się, że nie dam rady, wykańczała mnie pogoda, głód i samotność, następnego zmuszałem się jednak, żeby iść dalej. Znowu powtarzałem sobie, że ze względu na Margaret i Agnes nie mogę się poddać. Balansowałem między poczuciem beznadziei a determinacją, żeby wytrwać.

Radziłem sobie coraz lepiej. Jeśli chodzi o jedzenie i picie, stałem się bardziej samowystarczalny. Ba, stopniowo przyzwyczajałem się do pogody, mimo że nadal nie znosiłem deszczu. Polowałem coraz skuteczniej, choć wcale mi się to nie podobało, nauczyłem się jednak, jak być twardszy. Ale wciąż nie byłem tak wytrzymały, jak powinienem. Jeszcze nie.

Pewnej nocy, gdy dopisywał mi trochę lepszy humor, natknąłem się na grupkę ludzi. Siedzieli w wielkiej bramie, wokół nich leżało mnóstwo kartonów i bardzo śmierdziało. Wszyscy trzymali butelki w dłoniach, a niektórzy mieli na twarzach prawie tyle samo sierści co ja.

– Kot – wybełkotał jeden z tych włochatych i upił łyk.

Pomachał w moją stronę flaszką, aż dotarł do mnie jej zapach. Od smrodu aż odskoczyłem. Parsknęli śmiechem, gdy wycofywałem się ostrożnie, choć sam nie wiedziałem, jakie i czy w ogóle grozi mi niebezpieczeństwo. Ten, który mnie pierwszy zauważył, rzucił we mnie butelką. Uchyliłem się, ale w ostatniej chwili; szkło roztrzaskało się tuż koło mnie.

– Byłaby z niego fajna ciepła czapka – powiedział inny ze śmiechem, chyba groźnym, stwierdziłem. Wycofywałem się kilka kroków.

– Nie mamy nic do jedzenia. Uciekaj – rzucił niegrzecznie trzeci.

– Moglibyśmy obdrzeć go ze skóry i zrobić z niej czapkę, a jego ugotować – zaproponował czwarty z rechem.

Wytrzeszczyłem oczy ze strachu i odsunąłem się jeszcze dalej. Nagle, nie wiadomo skąd, zjawił się kot.

– Chodź ze mną – syknął.

Pobiegłem za nim ulicą. Na szczęście, gdy już nie miałem sił, się zatrzymał.

– Kto to był? – wysapałem.

– Miejscowe żule. Nie mają domów. Trzymaj się od nich z daleka.

– Też nie mam domu – wychlipałem. Znowu chciało mi się płakać.

– Przykro mi. Ale i tak nie wchodź im w drogę. Nie są zbyt mili.

– Co to są żule? – zainteresowałem się. Znowu uświadomiłem sobie, że nie mam pojęcia o świecie.

– Tacy bezdomni. Głównie piją. I nie mleko ani wodę. Tylko coś, co ich zmienia. Chodź

ze mną. Załatwię ci trochę zarcia i mleka i prześpisz się w bezpiecznym miejscu.

– Bardzo ci dziękuję – wymruczałem.

– Byłem w twojej skórze; przez jakiś czas nie miałem domu – wyjaśnił i ruszył przodem. Łapą dał mi znak, żebym poszedł za nim.

Nazywał się Cukierek. Według niego to głupie imię dla kota, ale takie dostał, bo według jego młodego pana jest „słodki jak cukierek”, cokolwiek to znaczy. Weszliśmy do ciemnego domu, odetchnąłem z ulgą. W końcu ciepło i bezpiecznie. Znów pomyślałem, że muszę jak najszybciej znaleźć nowy dom. Opowiedziałem Cukierkowi swoją historię.

– Bardzo smutne – stwierdził. – Ale, tak jak ja, na własnej skórze przekonałeś się, że jeden właściciel to czasami za mało. I dlatego niekiedy odwiedzam inny dom przy tej ulicy.

– Tak? – Zaintrygował mnie.

– Uważam się za kota dochodzącego – odparł.

– Jak to? – Byłem naprawdę ciekaw.

– No cóż, przez większość czasu mieszkasz w jednym miejscu, ale jednocześnie odwiedzasz inne domy i miauczysz tak długo, aż cię wpuszczą. Nie zawsze się udaje, ale mam już drugi dom i choć nie mieszkam tam na stałe, gdyby coś poszło nie tak, nie zostanę bez dachu nad głową.

Wypytywałem go o szczegóły, więc tłumaczył chętnie, że kot dochodzący kilka razy dziennie dostaje jeść, w każdym ze swoich domów, cieszy się dużą ilością pieszczot i ogólnie prowadzi bezpieczny żywot.

Cukierek, tak jak ja, nienawidził życia na ulicy; w przeciwieństwie do mnie jednak, jego uratowało dziecko, choć twierdził, że to zaaranżował. Kiedy zobaczył swoją nową rodzinę, starał się wyglądać bezradnie i nieszczęśliwie, liczył na to, że się zlitują i go przygarną.

– Czyli po prostu wyglądałeś na wygłodzonego i umęczonego? – Ciekawie nastawiłem uszu.

– O to akurat nie musiałem się tak bardzo starać. Ale wiesz, miałem szczęście, potrzebowałem pomocy i ktoś mi jej udzielił. Teraz, jak chcesz, ja pomogę tobie.

– Super, dzięki – mruknąłem.

Pozwolił mi przespać się razem z nim w jego koszyku. Gadaliśmy do późnej nocy. Niedługo pospałem, bo wiedziałem, że rano muszę zniknąć, zanim obudzą się właściciele Cukierka, ale po raz pierwszy, odkąd wyruszyłem w drogę, poczułem się w miarę bezpieczny. W mojej głowie powoli powstawał plan: będę wspaniałym kotem dochodzącym.

Rozdział 5



Następnego dnia z samego rana opuściłem dom Cukierka. Szkoda mi było wychodzić po miłej, bezpiecznej nocy, ale przynajmniej poradził mi, gdzie się kierować, wskazał, gdzie znajdują się lepsze ulice w tej okolicy. Powiedział, żeby iść na zachód, w stronę dzielnicy zamieszkaną głównie przez rodziny z dziećmi, i wędrować, póki nie trafię na ulicę, która wyda mi się odpowiednia. Miałem zdać się na instynkt. Cukierek twierdził, że kiedy już tam trafię, będę to wiedział. Wyspany i najedzony ruszyłem w drogę. Uznałem, że teraz najważniejsze to zdać się na węch i unikać niebezpieczeństw.

Nabrałem optymizmu, ale spotkanie z Cukierkiem nie zmieniło mojego życia od razu. Nadal musiałem mieć oczy dokoła głowy, nadal byłem zmęczony i głodny, nadal musiałem iść dalej, choć łapy uginały mi się ze zmęczenia, a przemoczone futerko kleiło się do ciała. Przeżyłem, ale to trudne i męczące. Powtarzałem sobie jednak, że koniec końców cel jest tego warty.

I pewnego dnia trafiłem na cudowną ulicę. Tak jak mówił Cukierek, od razu zrozumiałem, że tutaj znajdę to, czego potrzebuję. Nie wiem dlaczego, po prostu wiedziałem, czułem w sercu, że tu jest moje miejsce. Usiadłem pod tabliczką z napisem „Edgar Road” i oblizałem pyszczek. Po raz pierwszy, odkąd odszedłem z domu Margaret, wstąpiła we mnie nadzieja granicząca z pewnością, że wszystko się ułoży.

Edgar Road od razu przypadła mi do gustu. To długa ulica z najróżniejszymi domami. Widziałem starodawne szeregowce i nowoczesne, geometryczne bryły, spore domy wolno stojące i kilka kamienic z wieloma mieszkaniami. Najbardziej cieszyła mnie liczba tabliczek: „Sprzedam” i „Wynajmę”. Cukierek tłumaczył, że te tabliczki znaczą, że wkrótce sprowadzą się w to miejsce nowi ludzie. A moim zdaniem to, czego nowi lokatorzy potrzebują najbardziej, to kot taki jak ja.

W ciągu następnych kilku dni poznałem miejscowe koty. Opowiedziałem im, co zamierzam, i większość chciała mi pomóc. W sumie koty z Edgar Road to fajna paczka. I super, bo zależało mi na dobrym kocim sąsiedztwie w moim nowym domu. Nie licząc paru samców alfa i pewnej kocicy, niemiłej dla wszystkich, reszta okazała się naprawdę w porządku. Dzieliły się ze mną swoim jedzeniem, kiedy potrzebowałem.

Za dnia gawędziłem z nimi i gromadziłem niezbędne informacje. Oglądałem też puste

domy, w oczekiwaniu na rodziny. Nocami polowałem, żeby utrzymać się przy życiu.

Pewnego wieczoru, mniej więcej tydzień po tym, jak zawitałem na Edgar Road, podszedł do mnie wyjątkowo wredny kocur. Akurat siedziałem przed jednym z upatrzonych domów.

– Nie mieszkasz tutaj. Spadaj – syknął.

– Właśnie że zostanę. – Sililem się na odwagę.

Był ode mnie większy, zresztą powiedzmy sobie szczerze, dawno straciłem dobrą formę. Tyle przeszedłem, że nie miałem siły walczyć, ale też nie mogłem się poddać. Nagle moją uwagę przykuł ptak, bardzo nisko na niebie. Kocur skorzystał z okazji i zamierzył się na mnie łapą. Rozerwał mi skórę nad okiem.

Zamiauczałem dziko. Bardzo zabolalo, zaraz też popłynęła krew. Syknąłem wściekle na drania, miał taką minę, jakby chciał mnie ugryźć. Zapamiętałem sobie, żeby na przyszłość uważać na niego.

W sąsiednim domu mieszkała pręgowana kotka, Tygryska. Zakumplowaliśmy się. Teraz zjawiała się nagle, nie wiadomo skąd, i stanęła między mną a kocurem.

– Zjeżdżaj, Bandyto – prychnęła.

Przez moment wydawało się, że Bandyta na nią skoczy, ale po chwili odwrócił się na pięcie i odszedł.

– Krwawisz – powiedziała do mnie.

– Zaskoczył mnie – wyjaśniłem dumnie. – Gdyby nie to, poradziłbym sobie z nim.

Uśmiechnęła się.

– Słuchaj, Alfie, nie wątpię, ale nadal nie jesteś w szczytowej formie. Chodź do mnie, podzielę się z tobą żarciem.

Kiedy za nią szedłem, już wiedziałem, że zostanie moją najlepszą kocią przyjaciółką na naszej ulicy.

– Nie wyglądasz najlepiej – stwierdziła, gdy zajadałem z apetytem.

Staralem się nie traktować tego jak obrazę.

– Wiem – odparłem ze smutkiem.

W sumie miała rację. Kiedy dotarłem na Edgar Road, byłem chudy jak nigdy dotąd. Futerko już dawno mi nie lśniło, dosłownie obrazę i rozpaczy. Do tego doprowadziło mnie życie pod gołym niebem. Nie mam pojęcia, jak długo wędrowałem, ale na pewno sporo czasu. Pogoda zdążyła się zmienić; z każdym dniem robiło się cieplej, noce były coraz jaśniejsze. Tak jakby słońce zbierało się na odwagę, żeby wyrzeć zza chmur.

Zaprzyjaźniłem się z Tygryską i uczyłem się swojej nowej ulicy. Obszedłem ją tyle razy, że znałem ją jak własne futerko. Wiedziałem, gdzie który kot mieszka i z kim warto się zadawać, a z kim nie. Kojarzyłem już, gdzie mieszkają wredne psy, i po kilku ucieczkach nauczyłem się trzymać od nich z daleka. Spacerowałem po wszystkich płotach i murkach Edgar Road. Uczyłem się nowego domu, a raczej – nowych domów.

Rozdział 6



Siedziałem sobie i obserwowałem, jak dwóch potężnych mężczyzn wyładowuje ostatnie meble z wielkiego wozu. Na razie bardzo mi się podobało to, co widziałem: na pierwszy rzut wygodna niebieska kanapa, kilka miękkich puf, duży fotel, chyba antyk, choć za bardzo się na tym nie znam. Oczywiście wytaszczyli jeszcze mnóstwo innych rzeczy: szafy, komodę, całą masę oklejonych pudeł, ale mnie przede wszystkim interesowały miękkie meble.

Z zadowoleniem machnąłem ogonem i poczułem, jak w uśmiechu wąsy wędrują mi w górę. Wszystko wskazywało na to, że po długiej włóczędze znalazłem swój pierwszy dom – Edgar Road 78.

Tragarze zrobili sobie przerwę i sączyli coś z plastikowych butelek, postanowiłem skorzystać z okazji i rozejrzeć się trochę. Choć ciekawość mnie zżerała, jak wyglądają wszystkie pomieszczenia, pierwsze kroki skierowałem na tył domu. Odwiedziłem wszystkie ogródki na tej ulicy, więc zakładałem, że tu też jest kocia klapka, ale wołałem się upewnić. I rzeczywiście, była w drzwiach kuchennych. Mruknąłem dumny ze swojego sprytu i wyszedłem na dwór. Postanowiłem schować się w ogrodzie.

Pouganiałem się trochę za własnym cieniem wśród roślin, potem postanowiłem po raz ostatni wypucować sobie futerko. Już sobie wyobrażałem, jak fajnie będzie znowu być kotem kanapowym. Nie mogłem się doczekać. Tak bardzo mi brakowało kolan do siedzenia, mleka w misce i jedzenia pod dostatkiem. Niby podstawowe rzeczy, ale jak się przekonałem na własnej skórze, niczego nie można przyjmować za pewnik, za coś oczywistego. Nigdy.

Już nie byłem taki głupi. Podczas wędrowki nauczyłem się sporo, widziałem sporo. I już nigdy nie postawię wszystkiego na jedną szalę. Dostałem gorzką nauczkę. Bardzo gorzką. Moi pobratymcy są zbyt ufni, zbyt leniwi, ja jednak wiedziałem, że ani na jedno, ani na drugie nie mogę sobie pozwolić. I choć z całego serca pragnąłem być wiernym kotem z wiernym panem, zdawałem sobie sprawę, że to za duże ryzyko. Nigdy więcej nie chciałem znaleźć się w takiej sytuacji. Nigdy więcej nie chciałem zostać sam.

Czułem, jak futerko staje mi dęba, gdy powróciły wspomnienia minionych koszmarnych tygodni, i zaraz skupiłem się na nowych właścicielach. Oby okazali się równie mili jak ich przytulne meble.

Wędrowałem po domu, zobaczyłem, że niebo ciemnieje, a na dworze robi się coraz zimniej. Intrygowało mnie, dlaczego ktoś wprowadza do nowego domu meble, ale nie siebie; to bez sensu. Zacząłem się trochę niepokoić o właścicieli, których jeszcze nie znałem. Powtarzałem sobie, że trzeba zachować spokój; oblizałem wąsy dla kurażu. Musiałem zaprezentować się z jak najlepszej strony, kiedy staną w progu. Za bardzo się denerwowałem.

Rzecz tym, że zbyt długo byłem bezdomny i miałem już całkowicie dość dotychczasowego życia. Kiedy tak się martwiłem, że znowu zacznę panikować, uchyliły się drzwi wejściowe. Nastawiłem uszy i przeciągnąłem się. Czas poznać moją pierwszą nową rodzinę. Przywołałem na pyszczek swój najbardziej czarujący uśmiech.

– Wiem, mamó, ale nic na to nie poradzę – usłyszałem kobiecy głos. Chwila ciszy, a potem: – Nie mogłam przyjechać wcześniej, bo cholerny samochód zepsuł się po dwóch godzinach i przez ostatnie trzy użerałam się z bardzo wygadany facetem z serwisu, który omal nie doprowadził mnie do szału. – Kolejna pauza. Miała miły głos, choć wydawała się bardzo poruszona. Podszedłem bliżej. – Tak, wszystkie meble już są, a klucze, tak jak prosiłam, wrzuciłam przez otwór na listy. – Milczenie. – Edgar Road to nie getto, mamó, wszystko się ułoży. Zresztą posłuchaj, ledwo co weszłam do nowego domu po makabrycznym dniu, więc umówmy się, że zadzwonię jutro.

Wyszedłem zza rogu i stanąłem oko w oko z kobietą. Wydawała się dość młoda, choć nie za bardzo znam się na wieku ludzi; zauważyłem tylko, że twarzy nie ma tak pomarszczonej jak miała Margaret. Poza tym: wysoka, bardzo szczupła, z niesfornymi ciemnoblonde włosami i niebieskimi oczami. Moje pierwsze wrażenie? Bardzo pozytywne; jej smutne spojrzenie pociągało mnie. Koci instynkt podpowiadał mi, że potrzebuje mnie tak samo, jak ja jej. Podobne jak większość kotów, nie oceniam ludzi po wyglądzie, tylko czytam ich osobowość; zazwyczaj koty po mistrzowsku potrafią rozpoznać, kto jest fajny, a kto zły. Będzie dobrze, pomyślałem bardzo zadowolony.

– A to kto? – zapytała miękko takim głosem, jakiego wiele osób używa, kiedy mówi do dzieci i zwierząt, jakbyśmy byli głupi.

Gdyby nie to, że musiałem ją oczarować, łypnąłbym na nią z pogardą, ale w tej sytuacji uśmiechnąłem się promiennie. Uklękła przy mnie. Zamruczałem, podszedłem powoli, leciutko otarłem się o jej nogi. O tak, kiedy trzeba, potrafisz flirtować.

– Biedactwo, pewnie umierasz z głodu. I masz takie poszarpane futerko. Walczyłeś z innym kotem? – Przemawiała bardzo czule, więc zamruczałem na potwierdzenie. Co prawda ostatnio przeglądałem się tylko w wodzie, ale Tygryska mówiła, że kiepsko wyglądam. Oby tylko to nie zniechęciło mojej nowej pani. Znowu wtuliłem się w jej nogi.

– Ależ z ciebie słodziak. Jak masz na imię? – Spojrzała na srebrne kółeczko przy mojej obroży. – Alfie. No to witaj, Alfie.

Delikatnie wzięła mnie na rękę i pogłaskała. Co za cudowne uczucie po tak długim czasie bezdomności. Między nami powstawała więź, uczyłem się zapachu tej kobiety, przekazywałem jej moją woń. Wtedy przypomniła mi się przeszłość, moje kocięce lata. Zacząłem się odprężyć, o czym ostatnio mogłem tylko pomarzyć. Zamruczałem najładniej, jak umiałem, i wtuliłem się w nią.

– Alfie, ja mam na imię Claire. Co prawda dałabym sobie rękę uciąć, że kota w umowie sprzedaży domu nie było, ale tak czy siak, najpierw poszukajmy ci czegoś do jedzenia. Potem zadzwonię do twoich właścicieli.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Niech sobie dzwoni do upadłego, i tak nikt nie odbierze pod numerem zapisanym na plakietce. Triumfalnie, z dumnie zadartym ogonem, szedłem za swoją nową panią – witałem się z nią po kociemu. Zatrzymała się przy tylnych drzwiach, wzięła dwie plastikowe torby i zaniósła je do kuchni.

Zajęła się rozpakowaniem, ja tymczasem rozglądałem się ciekawie po swojej nowej jadłodajni. Okazała się mała, ale nowoczesna. Białe szafki i drewniane blaty kuchenne. Czysta i niezagracona. No pewnie, przecież nikt tu jeszcze nie mieszkał, upomniałem się w duchu. W moim dawnym domu – na myśl o nim nadal robiło mi się smutno – kuchnia była staroświecka i

zawalona różnymi rzeczami. Centralne miejsce zajmował ogromny kredens, a wszędzie stały ozdobne malowane talerze. Kiedyś niechcący stłukłem jeden z nich. Margaret tak się tym przejęła, że na wszelki wypadek więcej się do nich nie zbliżałem. Nie sądziłem jednak, żeby Claire też przywiozła ze sobą takie talerze. Nie ten typ.

– Proszę bardzo – oznajmiła radośnie, wyjęła z pudła miseczkę, naląła do niej mleka, później odkroiła odrobinę wędzonego łososia i położyła na talerzyku.

Co za wspaniałe powitanie. Oczywiście nie liczyłem, że będzie miała kocie żarcie, ale też nawet nie marzyłem o takiej uczcie. Dzisiaj wystarczyłoby mi cokolwiek, choćby odrobina mleka. Wtedy zdecydowałem, że bardzo lubię tę Claire. Kiedy jadłem, z tego samego pudła wyjęła kieliszek, a z reklamówki – butelkę wina. Naląła sobie, wypła jednym haustem i zaraz dołała. Zdumiony uniosłem brew. Chyba bardzo jej zaschło w gardle.

Skończyłem jeść i z wdzięczności otarłem się o nogi Claire. W pierwszej chwili wydawała się zdezorientowana, potem spojrzała na mnie.

– O rany, muszę przecież zadzwonić do twoich właścicieli – powiedziała tak, jakby na śmierć o tym zapomniała.

Miauknąłem, żeby dać jej do zrozumienia, że nie mam żadnych właścicieli, ale chyba nie rozumiała. Kucnęła przy mnie i spojrzała na plakietkę. Wybrała numer, czekała... wiedziałem co prawda, że nikt nie odbierze, ale i tak się denerwowałem.

– Dziwne. Nikt nie podnosi słuchawki; a może jakaś awaria. Nie bój się, nie wyrzucę cię. Dzisiaj tu przenocujesz, a jutro spróbujemy jeszcze raz.

W podziękowaniu zamruczałem bardzo głośno; kamień spadł mi z serca.

– Ale jeśli masz tu zostać, musimy cię wykąpać – oznajmiła. Wzięła mnie na rękę.

Przerazony, nadstawiłem ucha. Kąpiel? Jestem kotem, sam się myję! Zamiauczałem na znak protestu.

– Przykro mi, Alfie, strasznie śmierdzisz – wyjaśniła. – Pójdę po ręcznik; miejmy to z głowy.

Nie znoszę wody, a wiedziałem, czym jest kąpiel, bo dawno temu Margaret też mnie tak potraktowała, gdy wróciłem do domu cały w błocie. Straszne. Uznałem jednak, że bezdomność jest gorsza, więc postanowiłem, że będę dzielnym kotem i dam radę.

Postawiła mnie przed dużym lustrem w sypialni, a sama poszła po ręcznik. Spojrzałem na swoje odbicie i aż pisnąłem zdumiony. Gdybym nie wiedział, na co patrzę, uznałbym, że to jakieś inne zwierzę; wyglądałem jeszcze gorzej, niż się czułem. Miałem łyse placki na futerku, poza tym sama skóra i kości i choć bardzo się starałem dokładnie umyć, byłem brudny, Claire miała rację. Nagle zrobiło mi się smutno; od śmierci Margaret zmieniłem się i fizycznie, i psychicznie.

Claire przysłała po mnie i zaniósła mnie do łazienki, a tam wstawiła do wanny. Wierciłem się trochę i awanturowałem.

– Przykro mi, Alfie, muszę cię porządnie wyszorować. – Uważnie przyjrzała się butelce w swojej dłoni. – Szampon naturalny chyba ci nie zaszkodzi. Sama nie wiem, nigdy w życiu nie miałam kota. – Nachmurzyła się. – Zresztą, ty nie jesteś moim kotem. Mam nadzieję, że twoi właściciele się nie denerwują. – Łza spłynęła jej po policzku. – Nie tak miało być.

Chciałem ją pocieszyć, było jasne, że tego potrzebuje, ale nie mogłem, bo cały czas tkwiłem w wannie i pewnie przypominałem jedną wielką kulę mydlanej piany.

Po ciągnącej się w nieskończoność kąpeli owinęła mnie ręcznikiem i wytarła.

Kiedy w końcu poczułem, że znowu jestem suchy, poszedłem za Claire do saloniku. Usiadła na nowiutkiej kanapie, ja wskoczyłem na miejsce obok niej. Kanapa okazała się tak wygodna, jak przypuszczałem. I tak siedzieliśmy grzecznie każde w swoim końcu. Claire sięgnęła po kieliszek, upiła mały łyk i westchnęła. Przyglądałem się jej, gdy wodziła wzrokiem

po pokoju. Mnóstwo pudeł czekało na rozpakowanie, na środku stał niepodłączony telewizor, w kącie – mały komplet jadalny. Nie licząc kanapy, właściwie nic nie było na swoim miejscu i tak naprawdę to wcale jeszcze nie przypominało prawdziwego domu.

Claire tak jakby czytała w moich myślach. Upiła kolejny łyk i zalała się łzami.

– Co ja najlepszego zrobiłam? – załkała głośno.

Zaniepokoił mnie jej płacz i to, jak nagle posmutniała, ale wiedziałem, co robić. Zupełnie tak, jakby moja obecność tutaj miała jakiś cel; znałem swoją rolę. Być może okaże się, że ja też się przydam Claire. Podczołgałem się do niej, delikatnie położyłem jej łepkę na kolanach. Poglaskała mnie odruchowo. Płakała cały czas, ale pocieszałem ją tak, jak umiałem, bo wiedziałem, że tego potrzebuje, tak samo jak ja. W tej chwili mnie oświeciło: byliśmy bratnimi duszami.

Znowu miałem dom.

Rozdział 7



Minął tydzień, odkąd zamieszkałem z Claire, i mogłem powiedzieć, że wypracowaliśmy sobie pewną rutynę, choć przyznam – dość dziwną. Claire dużo płakała, a ja się do niej przytulałem. Zresztą to bardzo mi odpowiadało. Uwielbiam się przytulać, a do tego miałem spore zaległości pod tym względem. No i chciałem zrobić coś, żeby Claire przestała zalewać się łzami. Było oczywiste, że potrzebuje mojej pomocy, a ja przysięgłem sobie, że znajdę sposób, żeby jej pomóc.

Znów wykręciła numer z mojej plakietki, a kiedy nikt nie odbierał, zadzwoniła do firmy telekomunikacyjnej i dowiedziała się, że telefon został odłączony. Uznała, że mnie porzucono, i przez to chyba polubiła jeszcze bardziej. Rozpłakała się; stwierdziła, że nie wyobraza sobie, jak ktoś mógł mi to zrobić. Dodała, że doskonale mnie rozumie, bo ją spotkało to samo. Cóż, szczegółów jeszcze nie znałem. Wiedziałem jedno: mam u niej dom. Zaczęła mi kupować specjalne kocie mleko i karmę. Przyniosła do domu kuwetę, choć za tym akurat nie przepadam, i zaczęła wspominać – na szczęście na razie tylko wspominać – o wizycie u weterynarza. Weterynarze mają paskudny zwyczaj zaglądać tam, gdzie nie trzeba. Na razie jednak do niego nie dzwoniła, więc trzymałem palce u łap, żeby szybko o tym zapomniała.

Choć Claire ciągle szlochała, sporo zdołała zrobić. W ciągu zaledwie kilku dni udało jej się ustawić meble i rozpakować pudła. Dlatego dość szybko pusty budynek zaczął wyglądać jak prawdziwy dom. Na ścianach zawisły fotografie, dosłownie wszędzie były porozstawiane pufy i nagle każde pomieszczenie emanowało ciepłem; dobrze wybrałem.

Jednak to nie był szczęśliwy dom. Claire go urządziła, a ja obserwowałem ją i starałem się poznać jej historię. W saloniku powiesiła dużo fotografii; opowiadała mi, kto na nich jest: jej rodzice, ona sama jako dziecko, jej młodszy brat, przyjaciele, krewni. Przez pewien czas była ożywiona i radosna, więc w nagrodę otarłem się o jej nogi tak, jak lubiła. Często to robiłem; w sumie zależało mi, żeby mnie pokochała, żebym nie musiał wracać na ulicę. Też chciałem ją pokochać, choć to akurat okazało się bardzo łatwe.

Pewnego wieczoru wypakowała zdjęcie, o którym mi nie opowiadała. Ona w białej sukni trzymała za rękę bardzo eleganckiego mężczyznę. Wiedziałem o ludziach na tyle dużo, że się domyśliłem: to tak zwana fotografia ślubna. Dwoje ludzi łączy się w parę i obiecuje sobie, że nie będą parzyć się z nikim innym – tego akurat jako kot w ogóle nie rozumiem. Claire opadła na kanapę, przycisnęła fotografię do piersi i zaczęła głośno płakać. Usiadłem przy niej i zawtórowałem po swojemu, czyli zamiauczałem żałośnie, ale w ogóle nie zwróciła na mnie uwagi. I wtedy rozmazałem się na dobre – podobnie jak Claire, nie mogłem przestać, gdy nagle

przypomniało mi się wszystko, co utraciłem. Nie wiedziałem, czy mężczyzna z fotografii odszedł od niej czy umarł, tak jak moja Margaret, ale Claire na pewno została całkiem sama. Siedzieliśmy tak i razem ryczeliśmy na całego.

Kilka dni później Claire wyszła z samego rana. Powiedziała, że idzie do pracy. Wyglądała odrobinę lepiej, ubrała się elegancko i nawet uczesała. Nabrała też trochę kolorów na twarzy, choć nie byłem pewien, czy to naturalne odcienie. Ja też wyglądałem coraz lepiej, zaledwie po kilku dniach. Odrastało mi wytarte futerko, zacząłem przybierać na wadze, bo dużo jadłem, a mało się ruszałem. Kiedy tak staliśmy obok siebie i przeglądaliśmy się w dużym lustrze Claire, doszedłem do wniosku, że ładna z nas para. Owszem, Claire zostawiała mi jedzenie, mimo to nie lubiłem, jak wychodzi do pracy, bo tęskniłem za nią. Oczywiście miałem Tygryskę. Wspólnie spędziliśmy mnóstwo czasu i zaprzyjaźniliśmy się coraz bardziej. Ganiałiśmy muchy, chodziliśmy na krótkie spacerki i wygrzewaliśmy się w słońcu w jej ogrodzie, ale to była kocia przyjaźń, a ja przede wszystkim potrzebowałem ludzi, na których mógłbym polegać.

Kiedy Claire pracowała, powracały przykre wspomnienia. Postanowiłem, że najwyższy czas zabrać się do realizacji swojego planu. Jeśli chciałem mieć pewność, że już nigdy więcej nie zostanę sam, musiałem zadbać o to, żeby mieć jeszcze inny dom. Taka smutna prawda.

Mniej więcej w tym samym czasie, co przed domem Claire, pod numerem 46 też pojawiła się tabliczka z napisem: „Sprzedany”. Miałem na oku oba domy, ale Claire pojawiła się pierwsza. Teraz jednak zauważyłem, że pod numer 46 już też się ktoś wprowadził. Budynek stał na tyle daleko od domu Claire, że zrobiłem sobie mały spacer, żeby tam zajrzeć. Przy tej części naszej ulicy domy były większe i bardziej ekskluzywne, co z dumą, a nawet chyba pychą podkreślały koty, które tu mieszkaly. Ten akurat rzeczywiście wyglądał na całkiem niezły.

Edgar Road to nietypowa ulica ze względu na różne rodzaje domów, jakie się przy niej znajdują. Dom, w którym mieszkałem z Margaret, jedyny, jaki do tej pory znałem, był mały – całkowite przeciwieństwo wielgachnych budynków na końcu Edgar Road.

Dom Claire na moje oko wydawał się średniej wielkości, ale ten pod 46 należał do największych. Bardzo szeroki i wysoki, z niesamowicie dużymi oknami. Doskonale sobie wyobrażałem, jak siedzę na parapecie w jednym z nich i obserwuję świat zza szyby. Skoro dom był tak wielki, zakładałem, że zamieszkała w nim rodzina, i bardzo mi się spodobał pomysł, że zostanę kotem rodzinnym.

Żeby wszystko było jasne: podobało mi się u Claire i bardzo ją polubiłem. Nie zamierzałem jej porzucać, ale musiałem mieć więcej niż jeden dom po to, żebym znowu nie skończył sam.

Kiedy dotarłem pod dom z numerem 46, świtało. Na podjeździe stał bardzo elegancki samochód z dwoma siedzeniami – co mnie trochę zaniepokoiło, bo to niezbyt odpowiedni pojazd dla rodziny. Skoro jednak podjąłem już decyzję, postanowiłem rozejrzeć się dokładniej. Pobiegłem za dom i ku swojej radości odkryłem kocią klapkę w drzwiach. Jakby na mnie czekała.

Wszedłem do domu i znalazłem się w bardzo eleganckim pomieszczeniu z pralką, suszarką i wręcz gigantyczną lodówkozamrażarką. Górowała nade mną jak olbrzym i buczała nieprzyjemnie dla moich uszu. Minąłem otwarte drzwi i wkroczyłem do przestronnej kuchni; na środku królował rozkładany stół. Poczułem, że trafiłem w dziesiątkę – przy takim stole na pewno zmieści się mnóstwo dzieci, a powszechnie wiadomo, że dzieciaki uwielbiają koty. Będą mnie rozpieszczą. Moje podekscytowanie rosło; bardzo chciałem być rozpieszczany.

Rozmarzyłem się na myśl o tych wszystkich smakołykach, zabawach i przytulaskach, które przypadną mi w udziale. Nagle do środka weszło dwoje ludzi.

– Nie wiedziałam, że masz kota – odezwała się kobieta wysokim głosem. Piszczala trochę

jak mysz.

Rozczarował mnie jej wygląd, bo nie przypominała typowej mamy. Miała na sobie bardzo obcisła sukienkę i buty na obcasach chyba wyższych ode mnie. Zastanawiałem się, jakim cudem w ogóle oddycha i chodzi. Dziwne. Powinna trochę się ogarnąć. Zazwyczaj nie jestem kotem krytycznym, ale szcycę się tym, że dbam o wygląd. Zacząłem wylizywać sobie łapki i wygładzać futerko; liczyłem na to, że zrozumie aluzję.

Miała głos jak bohaterka jednego z seriali, które oglądałem z Margaret. Nazywał się bodajże *EastEnders*.

Zamrugalem mężczyźnie na powitanie, ale nie odmrużnął.

– Bo nie mam – odparł chłodno.

Spojrzałem na niego. Wysoki, ciemne włosy, dość ładna twarz. Ale nie wydawał się przyjaźnie nastawiony. A kiedy w końcu na mnie popatrzył, wydawał się zły.

– Wprowadziłem się kilka dni temu i dopiero teraz widzę, że w drzwiach jest cholerna kocia klapka. Muszę ją zlikwidować, zanim wszystkie włóczki z sąsiedztwa tu zamieszkają. – Łypnął na mnie gniewnie, tak jakby chciał mi dać do zrozumienia, że mówi o mnie.

Skuliłem się odruchowo. Nie wierzyłem własnym uszom. Był okropny, a do tego, co za rozczarowanie, nie ma tu dzieci! W kuchni zero zabawek, zresztą ta para nie potrafiłaby się zaopiekować ani kotem, ani dzieckiem. Wszystko wskazywało na to, że bardzo się pomyliłem. Tyle, jeśli chodzi o kocią intuicję.

– Och, Jonathanie, nie bądź okrutny – odezwała się kobieta. – Przecież to taki słodziak. Może jest głodny?

Od razu pożałowałem wcześniejszych złych myśli; może ta kobieta jest niechlujna, ale ma dobre serce. Znowu nabrałem nadziei.

– Nie znam się na kotach i znać się nie chcę – odparł wyniośle mężczyzna. – Ale wiem jedno: jeśli go nakarmię, wróci. A tego sobie nie życzę. W ogóle to muszę popracować. Odprowadzę cię.

Kobieta wydawała się równie poruszona jak ja, gdy Jonathan szedł z nią do drzwi. Zwinąłem się w kłębek – chciałem wyglądać słodko i niewinnie, kiedy gospodarz wróci. On jednak, zamiast się rozczulić, podniósł mnie i wyrzucił – dosłownie, wyrzucił – na dwór. Wylądowałem na czterech łapach, więc na szczęście nic mi się nie stało.

– Nowy dom, nowe życie, ale nie nowy kot, do cholery – prychnął i zatrzasnął mi drzwi przed pyszczkiem.

Otrząsałem się głęboko urażony. Jak on śmie tak mnie traktować? Zrobiło mi się szkoda kobiety, którą wyprosił. Właściwie to powinien być koniec mojej przygody w domu pod numerem 46, ale nie należę do kotów, które się szybko poddają. W głowie mi się nie mieściło, że ten mężczyzna naprawdę jest taki okropny, jak się wydaje. Koci zmysł podpowiadał mi, że Jonathan jest nie tyle wredny, ile nieszczęśliwy. Jakkolwiek na to patrzeć, po wyjściu kobiety został całkiem sam, a wiedziałem doskonale, jakie to paskudne uczucie.

Szybciułko wróciłem do Claire, żeby się z nią zobaczyć, zanim pójdzie do pracy. Zorientowałem się, że płakała, bo nakładała na twarz mnóstwo różnych rzeczy, żeby to ukryć. Kiedy w końcu skończyła się upiększać – co zajmuje jej o wiele więcej czasu niż mnie – nakarmiła mnie i pogłaskała, potem wzięła torebkę i ruszyła do wyjścia. Odprowadziłem ją do drzwi, otarłem się o jej nogi, głośnym mrużeniem dawałem jej do zrozumienia, że może na mnie liczyć. Było mi przykro, że nie mogę zrobić nic więcej, żeby poprawić jej humor.

– Alfie, co ja bym bez ciebie zrobiła? – powiedziała, zanim zniknęła.

Wyprężyłem się dumnie. Po tym, jak okropnie potraktował mnie Jonathan, dobrze wiedzieć, że ktoś docenia moje wysiłki. Naprawdę traćłem głowę dla tej smutnej młodej kobiety.

Musiałem jej jakoś pomóc. Ludzie zarzucają nam, kotom, egoizm i samolubność, ale często niesłusznie. Ja na przykład chciałem pomagać ludziom w potrzebie. Być dobry, kochający i mieć specjalny cel – nieść pomoc.

Właściwie powinienem zostawić Jonathana spod 46 własnemu losowi, ale coś mnie do niego ciągnęło. Moja Margaret – najmądrzejsza osoba, jaką znałem – mawiała, że ludzie źli są zazwyczaj nieszczęśliwi. Kiedy u niej zamieszkałem, Agnes była bardzo zła. Margaret tłumaczyła mi, że kocica po prostu boi się, że zajmę jej miejsce. Agnes to potwierdziła, kiedy już się zaprzyjaźniliśmy. Wtedy zrozumiałem, że gniew i smutek często śpią w tym samym koszyku.

I dlatego wróciłem do domu pod numerem 46. Samochodu nie było, a więc droga wolna. Dumny z siebie wszedłem do środka i rozejrzałem się ciekawie. Miałem rację, to wielki dom, w którym powinna mieszkać rodzina, ale kiedy przyjrzałem się uważniej, stwierdziłem, że to bardzo męskie wnętrze. Żadnych kwiatów, żadnego różu. Same lśniące powietrze, szkło i chrom. Tak naprawdę podobny wystrój widywałem w eleganckich sklepach meblowych, które mijałem podczas wędrowki – metal i kremowa skóra, absolutnie nieodpowiednia dla dzieci... ani kotów, skoro już o tym mowa. Kilka razy przeszedłem się po kanapie z satysfakcją. Miałem czyste łapki, więc nie byłem jakoś specjalnie niegrzeczny – po prostu chciałem ją wypróbować. Potem skoczyłem na piętro. A tam cztery pokoje: w dwóch stały łóżka, w jednym Jonathan urządził gabinet, a w czwartym zeszkładował mnóstwo pudeł. Nigdzie żadnych osobistych drobiazgów, gdyby nie meble, można by pomyśleć, że nikt tu nie mieszka. Cały dom był równie zimny jak ta straszna lodówka.

Postanowiłem potraktować tego całego Jonathana jako wyzwanie. Tak długo byłem zdany tylko na siebie, że doskonale się orientowałem, na co mnie stać. Ten człowiek mnie nie lubił – zresztą tak jak innych kotów – ale to dla mnie nic nowego. Znowu pomyślałem o Agnes i przypomniał mi się jej niemal czarny pyszczek. Uśmiechnąłem się. Bardzo za nią tęskniłem; miałem wrażenie, że wraz z nią straciłem część siebie.

Agnes stanowiła moje przeciwieństwo pod każdym względem; była bardzo czułą starszą kotką. Większość czasu spędzała na poduszce na parapecie – obserwowała, jak przemija świat.

Kiedy zjawiłem się w jej życiu – ja, puszysta, rozbrykana kulka – oburzyła się śmiertelnie.

– Jeśli łudzisz się, że tu zostaniesz, bardzo się mylisz – syknęła pierwszego dnia.

Kilka razy usiłowała mnie zaatakować, ale okazałem się dla niej za szybki, a Margaret strasznie na nią krzyczała, a potem rozpieszczała mnie jeszcze bardziej, podsuwała smakołyki i kupowała zabawki. Po pewnym czasie Agnes postanowiła mnie łaskawie zaakceptować, pod warunkiem że nie będę wlaził jej w drogę. I tak powoli, stopniowo zdobywałem jej serce. Wtedy kiedy pani weterynarz powiedziała, że Agnes musi iść do kociego nieba, byliśmy już rodziną i bardzo się kochaliśmy. Poczułem fizyczny ból na wspomnienie, jak Agnes mnie myła, zupełnie jak mama, kiedy się urodziłem.

Skoro przekonałem do siebie groźną Agnes, taki Jonathan to chyba dla mnie drobiazg?

Obszedłem cały dom. Zastanawiałem się, po co facetowi tyle przestrzeni. Potem wymyśliłem, że poszukam dla niego prezentu. Co prawda polowanie nie należało do moich ulubionych rozrywek, ale chciałem się z gospodarzem tego domu zaprzyjaźnić, a nie wiedziałem, jak inaczej mógłbym mu to zakomunikować.

Koci kumple z czasów na ulicy opowiadali różne rzeczy. Niektórzy ciągle nosili swoim właścicielom prezenty, choć ci niekiedy bardzo się złościли. Inni, tak jak ja, czekali na odpowiedni moment. Tak czy siak, to nasz koci sposób okazywania, że nam zależy. Zakładałem, że Jonathan lubi polowanie, wyglądał na samca alfa, byłem więc niemal pewien, że doceni moje starania. Zrozumiem, że coś nas łączy.

Zawołałem Tygryskę i zapytałem, czy chce mi towarzyszyć.

– Spałam. Dlaczego nie polujesz w nocy tak jak wszystkie koty? – westchnęła, ale w końcu postanowiła mi towarzyszyć.

Fakt, koty zazwyczaj wyruszają na łowy nocą, ale żyjąc na ulicy, przekonałem się, że i za dnia można znaleźć łup – i tak wołałem. Zacząłem węszyć, wkrótce upatrzyłem sobie soczystą mysz. Przyciąłem się, zebrałem w sobie, zaatakowałem. Mysz biegała we wszystkie strony, za nic nie mogłem przytrzymać jej łapą. Uderzałem raz po raz, ale ciągle mi się wymykała.

– Ale z ciebie kiepski myśliwy! – roześmiała się Tygryska, która obserwowała mnie z boku.

– Mogłabyś mi pomóc! – syknąłem, ale ona tylko jeszcze głośniej się zaśmiała.

Aż w końcu, kiedy już traciłem cierpliwość, mysz opadła z sił. Uderzyłem jeszcze raz i wreszcie miałem ją w łapach.

– Pójdiesz ze mną do Jonathana? – zapytałem.

– Tak, chętnie zobaczę twój drugi dom – odparła.

Ponieważ chciałem, żeby Jonathan mnie polubił, nie odgryzłem myszy głowy, tylko delikatnie wniosłem ją przez kocią kłapkę. Ułożyłem ją przy drzwiach tak, że nie mógł jej nie zauważyć. Przez moment żałowałem, że nie umiem pisać, dołączyłbym wtedy bilecik: „Witaj w nowym domu”, a tak mogłem jedynie mieć nadzieję, że zrozumie moje dobre intencje.

Rozdział 8



Mój powrót do Claire trochę się opóźniał, bo brykaliśmy z Tygryską, czailiśmy się w krzakach, łapaliśmy spadające liście i czekaliśmy na Jonathana. W miarę upływu czasu jednak niebo pociemniało, a ja zgłodniałem. Ponieważ mysz oddałem Jonathanowi, a od śniadania nie miałem nic w pyszczku, niechętnie poszedłem do Claire. Wemknąłem się przez kocią klapkę. Claire akurat była w kuchni.

– Cześć, Alfie. – Schyliła się, żeby mnie pogłaskać. – Gdzieś ty się włóczył?

Odpowiedziałem mruknięciem. Otworzyła szafkę, wyjęła puszkę kocij karmy i kartonik specjalnego mleka.

Dzięki, nie odmówię, pomyślałem i zabrałem się do jedzenia. Kiedy skończyłem, starannie oblizałem wąsy. Patrzyłem, jak Claire sprząta.

Każdego dnia uczyłem się o niej czegoś nowego. Choć w fatalnej formie, była bardzo czysta i schludna – co tłumaczyło tę koszmarną kąpiel. Nigdy nie zostawiała nawet szklanki na blacie kuchennym. Wszystko od razu myła i chowała. Tak samo dbała o ubrania. Dom był nieskazitelnie czysty, a Claire często pucowała każdy skrawek powierzchni.

Za często, pomyślałem. Kupiła mi specjalne miseczki i ustawiała je z jedzeniem na podłodze, a kiedy skończyłem, zaraz zabierała i myła, a podłogę przyskała jakimś sprayem i szorowała. Jeśli chodzi o higienę, jestem naprawdę bardzo czystym kotem, ale przy Claire myłem się dużo częściej niż kiedyś; nie chciałem, żeby uznała, że nie pasuję do jej nieskazitelnego domu. A jeszcze bardziej bałem się, że znowu postanowi mnie wykąpać.

Codziennie po powrocie z pracy – opowiadała mi, że pracuje w dużym biurze i zajmuje się czymś, co się nazywa marketing – brała prysznic; wiecznie narzekała na londyński kurz. Potem wkładała piżamę, nalewała sobie lampkę wina i siadała na kanapie. Mniej więcej wtedy zaczynała płakać. Tak wyglądał każdy wieczór, odkąd z nią zamieszkałem.

Jadła bardzo mało; nie mogłem nie zauważyć, że jest strasznie chuda, tak jak ja, kiedy tu przybyłem. Zdawałem sobie sprawę, że powinienem ją zachęcać do jedzenia, ale nie miałem pojęcia, jak to zrobić. Za to sporo piła z takiego ładnego kieliszka. W lodówce zawsze stała butelka wina. Wystarczała zazwyczaj na jeden wieczór. Przypomnieli mi się ci bezdomni, którzy chcieli mnie zjeść. Wiedziałem, że nie jest taka jak oni, ale Cukierek wyjaśnił mi, o co chodzi z tym piciem u ludzi, dlatego wydaje mi się, że Claire niemal każdego wieczoru była pijana. W każdy razie płakać zaczynała najczęściej po paru kieliszkach. I choć bardzo się starałem ją pocieszyć w takiej chwili, nijak nie mogłem jej pomóc. To mnie smuciło, bo pragnąłem z całego

serca, żeby się uśmiechnęła albo przynajmniej przestała płakać. Próbowałem już różnych sztuczek: chowałem się za firanką, żeby ją rozbawić, ale zachowywała się tak, jakbym był niewidzialny. Raz nawet specjalnie spadłem z parapetu, myślałem, że to ją rozweseli, ale ona w ogóle tego nie zauważyła, i to mimo że aż jęknąłem z bólu. Próbowałem płakać razem z nią, próbowałem szturchać ją ciepłym łepkiem i podsuwać do zabawy swój piękny ogon. Wszystko na nic. Pograżona w smutku zapominała o całym świecie, łącznie ze mną.

Nocami, kiedy szła spać, też jej towarzyszyłem – drzemałem na fotelu przy jej łóżku. Ułożyła mi na nim kocyk, więc był bardzo wygodny, i tym sposobem mogłem cały czas przy niej czuwać. Chwilami zasypiałem, ale większość czasu obserwowałem ją, żeby miała poczucie, że ktoś przy niej czuwa. Kiedy rano dzwonił budzik, wskakiwałem na łóżko i delikatnie lizałem ją po nosie. Chciałem, żeby od razu czuła, że jest kochana, że nie spędziła tej nocy sama.

A jednak czasami dopadał mnie smutek. Troska o Claire wyczerpywała mnie emocjonalnie, miałem jednak nadzieję, że jeśli będę twardo trzymał się planu i jej pomagał, w końcu dojdę do tego, co zrobić; przecież musi być jakieś wyjście.

Tamtego wieczoru dopiero co przeszliśmy do saloniku – Claire z kieliszkiem, ja z zabawką z kocimiętką, którą mi kupiła – gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Claire wydawała się zaskoczona. Opiekuńczo ruszyłem za nią do drzwi, przy każdym kroku dotykałem jej nóg. Na progu stał mężczyzna. W pierwszej chwili zastanawiałem się, czy to nie ten z fotografii, ale przyjrzałem się uważniej – nie, nie ten. Kojarzyłem go jednak z innych zdjęć. To był Tim, brat Claire. Nie wydawała się szczególnie zachwycona jego widokiem.

– Szybko weszłaś w rolę – stwierdził.

– O co ci chodzi? – warknęła.

– Samotne kobiety i koty. Przepraszam, Claire, żartowałem.

Uśmiechnął się, ale ani ona, ani ja nie odwzajemniliśmy uśmiechu; odsunęliśmy się tylko i wpuściliśmy go do środka. Poszliśmy za nim do saloniku.

– Co tu robisz, Tim? – Dała mu ręką znać, żeby usiadł.

Chciał mnie pogłaskać, ale się cofnąłem. Nie wiedziałem jeszcze, czy to wróg, czy przyjaciel.

– Skąd go masz? – zapytał.

– To Alfie, wprowadził się razem ze mną. Dobrze, dlaczego mnie nie uprzedziłeś, że przyjedziesz? Nie uwierzę, że tak przypadkiem byłeś w okolicy.

– Claire, mieszkam półtorej godziny stąd i naprawdę to była spontaniczna decyzja.

Przeglądała mu się badawczo. Kiedy sama usiadła w fotelu, wskoczyłem jej na kolana i usiłowałem patrzeć na Tima groźnie, choć nie jestem pewien, czy mi się udało. Czasami niełatwo być takim słodziakiem jak ja: ani koty, ani ludzie nie traktują cię poważnie.

– Dlaczego nawet nie zadzwoniłeś? – Claire nie dawała za wygraną.

– Och, daj spokój. Nie proponujesz mi nic do picia?

Energicznie zaprzeczyła ruchem głowy.

– Mama mnie o to poprosiła. Martwi się o ciebie. No wiesz, minęło zaledwie pół roku, odkąd Steve cię zostawił. A ty sprzedałaś wszystko i wyprowadziłaś się na drugi koniec kraju, cztery godziny od domu, do Londynu, niezbyt przyjaznego miasta. Jesteś z daleka od rodziców, przyjaciół, pracy. To chyba jasne, że się martwimy. Zamartwiamy. A mama to już w ogóle...

– No, to możecie już przestać. Popatrz. Wszystko jest w porządku. – Sądząc po jej minie i głosie, była zła.

– Claire, właśnie patrzę i wybaczone, ale nic nie jest w porządku.

Westchnęła.

– Tim, musiałam stamtąd wyjechać, zrozum. Steve zostawił mnie dla innej i zamieszkali

ulicę dalej od naszego domu, że już nie wspomnę, że bardzo blisko rodziców. Nie zniosłabym myśli, że codziennie mogę się na nich natknąć, a tak byłoby, gdybym tam została. Moim zdaniem powinniście być ze mnie dumni. Zgodziłam się na szybki rozwód, tak jak chciał. Nie urządziłam scen. Sprzedałam dom, znalazłam naprawdę dobrą pracę, kupiłam nowy dom. I zrobiłam to wszystko, choć serce pękało mi na tysiąc kawałków – urwała, otarła łzy z policzków. Wtuliłem się w nią z całej siły.

– Wspaniale, Claire. – Tim też mówił już łagodniej. – Ale po prostu się o ciebie martwimy. Byłaś bardzo dzielna, tyle że jesteś nieszczęśliwa, a mamę niepokoi to, że mieszkasz daleko. Zrobisz coś dla mnie? Pojedź do domu na weekend, jak najszybciej, żeby ją uspokoić.

Uznałem, że to dobry pomysł; Claire spotka się z rodziną, a ja miałbym wolną łapę i mógłbym trochę się rozejrzeć, a nie tylko przy niej czuwać. Czy to samolubne z mojej strony? Mam nadzieję, że nie.

– Słuchaj, Tim, zrobimy tak. Pojadę do domu na weekend, pod warunkiem że powiesz mamie, że twoim zdaniem u mnie wszystko w porządku.

– Dobra, siostrzo, niech będzie, ale wiesz co? Daj mi chociaż herbaty, zanim zabiorę się z powrotem.

Kiedy zrozumiałem, że Tim jest po stronie Claire, postanowiłem się z nim zaprzyjaźnić. Bawiliśmy się moimi zabawkami. Spodobało mi się, kiedy ukląkł i biegał ze mną na czworakach, choć bardzo głupio przy tym wyglądał. Przewróciłem się na grzbiet i pozwoliłem mu pogłaskać się po brzuszku – niesamowicie to lubię. Kiedy się bawiliśmy, poprosił mnie, żebym się zaopiekował jego siostrą. Starłem się dać mu do zrozumienia, że cały czas mam ją na oku. Czulem na grzbiecie ciężar odpowiedzialności, ale byłem gotów go dźwigać.

Tim odjechał. Rozwahałem, czy nie wymknąć się i nie zajrzeć do Jonathana, ale Claire wzięła mnie na ręce i zanosła do łóżka.

Rozdział 9



Pod 46 zjrzałem znowu, gdy wstawał nowy dzień. Claire tłumaczyła, że musi wcześniej iść do pracy. Co prawda zdążyła mnie nakarmić, ale potem w ogóle mnie nie pogłaskała, tylko od razu pobiegła do drzwi.

Staralem się nie obrażać; ludzie już tacy są, mają na głowie więcej spraw niż my, koty. To jednak tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że trzeba się postarać o więcej opiekunów.

Wszedłem przez kocią kłapkę. Pusty dom sprawiał niesamowite wrażenie. Do tego wszystkie rolety były opuszczone, a zasłony zaciągnięte. My, koty, jako zwierzęta nocne, mamy doskonały wzrok, posługujemy się też pozostałymi zmysłami, żeby poruszać się w ciemnościach. Po mistrzowsku potrafiłem unikać zarówno przeszkód w środku, takich jak meble, jak też tych na zewnątrz: drzew, ławek, koszy.

Przez chwilę się zastanawiałem, jakie to uczucie być Jonathanem. Mieć do dyspozycji tyle przestrzeni i mieszkać samemu. To bez sensu. W moim starym domu miałem koszyk, zwijałem się w nim w kłębek i było mi ciepło, przytulnie. Większy koszyk nie byłby już taki fajny. A tak naprawdę najlepiej wspominam ten czas, kiedy Agnes mnie w końcu polubiła i spaliśmy razem. Cudownie było czuć jej ciepło i bliskość; codziennie za tym tęskniłem. Intrygowało mnie, czy Jonathan czuje to samo i czy dlatego wczoraj pojawiła się u niego ta kobieta. Czy przytulali się tak samo jak ja i Agnes? Pomyślałem, że pewnie tak. Chociaż, skoro potraktował ją tak niemiło, wątpiłem, czy ona jeszcze wróci.

Siedziałem w korytarzu, u stóp schodów. Jednym z problemów w domu Jonathana był brak dywanów. Wszystkie podłogi wyłożono lakierowanym drewnem – z jednej strony to dla kota nielada frajda, przekonałem się już, jak fajnie jest się po niej ślizgać, ale z drugiej strony jest bardzo zimna i nie można wbijać w nią pazurków. Poza tym zamiast zasłon, którymi można się bawić, miał jakieś takie sztywne dziwadła. Po raz kolejny musiałem przyznać, że to nie jest dom dla kota, jednak coś mnie do niego przyciągało.

Po pewnym czasie – jak się wydawało, po całej wieczności – na schodach zjawił się rozczochrany Jonathan, nadal w piżamie. Zmęczony i zarośnięty, wyglądał trochę tak jak ja, zanim się wypucuję. Zatrzymał się w pół kroku i popatrzył na mnie. Nie wydawał się jednak szczególnie zadowolony na mój widok.

– Powiedz, że to nie ty zostawiłeś mi zdechłą mysz na wycieracze – zaczął gniewnie. Zamruczałem cicho, tak jakbym chciał powiedzieć: nie ma za co.

– Cholerny kot. Mówiłem przecież, że cię tu nie chcę. – Wyrażnie wkurzony wyminął mnie i poszedł do kuchni.

Wyjął kubek z szafki, potem wciskał guziki na wielkiej machinie. Obserwowałem, jak do kubka płynie kawa. Podszedł do lodówki – przypominała statek kosmiczny – i wyciągnął karton mleka. Kiedy wlewał je do kubka z kawą, oblizalem się z nadzieją. Nie zwracał na mnie uwagi, więc zamiauczałem najgłośniejszym głosem, jak umiałem.

– Myślisz, że dam ci mleka? Ani mi się śni – warknął.

Cóż, trudny facet do zdobycia. Znowu miauknąłem, tym razem na znak oburzenia.

– Nie potrzebuję zwierzaka – ciągnął między kolejnymi łykami kawy. – Potrzebuję spokoju, żeby jakoś uporządkować sobie życie. – Nadstawiłem uszu z zainteresowaniem. – Nie chcę zdechłych myszy na progu, wielkie dzięki, i nie chcę, żeby ktokolwiek mi się tu plątał.

Zamruczałem, liczyłem na to, że go jakoś udobrucham.

– Już mi wystarczy, że znowu jestem w tym cholernie zimnym kraju. – Spojrzał na mnie tak, jakby rozmawiał z człowiekiem. Gdybym mógł, zauważyłbym, że wcale nie jest tak zimno, w końcu mamy lato. Jonathan ciągnął dalej. – Tęsknię za Singapurem. Tęsknię za upałem, za tamtejszym życiem. Popełniłem jeden błąd i już. Musiałem wracać. A tutaj nie mam nic, ani pracy, ani dziewczyny. – Urwał, upił kolejny łyk kawy. Otworzyłem szeroko oczy i słuchałem jego dalszych zwierzeń. – Och, oczywiście, odeszła ode mnie, jak tylko straciłem pracę. Trzy lata finansowania wszystkich jej kaprysów, a nie wytrzymała nawet jednego dnia, żeby mnie pocieszyć, zanim zniknęła. Jasne, miałem dość pieniędzy, żeby kupić ten dom, ale powiedzmy sobie szczerze, to jednak nie Chelsea, prawda? – Nie bardzo wiedziałem, czym jest Chelsea, ale zrobiłem taką minę, jakbym przyznawał mu rację.

Bardzo z siebie zadowolony zamachałem ogonem. Nie myliłem się: Jonathan był samotny i smutny, a nie tylko wredny, choć akurat teraz zachowywał się okropnie. Dostrzegłem jednak szansę; niewielką, ale zawsze. Ten gość potrzebował przyjaciela, a kot imieniem Alfie doskonale się od tej roli nadawał.

– Kurczę, dlaczego rozmawiam z kotem? Przecież i tak nic z tego nie rozumiesz.

Co on tam wie, pomyślałem sobie, kiedy dopijał resztkę kawy. Żeby dać mu do zrozumienia, że jednak co nieco rozumiem, otarłem się o jego nogi. Dawałem mu uczucie, którego tak bardzo potrzebował. Był zaskoczony, ale nie odsunął się od razu. Postanowiłem zaryzykować i wskoczyłem mu na kolana. Już się wydawało, że zmięknie, ale nagle się najeżył.

– No dobrze. Zadzwoń do twojego właściciela i powiem, gdzie jesteś – warknął. Delikatnie odwrócił plakietkę i zrobił to samo, co przed nim Claire – zadzwonił pod numer ze srebrnej plakietki. Kiedy nikt nie odbierał, skrzywił się zdenerwowany.

– Gdzie ty mieszkasz, do diabła? – Przechyliłem łepiek. – Słuchaj, wracaj do domu. Nie mogę tu siedzieć cały dzień i się tobą zajmować. Muszę poszukać pracy. I zlikwidować kocią klapkę. – Spiorunował mnie wzrokiem i odszedł.

Ja jednak byłem w lepszym humorze. Po pierwsze, zaczął do mnie mówić, a to dobry znak. Po drugie, nie wyrzucił mnie. Odszedł, wiedząc, że tu zostałem. Może zaczynał mnie lubić? Naprawdę uważałem, że nie taki Jonathan straszny, jak się wydaje.

Po chwili wahania poszedłem za nim na górę, ale trzymałem się w pewnej odległości. Cały czas się rozglądałem. Chciałem się dowiedzieć o nim jak najwięcej, a do tego najlepsza jest obserwacja. Jonathan był wysoki, bez grama tłuszczu. Szczyciłem się swoim wyglądem i myślę, że on też szczycił się swoim. To nas łączyło. Wziął bardzo długi prysznic w pokoju sąsiadującym z jego sypialnią, a kiedy wyszedł, otworzył garderobę i wybrał garnitur. W ubraniu wyglądał niesamowicie elegancko, tak jak aktorzy w tych starych czarno-białych filmach, które bardzo lubiła moja Margaret. Powtarzała, że są przystojni i mają klasę, i tacy właśnie powinni być

mężczyźni. Przypuszczam, że Jonathan by się jej spodobał.

Szybciutko wróciłem na dół, żeby nie zobaczył, że go śledziłem. Czekałem przy schodach.

– Nadal tu jesteś, Alfie? – zapytał, ale już bez wrogości.

Miauknąłem w odpowiedzi. Pokręcił głową, mnie jednak zrobiło się ciepło na sercu: zwrócił się do mnie po imieniu!

Podszedł do szafki pod schodami, w której stały rzędy czarnych butów, i wybrał jedną parę. Usiadł na stopniu, żeby je włożyć, a potem zdjął płaszcz z wieszaka i wziął kluczyki ze stolika w holu.

– Dobra, Alfie, chyba sam wyjdiesz. Mam nadzieję, że jak wrócę, ciebie już tu nie będzie. Ciebie ani kolejnych martwych zwierząt. – Zamknął za mną drzwi, a ja przeciągnąłem się z zadowoleniem. Teraz już wiedziałem, że zdołam pomóc Jonathanowi. Był smutny, zły i samotny i tak jak Claire bardzo mnie potrzebował. Tylko sam jeszcze o tym nie wiedział.

Miękl błyskawicznie. Zastanawiałem się, co zrobić, żeby go do siebie przekonać, i doszedłem do wniosku, że mimo wszystko przyda mu się jeszcze jeden prezent. Ale już nie mysz, coś ładniejszego. Wiem! Podrzucę mu ptaszka. Tak, właśnie tak. Czy jest bardziej oczywista oferta nawiązania przyjaźni niż martwy ptak?

Po południu tego samego dnia ułożyłem ptaszka na wycieracze, tak samo jak wcześniej mysz. Teraz Jonathan już na pewno zrozumie, że chcę się z nim zakumplować. Byłem bardzo z siebie zadowolony, postanowiłem więc przejść się na koniec ulicy i rozkoszować słońcem. Nie było gorąco, ale przyjemnie świeciło słońce, a tu i ówdzie dało się nawet powygrzewać w promieniach. Wypatrzyłem idealne miejsce przed jednym z takich brzydkich nowoczesnych domów, które podzielono na dwa mieszkania. Drzwi wejściowe znajdowały się tuż obok siebie. Na jednych widniał numer 22A, na drugich – 22B. Przed obydwoma stały tabliczki z napisem: „Wynajęte” i ze znakiem, który widziałem na wielu szyldach na naszej ulicy.

Przez pewien czas pławiłem się w słońcu. W żadnym z domów nie było jeszcze ludzi, ale zapamiętałem sobie, że warto tu zajrzeć – wiedziałem już, że wkrótce sprowadzą się nowi lokatorzy. Co tu dużo mówić, życie nie jest idealne. Claire mnie kochała, ale za dnia wychodziła do pracy, w weekend miała wyjechać. A Jonathan, cóż, tu nadal wszystko było możliwe mimo moich starań, więc musiałem mieć jeszcze inne opcje.

Przekonałem się, że w pełni potrafię sam o siebie zadbać, ale to mi nie odpowiadało. Nie chciałem walczyć, nie chciałem zdziczeć. Pragnąłem siedzieć u kogoś na kolanach albo w ciepłym kocyku, zjadać karmę z puszki, pić kocie mleko i być obsypywany czułościami. Taki jestem; nie mógłbym tego zmienić i szczerze mówiąc, wcale nie chciałym.

Ciągle miałem w pamięci zimne, samotne noce minionych miesięcy, strach, który nie opuszczał mnie ani na chwilę, głód, wyczerpanie. Nie czułem się na siłach mierzyć z tym wszystkim raz jeszcze, a wiedziałem, że nigdy tego nie zapomnę. Musiałem mieć rodzinę, miłość i poczucie bezpieczeństwa. To wszystko, czego pragnąłem, za czym tęskniłem. Nigdy nie zechcę niczego więcej.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy wracałem do domu. Rozmyślałem o tym, jakie dziwne bywa życie. Kiedy Agnes umarła, z rozpaczyc aż zachorowałem. Bardzo za nią płakałem. Przestałem jeść i korzystać z kuwety. Moja pani zabrała mnie wtedy do tego koszmarnego weterynarza. Kathy, nasza lekarka, stwierdziła, że nabawiłem się infekcji pęcherza. Powiedziała, że to z rozpaczyc, i dalej mnie szturchała i macała.

Margaret wydawała się zaskoczona; chyba nie sądziła, że koty czują tak samo jak ludzie. No, może nie tak samo, ale mocno. Oplakiwałem Agnes i z tej rozpaczyc się rozchorowałem. Claire oplakiwała Steve’a, faceta ze zdjęcia, a Jonathan – coś, co się nazywa Singapur.

Widziałem ich rozpacz, bo sam jej zaznałem. Postanowiłem więc, że będę przy ich boku, jak każdy szanujący się kot.

Rozdział 10



Koło południa zwołałem Tygryskę, żeby jej pokazać mieszkania pod numerem 22. Poszliśmy tam powolutku – Tygryska nie lubi się spieszyć, jeśli nie ma takiej potrzeby. Zatrzymaliśmy się tylko po to, żeby podrażnić dużego paskudnego psa za płotem. Zabawa polegała na tym, żeby podejść do samej furtki, wsadzić łapę do środka i czekać. Kiedy psisko podbiegało, odskakiwaliśmy i zwijaliśmy się ze śmiechu. Pies się wkurzał, ujadł wściekle i szczyrzył na nas kły. Bardzo fajna zabawa. Tym razem próbował nawet przeskoczyć ogrodzenie, ale każdy wie, że koty skaczą wyżej niż psy. Chyba nigdy by mi się ta zabawa nie znudziła, ale w pewnym momencie Tygryska uznała, że wystarczy tego dobrego.

– No, już dość – stwierdziła.

Na pożegnanie uśmiechnąłem się do niego szeroko. Gdyby nie płot, pogoniłby nas tak, że umieralibyśmy ze strachu. Takie życie.

W żadnym z mieszkań pod 22 nadal nie było lokatorów, ale na trawniku przed domem Tygryska pochwaliła mój wybór. Wracaliśmy po różnych ogrodzeniach, po płotach, po murkach, a dla rozrywki pogoniliśmy kilka ptaków. Bardzo udane popołudnie.

Uciałem sobie krótką drzemkę. Kiedy Claire wróciła po pracy, chyba ucieszyła się, że na nią czekam. Uśmiechnęła się szeroko.

– Alfie, mamy dzisiaj gościa na kolacji – oznajmiła z przejęciem. Poszła pod prysznic, a jak wróciła, miała na sobie dzinsy i sweterek, nie piżamę. Zabrała się do gotowania. Co prawda naląła sobie wina, ale przynajmniej nie płakała. Nakarmiła mnie i pogłaskała, potem wyjmowała z lodówki różne rzeczy i wrzucała je na patelnię.

Jeszcze nigdy nie wdziałem jej w tak dobrym humorze. Zacząłem się nawet zastanawiać, czy w naszym życiu pojawi się mężczyzna ze zdjęcia. Martwiłem się o nią, ale i cieszyłem.

Rozległ się dzwonek. Claire pobiegła do drzwi.

Gdy je otworzyła, zobaczyłem kobietę, mniej więcej w tym samym wieku co Claire, z kwiatami i butelką wina.

– Cześć, Tasha, wejdz – powitała ją Claire z uśmiechem.

– Hej. Piękny dom! – zawołała Tasha radośnie.

Obserwowałem, jak zdejmuje płaszcz. Claire zapytała, czy napije się wina, potem obie usiadły do stołu.

– Jesteś moim pierwszym prawdziwym gościem – stwierdziła Claire i trochę popsuła mi

tym humor; pierwszym gościem byłem chyba ja?

– No, to wypijmy za to! Witaj w Londynie. Fajnie, że spotykamy się poza biurem.

– W pracy zawsze jest takie urwanie głowy?

– Albo i gorsze! – Tasha się roześmiała; od razu ją polubiłem.

Wszedłem pod stół i otarłem się o jej nogi. W odpowiedzi pogłaskała mnie czule po ogonie – bardzo mi się to spodobało. Chciałem, żeby się zaprzyjaźniły, wtedy ja też mógłbym się przyjaźnić z Tashą.

Miałem rację. Wyglądało na to, że towarzystwo bardzo dobrze robi Claire – sporo zjadła, więc nabrałem nadziei, że najgorsze już za nami. Kiedy przestałem tak bardzo oplakiwać Agnes, apetyt zaczął mi wracać. Może z nią będzie tak samo.

– Powiedz, dlaczego przeniosłaś się do Londynu? – zainteresowała się Tasha.

– To długa historia. – Claire dołała wina i zaczęła opowiadać.

Siedziałem pod stołem wtulony w ciepłe nogi Tashy i słuchałem opowieści Claire. W ten sposób dowiedziałem się więcej o jej życiu. Słyszałem, jak zmienia jej się głos, ale nie płakała, była tylko na zmianę to smutna, to zła.

– Byliśmy ze Steve’em trzy lata, zanim wzięliśmy ślub. Mieszkaliśmy razem przez rok; oświadczył się, gdy tylko się wprowadziliśmy do wspólnego domu.

– Kiedy się pobraliście?

– Trochę ponad rok temu. Szczerze mówiąc, nie miałam szczęścia w miłości. Mama zawsze powtarza, że późno zaczęłam spotykać się z chłopcami. Pierwszego chłopaka miałam dopiero na studiach! Byłam rasowym kujonem. A potem poznałam Steve’a. Mieszkałam w Devon, w Exeter, pracowałam w marketingu, spotkaliśmy się na jakiejś imprezie. Przystojny, czarujący... Zakochałam się po uszy.

– No tak – mruknęła Tasha, wychyliła wino do dna i sięgnęła po butelkę.

– Wydawało mi się, że to ideał. Zabawny, dobry, ujmujący. A kiedy mi się oświadczył, myślałam, że pęknę ze szczęścia. Zbliżały się moje trzydzieste piąte urodziny, bardzo chciałam mieć dzieci. Zgodził się. Zdecydowaliśmy, że po ślubie i miesiącu miodowym jeszcze trochę nacieszymy się sobą, a potem postaramy się o dziecko. – Claire otarła łzy z oczu. Starła się być dzielna, ale zewsząd otaczał nas jej smutek.

– Na pewno chcesz o tym mówić? – zapytała cicho Tasha.

Claire skinęła głową i upiła łyk wina.

– Przepraszam, prawie nikomu o tym nie opowiadałam.

– Nie przepraszaj.

O tak, Tasha zdecydowanie przypadła mi do serca.

– A potem, mniej więcej trzy miesiące po ślubie, nagle się zmienił. Był humorzasty i wybuchowy, a jak pytałam, co się dzieje, tylko coś tam odburkiwał. Doszło do tego, że prawie bałam się odezwać słowem we własnym domu.

Słuchając Claire, doświadczałem wielu uczuć: smutku, złości i szczerzej sympatii do tej kobiety, która się mną zaopiekowała. Jak tylko kiedyś spotkam tego okropnego kolesia, odrapię mu facjatę. A przecież wcale nie jestem agresywny.

– Mniej więcej osiem miesięcy po ślubie stwierdził, że popełnił poważny błąd. Zakochał się w innej, zostawił mnie, przeprowadził się do niej. Wiedziałam, kto to, pracowała w siłowni. Ale banał, co?

– Powiedziałabym raczej: ale dupek – skomentowała Tasha.

– Wiem, mimo to czuję się jak idiotka. Naprawdę myślałam, że to ten jeden jedyny, nie miałam pojęcia, że mnie zdradzał, pewnie przez dłuższy czas. I dlatego wyjechałam. Mieszkają niedaleko mnie. Exeter to małe miasto, bez przerwy wpadałabym na nich. Nie zniosłabym tego.

W końcu zrozumiałem, czemu Claire tu zamieszkała i czemu tyle płacze. To sprawiło, że pokochałem ją jeszcze bardziej i chciałem opiekować się nią tak, jak ona mną.

– Czasami sobie myślę, że nigdy do końca nie znamy drugiej osoby – stwierdziła Tasha ze smutkiem.

– Przepraszam. – Claire wyprostowała się i wzięła w garść. – Nie pytałam, co u ciebie. Mówiłaś, zdaje się, że twój mąż ma na imię Dave?

– Mój partner, ściśle mówiąc. Jesteśmy razem od dziesięciu lat, żadne z nas nie chce ślubu, choć ta decyzja ma więcej wspólnego z samą instytucją małżeństwa niż z naszym związkiem, taką przynajmniej mam nadzieję. Jesteśmy szczęśliwi. Nie mamy dzieci, jeszcze, ale będziemy się starać mniej więcej w przyszłym roku. Dave za dużo gra w piłkę i jest strasznym bałaganiarzem, ja doprowadzam go do szału swoimi wadami, ale jakoś dajemy sobie radę. – Tasha wydawała się niemal speszona.

– Cieszę się, bo to znaczy, że zawsze jest nadzieja – stwierdziła Claire z uśmiechem.

Zdałem sobie sprawę, że moja pani czuje się samotna nie tylko przez niewiernego Steve'a, ale też z innego powodu. I tu mogła pomóc Tasha. Owszem, Claire miała mnie, ale nie byłem na tyle próżny, żeby uznać, że nie potrzebuje przyjaciół wśród ludzi.

– Posłuchaj, mamy klub książkowy. To trochę słabe, bo więcej pijemy wina i plotkujemy, niż dyskutujemy o książkach, ale może do nas dołączysz? Poznałabyś nowe towarzystwo, jest naprawdę fajne, w końcu ja też tworzę to grono.

– Bardzo chętnie, muszę zacząć życie od nowa; dlatego tu przyjechałam.

– Wypijmy za to. – Uniosła kieliszek. – Za nowe życie.

Nie zdołałem się oprzeć; choć wiem, że ludzie bardzo tego nie lubią, wskoczyłem na stół i dotknąłem łapą kieliszka – w ten sposób ja też dołączyłem do toastu. Kobiety popatrzyły na mnie i się roześmiały.

– Masz wspaniałego kota. – Tasha pogłaskała mnie bardzo czule.

– Wiem. Był w pakiecie z domem. Ale, Alfie, nie wolno ci tu wskakiwać. – Clare nie była zła; śmiała się.

Uśmiechnąłem się po kociemu i zeskoczyłem na podłogę. Wydawały się bardzo szczęśliwe, więc uznałem, że to odpowiednia pora zająrzeć do swojego kumpla Jonathana, przekonać się, czy już znalazł mój prezent. Chyba nie widziały, jak wymykam się przez kocią klapkę. Cały czas chichotały. Wyglądało na to, że dzięki Tashy Claire poczuła się znacznie lepiej. Bardzo mnie to ucieszyło.

Na dworze było ciemno, ochłodziło się też, gdy szedłem pod 46. Gruby kocur, który już wcześniej usiłował mnie zastraszyć, syknął groźnie, ale wrzasnąłem na całe gardło i dał mi spokój. Zresztą taki grubas na pewno by mnie nie dogonił. Przez kocią klapkę wszedłem do nieskazitelnie czystej kuchni Jonathana. Było w niej ciemno. Gospodarza zastałem na kanapie w saloniku. Miał przed sobą komputer. Na ekranie zobaczyłem jakiegoś gościa. Coś mówił.

– Dzięki, stary. Doceniam to – odezwał się Jonathan.

– Nie ma sprawy. – Mężczyzna na ekranie mówił po angielsku, ale z jakimś dziwnym akcentem. Był mniej więcej w wieku Jonathana, choć nie taki przystojny.

– Cieszę się, że dostałem tę pracę, bezczynność mnie dobija.

– To co prawda nie to samo co SSV, ale firma niezła i chyba ci się tam spodoba.

– Jak przyjedziesz do Anglii, masz u mnie kolację – zapewnił Jonathan.

– I wzajemnie, zapraszam do Sydney. Dobra, na razie, stary.

Jonathan zamknął komputer. Czas na moje wejście. Wyprostowałem ogon i dumnie wkroczyłem do saloniku. Stawiając łapy jedna przed drugą, powoli, statecznie zbliżałem się do Jonathana.

Westchnął głośno.

– Znowu ty. Domyślałam się, że tym razem też od ciebie dostałem martwego ptaka? – Już nie wydawał się taki zły jak przedtem; wiedziałem, że się ucieszy z prezentu. Przechyliłem głowę i zamiauczałem. Byłem pewien, że ptak mu się spodoba.

– Dlaczego koty nie rozumieją, że ludzie nie chcą mieć w domu martwych zwierząt?

Jak to? Spojrzałem na niego ciekawie. Wiedziałem, że niektórzy tak mają, ale akurat Jonathan jest jak kot; lubi polować i zabijać, nie miałem co do tego wątpliwości. Choć tego nie przyznawał, czułem, że lubi moje prezenty. Wstał.

– Zawrzyjmy umowę. Ja cię nakarmię, ty dasz mi spokój.

Znowu wiedziałem, że tylko tak gada.

– Spróbujemy; skoro wracasz, choć cię nie karmię, to może, jak ci dam jeść, znikniesz na dobre.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi, ale podszedł do lodówki, wyjął krewetki i przełożył je do miski. Potem nalał mi mleka na spodeczek.

– Robię to, bo jestem w dobrym humorze. Widzisz, dostałem pracę – wyjaśnił, tymczasem skupiłem się na uczcie pod nosem. Byłem w siódmym niebie. Jonathan znów podszedł do lodówki, wyciągnął butelkę, otworzył ją i zaczął pić. – Tak się cieszę; bałem się już, że nie znajdę żadnej pracy. – Wzdrygnął się. Ja tymczasem jadłem dalej. – Co się ze mną dzieje, do cholery? – mruknął do siebie. – Rozmawiam z kotem. To już drugi objaw tego, że chyba zwariowałem.

Przez chwilę zastanawiałem się, jaki jest pierwszy. Skończyłem jeść, wylizałem łapki do czysta. Czułem na sobie wzrok Jonathana. Stał i sączył piwo z butelki. Otarłem się o jego nogi z wdzięcznością i wyszedłem równie szybko, jak się zjawiłem.

Wiedziałem już, jak go zdobyć; nie może pomyśleć, że jestem słaby i bezradny. Samce alfa nie lubią słabości, nauczyłem się tego, oglądając seriale. Zresztą popatrzcie tylko, jak daleko zaszedłem. Od przerażonego, samotnego, zrozpaczonego kotka do takiego, który dużo przeżył i zdobył dwoje nowych przyjaciół. Miałem nadzieję, że Margaret i Agnes patrzą na mnie gdzieś z góry i są ze mnie dumne.

Posmutniałem na wspomnienie dawnego życia, ale i tak wracałem do Claire z uśmiechem. Nie dość, że zjadłem dzisiaj dwie kolacje, to jeszcze miałem już pewność, że Jonathan mnie lubi, i to tylko kwestia czasu, zanim jego wielki dom będzie też moim.

Myślałem o nadchodzącym weekendzie; Claire wspominała, że pojedzie do rodziców, wiedziałem jednak, że zostawi mi jedzenie. I choć będę za nią tęsknił, zyskam czas, żeby porządnie zakumplować się z Jonathanem. Nie miałem ani cienia wątpliwości, że jak poprzebywa ze mną trochę dłużej, zakocha się we mnie bez pamięci. W końcu Agnes zdobyłem po kilku dniach, a ona była o wiele bardziej uparta i humorzasta niż Jonathan.

Rozdział 11



W miarę jak Claire się pakowała, zorientowałem się, że jest niespokojna. Cały czas zagryzała wargi i przysiadła co chwila, tak jakby nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Uważałem się za bystrego kota; domyślałem się, że obawia się spotkania z tym okropnym Steve'em i jego nową dziewczyną.

Jednak mimo tych chwil niepokoju, Claire radziła sobie całkiem nieźle. Zaprzyjaźniała się z Tashą i postanowiła w przyszłym tygodniu pójść na spotkanie tego klubu książkowego. Czytała jakiś polecony kryminał – coś o kobiecie, która planuje zabójstwo męża. Stwierdziła, że gdyby jeszcze była mężatką, to podsunęłoby jej kilka pomysłów, bo najwyraźniej morderstwo jest tańsze od rozwodu. Miałem nadzieję, że w tym klubie pozna więcej przyjaciół. Bardzo mi zależało, żeby była znowu szczęśliwa. Cieszyłem się ogromnie, że teraz nasze losy są ze sobą nierozzerwalnie związane.

Wystarczyło kilka tygodni z Claire, żebym ją pokochał. Tak samo kochałem Agnes i Margaret. Margaret była piękna. Często się uśmiechała, nawet w trudnych chwilach, i zawsze chciała pomagać innym, choć właściwie to jej należałoby pomóc. Była dla mnie wzorem i dzięki niej stałem się właśnie takim, a nie innym kotem.

Claire potrzebowała mojej miłości, a ja czułem się zobowiązany jej to dać. Siedziałem w pobliżu, gdy się pakowała, co chwila ocierałem się o jej nogi i pilnowałem, żeby wiedziała, że jestem przy niej. Zniosła torbę na parter, podeszła do mnie, wzięła mnie na rękę.

– Na pewno sobie poradzisz beze mnie? – zapytała z troską w oczach.

Przechyliłem łepkę, jak gdybym chciał powiedzieć: oczywiście.

– Zostawiam ci dużo jedzenia. Uważaj na siebie. Będę tęskniła.

Pocałowała mnie w czubek nosa. Nigdy dotąd tego nie robiła. Zamruczałem z wdzięcznością.

Na dworze zatrąbił klakson. Poglaskała mnie na pożegnanie i wyszła. Zamknęła za sobą drzwi. Miałem nadzieję, że wszystko się ułoży i że ten straszny Steve nie zepsuje jej humoru. Po chwili ruszyłem na dwór.

Przywitałem się z młodymi kotami, które bawiły się na dworze, i poszedłem dalej, do domu podzielonego na pół. Ciekawiło mnie, czy w jednym z mieszkań pojawili się już lokatorzy. Zatrzymałem się w pół kroku – przy drzwiach do 22A zobaczyłem kobietę i mężczyznę. Kobieta miała coś przywiązane do piersi; po chwili okazało się, że to rozwrzeszczane dziecko. Mężczyzna obejmował ją ramieniem. Była bardzo piękna, miała długie jasne włosy i zielone oczy, o jakich marzy każdy kot, tak między nami. Trzymałem się z daleka, obserwowałem ich, jak otwierają drzwi do nowego domu. W głębi duszy nie posiadałem się z radości; trzy osoby! I choć jedna bardzo mała, to zawsze więcej niż jedna, żeby się mną zajmować.

Podszedłem bliżej, chciałem słyszeć, co mówią.

– Nie martw się, Pol, jak wstawimy meble, od razu zrobi się dużo ładniej.

Mężczyzna był od kobiety wyższy. Wyglądał bardzo sympatycznie, choć brakowało mu włosów.

– Sama nie wiem, Matt. To tak daleko od Manchesteru. Nasz poprzedni dom był o wiele większy.

– Pomyśl tak: to tylko etap przejściowy. Wynajęte mieszkanie. Kiedy wszystko się uspokoi, znajdziemy coś lepszego. Skarbie, wiesz przecież, że nie mogłem odrzucić takiej oferty, tu chodzi o naszą przyszłość, naszą i małego Henry'ego. – Pochylił się i pocałował czubek głowy, która właśnie przestała płakać.

– Wiem, ale się boję. Jestem przerażona.

Wydawała się tak zalekniona, jak ja, kiedy zaczynałem swoją wędrówkę na Edgar Road.

– Uwierz mi, Polly, wszystko będzie dobrze. Jutro, kiedy przywiozą meble, możemy się wprowadzić, z ciasnego pokoju hotelowego przenosimy się do naszego pierwszego londyńskiego mieszkania, a to już coś. Nowy początek dla nas wszystkich, dla naszej rodziny.

Od razu polubiłem Matta. Obejmował żonę i dziecko jak prawdziwy mężczyzna. O tak, instynkt mi mówił, że to będzie dla mnie dobry dom. Odeszli razem, a ja postanowiłem odwiedzić ich znowu, kiedy już się wprowadzą. To będzie lepszy moment, żeby zrobić zapoznanie.

Sprężystym krokiem wszedłem do domu Jonathana przez kocią kłapkę. Widzicie? Wiedziałem, że mnie lubi, bo nie spełnił groźby i nie zlikwidował kłapki. Znowu siedział w saloniku przed komputerem. Zerknąłem na ekran – tym razem nie było tam żadnego człowieka, tylko błyszczące samochody. Usiadłem obok niego.

– O, znowu ty? Czyli nie zrozumiałeś umowy.

Chciałem mu powiedzieć, że owszem, rozumiałem, po prostu się na nią nie zgadzam, więc miauknąłem głośno w nadziei, że skojarzy, o co chodzi.

– Ale niespodzianka. Tym razem nie przyniosłeś żadnego trupa.

Serce stanęło mi w gardle. Poczulem się okropnie, że przyszedłem z pustymi łapami. Położyłem się i oparłem łepkę o klawiaturę. Bałem się, że Jonathan się rozgniewa, ale on się tylko roześmiał.

– Dam ci resztkę krewetek, i tak nadają się tylko do wyrzucenia.

Oblizalem się i poszedłem za nim do kuchni. Nałożył krewetki do miseczki. Zabrałem się do jedzenia. Nie byłem głodny, ale świeże owoce morza to nie lada przysmak. Dopiero kiedy skończyłem pałaszować, zauważyłem, że Jonathan włożył dzisiaj ładne ubranie. Nie garnitur, ale też nie zwykle ciuchy. Łypałem na niego podejrzliwie spod zmrużonych powiek.

– Tak jest, Alfie Niechciany, idę dzisiaj w miasto. Na twoim miejscu nie czekałbym z kolacją – zaśmiał się i ledwie się obejrzałem, trzasnął frontowymi drzwiami.

Miałem dwa domy, a i tak byłem sam. Dawniej, kiedy Margaret dokądś szła, miałem do towarzystwa Agnes, a po jej śmierci moja pani wychodziła na tak krótko, że prawie nie zauważałem jej nieobecności. Nie mogłem się doczekać, kiedy pod 22A wprowadzą się nowi lokatorzy. Kot taki jak ja potrzebuje jedzenia, wody, ciepła, kolan i miłości. Tylko tyle, ale w moim krótkim życiu wydarzyło się tak wiele, że wołałem nie ryzykować. Postanowiłem na razie przespać się na drogiej kanapie Jonathana. Mimo tego, co powiedział, chciałem na niego poczekać, bo teraz, gdy Claire wyjechała, był moją jedyną rodziną.

Rozdział 12



Wspominałem przeszłość. Życie w dawnym domu, z Margaret i Agnes. To był zimny dzień, a Agnes bardzo cierpiała. Margaret dzwoniła do pani weterynarz, ale ta powiedziała tylko, że koniec się zbliża. Może dać Agnes coś na ból. Albo ją uśpi.

Margaret szlochała, trochę jak Claire, po jej zapadniętych policzkach spływały łzy rozpacz. Chciałem jej zawtórować, ale Agnes tak bardzo starała się być dzielna, że tłumilem mój żal i wtulałem się w nią z nadzieją, że nie przysparzam jej dodatkowego bólu.

Margaret szykowała się do weterynarza, co nie było proste, bo już swoje lata miała, a że nigdy nie kupiła samochodu, musiała sama dźwigać koci transporter. Zadzwoiła do sąsiada, niezwykle miłego pana imieniem Don, niewiele młodszego od niej; obiecał, że ją zawiezie. Zawsze chętnie służył jej pomocą. Agnes wspomniała kiedyś, że w pewnym momencie przypuszczała, że tych dwoje może zostanie parą, bo kilka lat wcześniej zmarła żona Dona, ale Margaret często powtarzała, że wystarcza jej własne towarzystwo.

– Ja i moje koty, więcej mi nie trzeba – zwykła mawiać ze śmiechem.

Nawet teraz niemal słyszałem jej głos.

Wtedy zostałem w domu sam, gdy pojechali z Agnes do weterynarza. Płakałem głośno jak nigdy. Bardzo się bałem, że stracę swoją kocią siostrę. Chociaż wiedziałem, że zostało jej niedużo czasu, słyszałem, jak Margaret o tym mówiła.

Agnes tamtego dnia wróciła, byłem bardzo szczęśliwy. Z wdzięczności wylizałem ją starannie. Tak strasznie się bałem, że już nigdy nie zobaczę jej pyszczka. Milczała, ale leżała u mojego boku jak zawsze. Byłem w siódmym niebie. W nocy odeszła. W pewnym momencie obudziłem się i nie usłyszałem bicia jej serca. W ciągu kilku godzin z euforii popadłem w czarną rozpacz.

Wtedy wydawało mi się, że to najgorszy dzień mojego życia.

Te smutne rozważania przerwał szcęk klucza w zamku, potem rozległ się śmiech i stukot obcasów. W domu nadal było ciemno. Słyszałem kroki w kuchni i już miałem się przeciągać, gdy coś na mnie upadło.

Miauknąłem na całe gardło. Odpowiedział mi kobiecy krzyk.

Jonathan zapalił światło i łypnął na mnie groźnie.

– Co ty robisz na mojej kanapie? – zapytał wkurzony.

Właściwie mógłbym zapytać: co ta kobieta tu robi, w końcu ja byłem pierwszy. Zamiast tego zerwałem się na równe nogi i rozejrzałem po pokoju.

Zauważyłem, że to nie była ta sama pani co poprzednio. Ta była wysoka i szczupła, miała

krótką spódnicę, która odsłaniała jej długie nogi.

– To twój kot? – zapytała trochę niewyraźnie.

Dlaczego ludzie tak lubią się upijać?

– Nie, to mój cholerny sublokator. – Jonathan łypał na mnie groźnie.

Nie miałem pojęcia, co znaczy „sublokator”, ale to nie brzmiało dobrze. Kobieta podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. Zaczęli się całować, więc uznałem, że na mnie czas. Nieraz słyszałem, że troje to już tłum.

Na dworze było jasno, gdy obudziłem się na łóżku Claire.

Pobiegłem na dół, zajrzałem do jednej z misek, które mi zostawiła, napiłem się wody i poszedłem na poranny spacer. To co prawda nie krewetki Jonathana, ale przynajmniej nie głodowałem. Postanowiłem poczekać i odwiedzić go później, gdy jego gość już sobie pójdzie. Zamiast tego wybrałem się pod 22, zobaczyć, jak tam nowi lokatorzy.

Było jeszcze wcześniej, ale wysoka kobieta siedziała już w ogródku, a mężczyzna wynosił meble z białego samochodu dostawczego. Kobieta, choć piękna, wydawała się bardzo smutna. Cały czas zagryzała wargi i wzdychała głośno. Nie wiedziałem, co jej jest.

– Muszę iść nakarmić Henry’ego – powiedziała, gdy z głębi domu dobiegł dziecięcy płacz.

– Dobrze, Polly, sam sobie poradzę.

Wszedłem za nią do środka; to był dom bez schodów, na jednym poziomie. Dość mały, ale za to już prawie gotowy do zamieszkania, choć sporo pudeł stało jeszcze nierozpakowanych. Dostrzegłem dużą szarą kanapę i kolorystycznie podobne fotele. Polly wzięła dziecko na ręce, usiadła z nim, przytuliła go do piersi i natychmiast przestało płakać. Bardzo mnie to zaintrygowało; widziałem coś takiego w telewizji, ale nie w rzeczywistości. Powróciły niewyraźne wspomnienia mojej mamy, która mnie karmiła, zanim przestawiono nas na kocią karmę, a potem zamieszkałem z Margaret. Jeszcze bardziej zatęskniłem za przeszłością. Nagle kobieta spojrzała na mnie. Tak jak zwykle zamrugałem na powitanie i już miałem się przedstawić, gdy krzyknęła głośno. Dziecko zaczęło płakać. Do pokoju wpadł mężczyzna.

– Co się stało? – zapytał zatroskany.

– Tu jest kot! – wrzasnęła i usiłowała znów zmusić dziecko do jedzenia. Poczulem się lekko urażony; jeszcze nikt nigdy tak na mnie nie reagował. Nawet Jonathan.

– Polly, to tylko kot; nie rozumiem, czemu się tak denerwujesz – odezwał się cicho Matt, jak gdyby mówił do dziecka.

Mały się uspokoił, ale teraz rozszlochała się Polly. Zacząłem podejrzewać, że popełniłem wielki błąd; ta kobieta miała najwyraźniej kocią fobię. Nie wiem, czy coś takiego istnieje, ale na pewno bardzo się mnie bała.

– Czytałam gdzieś, że koty mordują dzieci.

Pisnałem, jakby ktoś mnie uderzył. Można mi zarzucić wiele rzeczy – zabijanie myszy i ptaków, czasami, przyciśnięty głodem, atakowałem też królika, ale w życiu nie zabiłem dziecka. Też coś.

– Pol. – Mężczyzna ukląkł przy niej. – Koty nie zabijają dzieci. Tak się tylko mówi, żeby rodzice nie zostawiali kota z niemowlęciem, bo może położyć się na dzieciaku i niechcący go zadusić. Ten kotek nie śpi, a Henry nie jest sam.

Mężczyzna podobał mi się coraz bardziej. W jego głosie pobrzmiwało mnóstwo czułości i cierpliwości.

– Na pewno? – Wydawała się bardzo napięta. Czulem, że coś jest z nią nie tak. Nie tak samo jak z Claire, ale zdecydowanie coś nie w porządku.

– Pomyśl tylko, niby jak kot mógłby zabić Henry’ego w twojej obecności? – Podeszedł do

mnie i wziął mnie na rękę.

Fajny gość, stwierdziłem – trzymał mnie delikatnie, ale stanowczo. O człowieku można wiele powiedzieć na podstawie tego, jak cię trzyma. Jonathan jest trochę zbyt obcesowy, ale ten robił to po mistrzowsku.

– Matt, ja tylko... – Polly nadal wydawała się niespokojna.

– Ma na imię Alfie – przeczytał napis na plakietce. – Cześć, Alfie – mruknął i pogłaskał mnie. Miał przyjemne dłonie. Otarłem się o niego głową. – Słuchaj, Polly, on tu nie jest na stałe, więc nie masz się czego obawiać. Wszedł do środka, jak drzwi były otwarte. Gdzie mieszkasz? – zapytał.

Zamiauczałem uroczo, włożyłem w to cały swój wdzięk.

– Skąd pewność, że nie jest tu na stałe?

– Nosi plakietkę z imieniem i numerem telefonu. Zadzwonię tam, jeśli to cię uspokoi.

– Nie, nie, na pewno masz rację. Tylko go zabierz.

Polly nadal zachowywała się tak, jakby się czegoś bała. Dziecko chyba zasnęło. Czułem, że chociaż mężczyzna zachowuje się miło, w tym pokoju jest mnóstwo smutku.

– Dobra, wracam do pracy. Alfie, zmykaj do domu. – Wyniósł mnie na dwór i delikatnie postawił na ziemi. Nie miałem okazji obejrzeć całego mieszkania, ale nie chciałem znowu zdenerwować Polly.

Miałem jeszcze kilka godzin do kolacji, więc pomyślałem, że może sprawię Jonathanowi kolejny prezent. W końcu zaczął mnie lubić, musiałem więc trzymać łapę na pulsie. Warto mieć go po swojej stronie, bo z Polly czekały mnie pełne łapy roboty.

Rozdział 13



Wyszedłem z mieszkania przy 22A z mocnym postanowieniem: znajdę prezent dla Jonathana, ale słońce wybiło mnie z rytmu. Wielokrotnie słyszałem, że koty polują w nocy; że to nasza ulubiona nocna rozrywka, ja jednak nigdy nie lubiłem włóczyć się po ciemku, a teraz wychodziłem z domu po zmroku tylko wtedy, gdy naprawdę musiałem.

Nad moją głową śmigało mnóstwo ptaków, ale kiedy przysiadłem na trawniku w naszym parku, zobaczyłem motyle. Usiłowałem je złapać – na darmo, zaraz się rozpierzchły. Usiadły na pobliskim krzaku. Nie mogłem się oprzeć pokusie, pobiegłem za nimi. Dawniej, gdy mieszkałem z Margaret, ponad wszystko uwielbiałem gonić motyle. Skakałem i brykałem, a one i tak wymykały mi się z łap. Zdyszany, spróbowałem po raz ostatni, skoczyłem na krzew, ale źle obliczyłem odległość i klapnąłem na siedzenie. Ptak, który akurat przelatywał, wyśmiał mnie. Choć ucierpiały i moje ciało, i duma, zabawa była super. Zebrałem się w sobie, wstałem i postanowiłem tego dnia darować sobie polowanie.

Natknąłem się na plamę słońca i zapadłem w drzemkę. Chyba długo pospałem, bo kiedy obudziła mnie klótnia dwóch kotów z sąsiedztwa o to, który piękniejszy, już się ściemniało. Taka awantura to nic specjalnego; koty często są próżne. Kazały mi zdecydować, ale wiedziałem, czym grozi angażowanie się w taki spór, więc dyplomatycznie odparłem, że obaj są bardzo przystojni, i wycofałem się chyłkiem.

Claire nadal nie było, więc podreptałem do Jonathana. Wszedłem przez kocią kłapkę. W domu panowała ciemność. Przeszedłem do saloniku i ze zdumieniem zastałem Jonathana na kanapie, leżał z głową na poduszce. Ale nie spał, oczy miał otwarte. Po kobiecie z wczorajszej nocy ani śladu. Znowu był sam.

Spojrzał na mnie i znowu zrobiło mi się głupio, że nie mam dla niego prezentu. Wyglądał tak, jakby naprawdę potrzebował pocieszenia.

– Wróciłeś – stwierdził sucho. – Wiesz, prawie się cieszę na twój widok. Przynajmniej teraz ten dom nie jest tak cholernie pusty.

Miauknąłem z wdzięcznością, choć nie byłem przekonany, czy to naprawdę komplement. Mimo to postanowiłem zaryzykować i wskoczyłem na kanapę, tuż obok niego. Spojrzał na mnie, ale nie kazał mi zejść, a to już pewien postęp.

– Gdzie ty łazisz, jak cię tu nie ma? – zapytał nagle. Miauknąłem. – Włóczysz się po ulicach? Bo zaczynam myśleć, że mieszkasz tutaj, ze mną. – Patrzył na mnie zdumiony, gdy zamruczałem twierdząco. – Zabawne, Alfie, w tej chwili do mnie dotarło, jak naprawdę wygląda

teraz moje życie. Mieszkam w pustym domu, zdecydowanie dla mnie za dużym, właściwie nie mam przyjaciół. – Pomyślałem o dwóch kobietach, które u niego widziałem. – Nie mówimy o jednonocnych przygodach. Nie wiem, jak to się stało, że doszedłem do czterdziestu trzech lat i niczego specjalnie nie osiągnąłem – użalał się nad sobą. – Nie mam żony, nie mam rodziny, tylko kilku kumpli, z czego większość w innych krajach.

Podszedłem bliżej i zamruczałem współczująco.

– Tylko ty i ja, Alfie. Po czterdziestu trzech latach życia mam do towarzystwa jedynie kota, i w dodatku nie swojego.

Spojrzałem na niego, przechyliłem łeppek. Chciałem dodać mu otuchy.

– Pewnie jesteś głodny? – zapytał.

Miauknąłem na całe gardło. No, to mi się podoba. Umierałem z głodu.

Poszliśmy do kuchni, Jonathan wyjął z lodówki wędzonego łososia. Choć bardzo kochałem Claire, posiłek z Jonathanem to coś wyjątkowego. Nałożył rybę na talerzyk, postawił na podłodze, a kiedy z apetytem pałaszowałem, głaskał mnie czule, czego jeszcze nigdy dotąd nie robił. Nawiązywaliśmy męską przyjaźń. Zaskoczył mnie, jednak przede wszystkim skoncentrowałem się na jedzeniu. Jako bardzo wrażliwy kot czułem, że moje serce mięknie; byłem wzruszony. Postanowiłem sobie, że rozgryzę Jonathana, i dlatego ciągle do niego wracałem, ale nie sądziłem, że pójdzie tak łatwo. Gdyby nie to, że pochłaniałem łososia, podskoczyłbym z radości.

Po kolacji wróciliśmy do saloniku. Dziwna z nas para – duży mężczyzna i mały kot. Serce wezbrało mi radością, gdy usiedliśmy razem na kanapie. Jonathan włączył ogromny telewizor i oglądał coś o przemocy, z mnóstwem facetów z bronią. Nie mieściło mi się w głowie, że mogę tak siedzieć obok niego na kanapie. Głaskał mnie odruchowo, wpatrzony w ekran, i choć nie podobał mi się ten film, było mi tak dobrze, że nie ruszyłem się ani odrobinę. Utwierdzałem się w przekonaniu, że muszę pomóc Jonathanowi – wiedziałem, że tego potrzebuje.

Rozdział 14



Obudziłem się bardzo wcześnie; wiem to na pewno, bo jeszcze było ciemno. Ze zdumieniem stwierdziłem, że nadal leżę na sofie Jonathana. Nie spędził mnie, pozwolił mi u siebie spać. Chyba zasnąłem, kiedy oglądał tamten okropny film. Nie miałem ochoty wychodzić, ale musiałem zajrzeć do Claire, zjeść śniadanie, a potem sprawdzić, jak wygląda sytuacja w 22A. Intrygowało mnie, czy i do 22B wkrótce sprowadzą się ludzie i jacy będą ci nowi mieszkańcy. Może zaprzyjaźnię się tylko z tymi miłszymi; nadal nie wybaczyłem Polly, że nazwała mnie mordercą dzieci.

Po śniadaniu pobiegłem tam i zobaczyłem wóz meblowy, a drzwi do drugiego mieszkania stały otworem. To nie był elegancki samochód, taki jak ten, którym przyjechały meble Matta i Polly, tylko sfatygowana, granatowa furgonetka, która, sądząc po wyglądzie, zderzyła się z niejednym słupem i przejechała niejedno zwierzę. Wzdrygnąłem się: oby nie koty. Dwóch mężczyzn wnosło meble do mieszkania. Zajrzałem przez otwarte drzwi. Zaraz za nimi zobaczyłem mały hol i schody. Kusilo mnie, żeby pobiec na górę, ale wstrzymałem się, gdyż mężczyźni wnosili stół. Z trudem mieścili się w wąskiej przestrzeni i wyczułem niebezpieczeństwo. Rozmawiali w języku, którego nie znam. Mówili głośno, z przejęciem, tak jakby się kłócili, choć wydaje mi się, że tylko po prostu rozmawiali. Chociaż nie zdziwiłbym się, gdyby jednak o coś się spierali, bo strasznie się męczyli z tym stołem, jak go wnosili schodami na górę. Kręciłem się w pobliżu. Korciło mnie, żeby wemknąć się do środka, ale nadal trochę się bałem. Nie tylko dlatego, że mężczyźni byli ogromni, chodziło też o ten obcy język. A co, jeśli pochodzą z krainy, gdzie pożera się koty? Nie wiedziałem, czy taki kraj istnieje, ale wolałem nie ryzykować. Agnes opowiadała mi o krajach, w których je się psy. Podobno to normalne w pewnych kulturach. Znowu się wzdrygnąłem. Wolałem nie skończyć w garnku.

Chciałem natomiast dowiedzieć się czegoś więcej o tutejszych mieszkańcach. Ukryłem się w cieniu, gdy mężczyźni wracali z piętra. Wydawało mi się, że się ukryłem, ale jeden z nich podszedł do mnie, żeby mnie pogłaskać. Mrugnąłem na powitanie, a on chyba mi odmruknął. Był bardzo duży, ale obchodził się ze mną niezwykle delikatnie. Zamruczałem. Mrugając co chwila, przemawiał do mnie w tym dziwnym języku. Po chwili dołączyła do niego kobieta. Drobna i bardzo ładna. Miała ciemne włosy i piwne oczy. Kucnęła, żeby mnie pogłaskać.

– On nie mówi po polsku – powiedział mężczyzna i pocałował ją.

– Koty w ogóle nie mówią – odparła z silnym akcentem.

Parsknęli śmiechem i znowu przeszli na ten swój dziwny język. Byli chyba w tym samym wieku co Polly i Matt i wydawali się sympatyczni. Uśmiech kobiety okazał się zaraźliwy, ja też się uśmiechnąłem, choć po swojemu – zmrużyłem ślepią. Nie wiem jednak, czy to zobaczyła, z przejęciem rozmawiała z dwoma mężczyznami, a ja nie rozumiałem ani słowa.

– Nadal tu jest. – Nagle wróciła do mnie wzrokiem.
– Może nas wita – zażartował mężczyzna.
– Może. Miły kot. – Nie wiedzieć czemu, uśmiech zniknął z jej twarzy. Podeszła do mężczyzny, wtuliła się w niego przerażona.

Przechyliłem łepkę zaintrygowany, gdy znowu powiedziała coś w tym dziwnym języku.
– Franiu, będzie dobrze. Przyjechaliśmy tu szukać lepszego życia dla nas i dla naszych chłopców. Zobaczysz, będzie dobrze.

Przytulił ją do siebie, uśmiechnęła się przez łzy.
Wszystko wskazywało na to, że to kolejna osoba, która potrzebuje mojej pomocy. Miałem wewnętrzny radar, a ta ulica dała mi nowy cel w życiu – nieść pomoc ludziom.

Ulżyło mi, że jestem tu potrzebny. Uśmiechnąłem się pod wąsem; przekonałem się już, że ludzie są o wiele bardziej skomplikowani, niż mi się zdawało. Ale ta para była bardzo miła, a w kobiecie, choć zapłakanej, wyczułem siłę, której nie miała ani Claire, ani Polly. Wiedziałem, że tutaj będę mile widziany, i już nie mogłem się doczekać, kiedy znowu ich odwiedzę. Odprowadzałem kobietę wzrokiem, gdy wchodziła do domu. Po chwili do mnie dotarło, że słońce stoi wysoko na niebie i czas na mój drugi posiłek tego dnia.

Wszedłem przez kocią kłapkę do kuchni. Jonathan siedział przy stole. Jadł grzanki i pił kawę. Miał na sobie sportowe ubranie. Miauknąłem głośno, dałem mu znać, że jestem.

– Cześć. Domyślam się, że chcesz jeść.
Wskoczyłem na krzesło. Roześmiał się.
– Dobra, bracie, chwila, daj mi dokończyć grzankę.

Czekałem cierpliwie. Wydaje mi się, że Jonathan popełnił w pewnym momencie jakiś duży błąd. Nie chodziło o pracę, o której mi opowiadał, tylko o dom. Pustka jakby z niego drwiła, wypominała mu, że jest sam. Na jego miejscu wybrałbym mniejsze lokum, coś, co nie podkreślałoby jego samotności. Na przykład jedno z mieszkań pod numerem 22. Teraz rozumiałem, czemu ze mną rozmawia; czuł się samotny, tak jak Claire. Zaczynało do mnie docierać, że nie tylko ja doświadczyłem samotności; widziałem ją w Claire, w nim, i coś podobnego, choć niedokładnie to samo, także w Polly i Frani.

Sporo spraw do ogarnięcia dla takiego małego kota jak ja; jeszcze więcej problemów do rozwiązania.

Jonathan poczęstował mnie tuńczykiem z puszki; to co prawda nie to samo co świeże krewetki czy wędzony łosoś, ale nie narzekałem.

– Alfie, wybieram się na siłownię. Muszę się pilnować, żeby nie utyć i nie zdzićzeć, bo mieszkam sam z kotem jak jakiś wariat.

Zaskoczył mnie tymi słowami, ale zaraz się roześmiał, więc kamień spadł mi z serca. Nie, oczywiście nie jest wariatem, jest tylko trochę zbikowany.

Postanowiłem, że ja też ciut poćwiczę. Zjadłem już dwa posiłki; musiałem teraz brać pod uwagę fakt, że karmią mnie w dwóch domach. Oczywiście nie zamierzałem zrezygnować z jedzenia; wspomnienia chudych dni oznaczały, że już nigdy w życiu nie będę kręcił nosem na posiłek. Ale jeśli jeszcze ci pod 22 zaczną mi dogadzać, nie Jonathan utyje, tylko ja. A wtedy przede wszystkim nie zmieściłbym się w kociej kłapce.

Chociaż odwiedzałem kilka domów na naszej ulicy, czyli biegałem od jednego do drugiego, bardzo się rozleniwiłem, trochę tak jak za dawnych czasów u Margaret. Wyglądałem już dużo lepiej, nabrałem ciała. Nie mogłem jednak pozwolić sobie na lenistwo i samozadowolenie. A co, jeśli znowu będę zdany tylko na siebie? Wzdrygnąłem się na samą myśl, wiedziałem, że takie rzeczy się zdarzają. Oby nigdy do tego nie doszło, ale gdyby jednak, tym razem musiałem być przygotowany; nigdy więcej nie wyląduję na ulicy.

Rozdział 15



Drzemałem skulony w kłębek na kocim pościu, które kupiła mi Claire. Było ładne, w biało-niebieskie paski. Co prawda nie tak przytulne jak mój stary koszyk, ale je lubiłem. Claire od razu podbiegła do mnie i długo mnie głaskała, co bardzo mnie ucieszyło. Poza tym kamień spadł mi z serca. Obawiałem się, że wróci zapłakana, albo, jeszcze gorzej, że w ogóle nie wróci.

– Tęskniłam za tobą, Alfie – powiedziała, a ja poczułem, jak robi mi się ciepło na sercu. – Mam nadzieję, że ty za mną też.

Oczywiście nadal była za chuda; wyglądała jak ja, gdy się poznaliśmy. Ale włosy jej lśniły, na policzkach pojawiły się rumieńce. Ten weekend chyba dobrze jej zrobił.

Przez chwilę obawiałem się, że to oznacza, że zechce tam znów się przeprowadzić, zaraz jednak wziąłem się w garść. Przecież jest tutaj, prawda? Wróciła; tego powinienem się trzymać. Wiedziałem, że jak na kota, zdecydowanie za dużo się martwię, ale to efekt moich przeżyć. Powoli dostrzegałem, że niesamowicie lubię i chcę pomagać ludziom, którzy doświadczają znanych mi, bolesnych uczuć. Ta chęć była we mnie bardzo silna. Po prostu musiałem robić dla nich wszystko co w mojej mocy.

Claire poszła do kuchni, nakarmiła mnie i wstawiła wodę na herbatę.

Kiedy się najadłem, przyniosła torbę, z której wyjęła mnóstwo nowych zabawek dla mnie. Było tam coś, co od biedy przypominało mysz na sznurku, piłka, zabawki z kocimiętka i coś brzęczącego. Z wdzięcznością otarłem się o jej nogi, ale szczerze mówiąc, równie dużo radości sprawiłoby mi zwykłe sznurowadło. Nigdy nie przepadałem za zabawkami, nawet jako mały kociak, chociaż to głównie z powodu Agnes, która z pogardą odnosiła się do takich rozrywek. Chciałem jej zaimponować, więc udawałem, że zabawki są również poniżej mojej godności. I tak mi zostało. Ale teraz ze względu na Claire próbowałem się nimi bawić. Żeby nie uznała, że jestem niewdzięczny.

Pileczka wpadła mi pod kanapę; nieźle się namęczyłem, zanim ją wyostałem. Claire śmiała się głośno i klaskała w dłonie z radości, więc zabrałem się do tego brzęczącego czegoś i już prawie miałem to w łapach, gdy wypadło mi i potoczyło się po podłodze. Pognałem za zabawką; wydawała bardzo dziwny dźwięk. Ilekroć myślałem, że ją w końcu dopadłem, wymykała mi się, więc uganiałem się za nią po całym pokoju, co doprowadzało mnie do szału. Claire natomiast była zachwycona, choć nie miałem zielonego pojęcia dlaczego.

Poszła na górę, wspomniała coś o tym, że musi się rozpakować, a ja postanowiłem uciąć sobie drzemkę; zabawa to ciężka praca, a jeśli do tego dodać posiłek, który pochłonąłem – najwyższy czas trochę odsapnąć.

Obudziły mnie śmiechy, rzadki odgłos w domu Claire, więc od razu nadstawiłem ucha.

Przyszła Tasha; natychmiast wzięła mnie na ręce i serdecznie przytuliła do siebie.

– Cześć, piękny – zagadła.

Widać było, że bardzo lubi koty, więc intrygowało mnie, dlaczego nie ma swojego. A wiedziałem, że nie ma, bo wyczułbym zapach.

Claire podeszła do nas z dwoma kieliszkami.

– Jeśli będziesz go tak rozpieszczać, zechce zamieszkać z tobą – zaśmiała się.

O rany, gdzie się podziała dawna ponura Claire? Wydawała się inną osobą. Nie mogłem się doczekać, kiedy opowie, co spowodowało tę przemianę.

– Och, chciałabym, ale niestety mój facet jest uczulony, więc Alfie zostanie z tobą.

– Ojej. Bardzo?

– Niestety. – Pokiwała głową. – Nawet po powrocie od ciebie muszę brać prysznic i prać ciuchy... Chyba że akurat zachował się jak dupek, wtedy zdarza mi się zapomnieć... – Obie parsknęły śmiechem.

Odebrałem to jako afront. Jak można się śmiać z tego, że ktoś jest na mnie uczulony? Jacy ludzie mają alergię na koty?

Claire wyszła, a po chwili wróciła z talerzami. Postawiła je na stole i zabrały się do jedzenia. Ku mojej wielkiej radości Claire jadła więcej, niż kiedykolwiek widziałem. Chętnie skakałbym z radości – moja Claire jest w zdecydowanie lepszej formie! Nie chciałem jej jednak spłoszyć, robiąc tyle zamieszania.

– Opowiadaj – ponagliła Tasha. – W ten weekend wydarzyło się coś dobrego, prawda?

– O Boże, czuję się sto razy lepiej. Jakbym wygrała jakąś bitwę. Zmierzyłam się z demonami i przeżyłam! No wiesz, bałam się, że jak pojedę do domu, na pewno ich spotkam. I tak było! – Claire wydawała się niemal zadowolona; próbowałem to zrozumieć, ale na razie nie mieściło się to w moim małym kocim rozumku.

– Jak to? – Tasha szeroko otworzyła oczy.

– Poszliśmy z mamą na zakupy. Nadal traktuje mnie jak małą dziewczynkę i uparła się, że zrobi mi zapasy. Tak jakby w Londynie nie było sklepów!

– Dobra, Claire. I co dalej? – Tasha zachichotała.

– No tak, przepraszam. Więc jesteśmy w dziale z warzywami i nagle widzę ich. On pcha wózek, ona na coś narzeka. Zauważyłam ich pierwsza. Nie wydawali się zbyt szczęśliwi.

Za to Claire tryska radością, pomyślałem.

– Co mówiła? – Oboje z Tashą słuchaliśmy jak zahipnotyzowani.

– Nie mam pojęcia, ale wiesz co? Ona jest gruba. Grubsza niż była, zanim się związali, i w pierwszej chwili pomyślałam, że jest w ciąży.

– A jest?

– Nie, ale o tym opowiem za chwilę. Mama z całej siły trzymała mnie za ramię i nagle stanęliśmy oko w oko. Steve wcale tak świetnie nie wyglądał, może dlatego, że po raz pierwszy widziałam go takim, jaki jest naprawdę.

– A nie przez różowe okulary.

– No właśnie. W każdym razie przywitaliśmy się. Ona stała z szeroko otwartą buzią, a ja dziękowałam losowi, że akurat ładnie się ubrałam, że mam makijaż i niezłą fryzurę.

– Mówiłam ci, że zawsze i wszędzie musisz dobrze wyglądać, bo a nuż natkniesz się na tego drania.

– Bogu dzięki, że cię posłuchałam! – roześmiała się i aż miałem ochotę ją pocałować.

Właściwie nawet to zrobiłem, ale tylko w ramię, kiedy dalej mówiła. Byłem bardzo dumny z ze swojej Claire, choć nie do końca wiedziałem dlaczego. – Zapytałam, co u nich, wymamrotali, że w porządku, choć słowo dają, że na to nie wyglądało. No wiesz, owszem, ja jestem za chuda,

teraz to widzę, ale jakim cudem ona przytyła piętnaście kilo w ciągu kilku miesięcy? W niczym nie przypominała kobiety, dla której mnie zostawił. W każdym razie teraz będzie najlepsze; ja zachowywałam się grzecznie, a moja mama, cały czas cicha jak myszka, nagle wypaliła z grubej rury: zapytała, kiedy urodzi się dziecko!

– Nie!

– A jednak. Wtedy laska wybiegła bez słowa, a Steve wymamrotał, że ona nie jest w ciąży. Właściwie powinnam odczuć satysfakcję, ale mnie się niemal zrobiło ich żal. Dlaczego? Nie mam pojęcia. To znaczy, kiedy z nim spała, wiedziała, że jest żonaty, oboje bardzo mnie zranili tym, co zrobili, ale w tamtej chwili uznałam, że są godni pożałowania. To było super! – Claire i Tasha śmiały się i obejmowały jak dzieci.

Miauknąłem z aprobatą. Może niewiele wiem, ale z tego co widziałem w telewizji, związki często rujną ludziom życie. Zastanawiałem się więc, czy nie wyszłoby im na dobre bardziej kocie podejście do sprawy. Bo my, oczywiście, potrafimy kochać, ale jeśli chodzi o romanse, jesteśmy zbyt rozsądni, żeby pakować wszystkie kociaki do jednego koszyka; życie nauczyło nas pragmatyzmu. Mnie na przykład podobają się pewne kotki, no cóż, właściwie większość kotek, ale nie jestem na tyle naiwny, żeby wierzyć, że będziemy sobie wierni do końca życia. Koty łączą się w pary na dni, tygodnie, przy odrobinie szczęścia – na miesiące, ale potem albo kociaki, albo rozstanie. Może gdyby ludzie mniej koncentrowali się na tym, żeby być z drugą osobą do końca życia, żyłoby się im łatwiej?

– Czyli odwiedziny w domu okazały się dobrym pomysłem mimo twoich początkowych oporów?

– Nie tylko dlatego, że ich widziałam i nie przejęłam się tym tak bardzo, jak się obawiałam. Poczułam też, że wyprowadzka to coś więcej niż ucieczka. Chcę tu mieszkać. Mam dobrą pracę, przyjemny dom, Alfiego i nowych przyjaciół. Fajnie było odwiedzić Exeter, a jednak chciałam już wracać tutaj. Jeszcze nie do końca doszłam do siebie, wiem, ale jest o wiele lepiej.

– W takim razie trzeba to uczcić. Pod koniec tygodnia urządzimy sobie babski wieczór. Zaliczymy kilka londyńskich barów. Mnóstwo alkoholu i przystojnych facetów.

– Wiesz co? Chętnie.

– Naprawdę przytyła piętnaście kilo? – Tasha z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Nie wiem, czy aż tyle, ale bardzo się roztyła. W przeciwieństwie do mnie.

Siedziałem pod stołem, więc otarłem się o nogi Claire, żeby dać jej do zrozumienia, że jestem z niej bardzo dumny. Przeszła podobną drogę jak ja, a teraz musi się zdrowo odżywiać, pić mniej tego całego wina i, no cóż, wkrótce odzyska dobrą formę. Była gotowa na nowe życie.

– Za nowe życie. – Uniosła kieliszek.

Niesamowicie, czyżby umiała czytać w moich myślach? Wskoczyłem na stół, żeby uczestniczyć w toaście.

Kiedy Claire i Tasha kończyły drugą butelkę i gadały bzdury, postanowiłem zajrzeć do Jonathana. Claire wyszła na prostą, więc teraz mogę poświęcić mu więcej uwagi. Wiedziałem, czego potrzebowała Claire, bo byłem tam, gdzie ona, na swój koci sposób, i wiedziałem, że zdołałem ją pocieszyć i uspokoić. Tego samego pragnąłem dla Jonathana. Zrobiliśmy spore postępy, ale czekała nas jeszcze długa droga. Zdawałem sobie sprawę, że będę miał pełne łapy roboty. Wszedłem przez kocią kłapkę; zastałem go w saloniku. Znowu leżał na kanapie. Spojrzał na mnie i nic nie powiedział, a to do niego niepodobne. Nie przywitał mnie i nie obraził; prawie tak, jakby mnie w ogóle nie widział.

Gapił się w telewizor. Wyglądał okropnie. Rozczochrany, w piżamie, i chyba tkwił tu od dłuższego czasu.

Nie wiedziałem, co robić. Usiadłem obok niego i miauknąłem cicho.

– Jak jesteś głodny, masz pecha. Nie ruszę się – odparł szorstko. Potem mnie pogłaskał, jak gdyby się cieszył z mojej obecności. Dziwne.

Chciałem mu powiedzieć, że już jadłem i zamierzałem mu tylko towarzyszyć, ale nie byłem pewien, czy przez moje miauczenie dotrze do niego ten przekaz. Na wszelki wypadek spróbowałem.

Jonathan był człowiekiem zagadką, ale może i ja byłem zagadkowym kotem. Wiedziałem tylko, że pod maską twardziela jest samotny i przerażony. Widziałem w nim strach, który sam przeżyłem.

Przechyliłem głowę i po raz kolejny usiłowałem mu zakomunikować, że nie jestem głodny, tylko się o niego martwię. Wtulałem się w niego, ocierałem łepkiem, chciałem dać mu do zrozumienia, że może na mnie liczyć, a kiedy spojrzał na mnie oczami pełnymi łez, doszedłem do wniosku, że zrozumiał.

– Dlaczego mam wrażenie, że zaglądasz mi prosto w duszę? – zapytał, znowu zirytowany.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– I co tam widzisz? Chyba tylko wielką czarną dziurę. Albo nic. Bo tam nic nie ma. Dobra, jutro muszę iść do pracy, do nowej cholernej pracy – westchnął. – No cóż, przynajmniej jakieś zajęcie, lepsze to niż siedzenie tutaj. Dobra, chodź, jeśli masz zostać, pójdziesz ze mną.

Ku mojemu zdumieniu wziął mnie na ręce i zaniósł na górę, do sypialni, a tam umościł na fotelu, na którym leżał już najbardziej miękki kocyk, na jakim w życiu siedziałem.

– Zupełnie zwariowałem, to mój najlepszy kaszmirowy koc.

Znów westchnął i mnie pogłaskał. Potem położył się do łóżka i niemal natychmiast zaczął głośno chrapać.

Rozdział 16



Następny ranek okazał się bardzo nerwowy i męczący. Obudziłem się u Jonathana; było jeszcze ciemno, a już szykował się do nowej pracy. Mamrocząc pod nosem, poszedł pod prysznic. Później, owinięty w pasie ręcznikiem, jeszcze trochę mokry, zaparzył kawę. Sam nic nie jadł, ale dla mnie postawił spodeczek z mlekiem. Wrócił na górę, a po chwili znów pojawił się w kuchni, wyglądał bardzo elegancko. Przez chwilę wściekał się, bo nie mógł zawiązać krawata. Wyszedłem z domu razem z nim, żeby okazać swoje wsparcie, i towarzyszyłem mu kawałek drogi. Klął, sapał i dyszał, ale ja wiedziałem, że w ten sposób ukrywa zdenerwowanie.

– Dobra, Alfie – powiedział. – Czas stawić czoło prawdziwemu życiu. Życz mi szczęścia. – Otarłem się o jego nogi. – Świetnie, teraz będę cały w kociej sierści – mruknął, ale pochylił się, pogłaskał mnie i dopiero potem oddalił się naszą ulicą. Było jasne, że mnie pokochał, ale nie lubił okazywać uczuć.

Pobiegłem za nim, starałem się dotrzymać mu kroku na swoich małych łapach; chciałem, żeby widział, że jestem z nim. Pokręcił głową, roześmiał się i przyspieszył. Bez tchu doszliśmy do końca ulicy i kiedy przechodził przez jezdnię, zdecydowałem, że już go zostawię. Wolałem nie oddalać się zbyt od Edgar Road.

Nadal zmęczony po tym pędzie, wróciłem do Claire. Właśnie wyszła spod prysznica.

– Tu jesteś! – zawołała, wzięła mnie na ręce i pocałowała. – Gdzieś ty się podziewał? Martwiłam się. – Wtulilem się w nią, chciałem się upewnić, że nie jest na mnie zła. – Co, jak inne koty włóczysz się po nocy? – Zdziwiła się trochę, ale na szczęście wcale się nie gniewała. – Skoro tak, uważaj na siebie – dodała.

Puściła mnie. Usiadłem na fotelu przy jej łóżku i obserwowałem, jak się szykuje. Ludzie są bardzo dziwni – myją się za pomocą sprzętów – my, koty, mamy wbudowany system myjący. Potem owijają się ręcznikami i wkładają na siebie ubrania. O wiele łatwiej być kotem. Cały czas mamy futerko i myjemy się, kiedy zachodzi potrzeba. Właściwie czyścimy się i pucujemy bez przerwy; koty zaprojektowano o wiele lepiej niż ludzi. No i wcale nie musimy chodzić do pracy, a jest to coś, co najwyraźniej spędza im sen z powiek. Chociaż doszedłem do wniosku, że opieka nad czterema rodzinami to niezła harówka, więc chyba coraz lepiej ich rozumiałem. Claire potrzebowała współczucia, Jonathan cierpliwości; oboje potrzebowali też mojej miłości i mojego wsparcia, a do tego dochodziły dwie rodziny spod numeru 22. Skoro o nich mowa; najwyższy czas sprawdzać, co się tam dzieje.

Na brak ruchu nie mogłem narzekać. Biegłem niemal w podskokach. Byłem w bardzo dobrym humorze. Świeciło słońce, czułem, jak powietrze się nagrzewa. Zapowiadało się na upalny dzień, później poszukam sobie odpowiedniego miejsca, nie za gorącego, ale i nie za

chłodnego. Lubię słońce, ale żaden kot nie chce się przegrać. Drzemka w cieniu – to jedno z moich ulubionych zajęć.

Bardzo się ucieszyłem, że drzwi do 22B są otwarte, a na małym trawniku przed domem bawi się dwoje dzieci. Trawnik był wspólny dla obu mieszkań, tyle że Polly i jej malucha nigdzie nie widziałem, choć dałbym sobie ogon uciąć, że słyszałem płacz niemowlęcia, gdy podchodziłem do chłopców na trawniku. Synek Polly płakał chyba głośniejsze niż ja w najgłębszej rozpacz.

Chłopcy byli różnego wzrostu, ale obaj raczej mali. Jeden z nich mówił coś do siebie w języku, którego nie rozumiałem. Nagle zobaczył mnie i podbiegł.

– Kot – oznajmił wyraźnie i się roześmiał.

Zbliżyłem się do niego, żeby się z nim zapoznać, potarłem łepkiem o jego nogi, aż zachichotał. Młodszy, który siedział na trawniku i bawił się samochodzikiem, też się roześmiał. W drzwiach stanęła kobieta. Już ją znałem – to Frania.

– Cześć, Alfie – zwróciła się do mnie. Chłopiec coś powiedział. – Olek, mów po angielsku – upomniała go miękko.

Po raz kolejny zaintrygowało mnie, skąd pochodzą.

– Kot, mam – powtórzył.

Podeszła i go pocałowała.

– Mądry chłopiec – pochwaliła, potem podniosła młodszego chłopaczka. – Damy kotkowi jeść?

– Tak, mam. – Olek pobiegł do domu.

Frania została na dworze.

– Chodź, Alfie! – zawołała.

Wzruszyło mnie i to, że pamięta, jak mam na imię, i że mnie zaprasza. Miała obcy akcent, ale bardzo ją polubiłem. Była w niej czułość i delikatność, cechy, których ze świecą szukać u Jonathana.

Szliśmy po schodach do ich mieszkania. Frania niosła młodszego synka, a ja dumałem, jakie to dziwne dzielić dom na pół. Hm, niesamowite. Mieszkanko samo w sobie było w porządku, jasne i nowoczesne, ale bardzo małe. Schody prowadziły do małego przedpokoju. Rozejrzałem się. Najpierw trafiłem do saloniku, większość miejsca zajmowały tu dwie kanapy, chyba miękkie, do tego wszędzie mnóstwo zabawek i niski stolik. W rogu pokoju stał stół, a trochę dalej znajdowała się mała kuchnia. W przeciwieństwie do domu Claire, tutaj wszędzie poniewierały się różne rzeczy, przez co dom wydawał się pełen życia. W przeciwieństwie do lokum Jonathana, u Frani w ogóle nie było miejsca.

Rozmyślałem o tym, jacy dziwni są ludzie. Jonathan ma taki wielki dom tylko dla siebie, a tutaj cztery osoby (co prawda dwie jeszcze bardzo małe) gnieźdzą się na tak niedużej powierzchni. Nic z tego nie rozumiałem, ale uważałem, że to niesprawiedliwe.

Frania zajęła się chłopcami, a ja rozglądałem się dalej. Mały korytarz prowadził do dwóch sypialni. W jednej stały dwa dziecięce łóżeczka, w drugiej – spore łóżko. Znalazłem też dość ciasną białą łazienkę. W pokoju z małymi łóżkami panował bałagan – na podłodze poniewierało się mnóstwo zabawek. W drugim pokoju – porządek. Całe mieszkanie wydawało się fajne i przytulne, tylko chyba trochę za małe dla rodziny.

Po tych oględzinach dołączyłem do dzieciaków. Chłopcy siedzieli obok siebie na kanapie. Młodszy ścisnął w rączce zaślinione ciastko. Olek ucieszył się na mój widok; zaczął mnie głaskać i drapać pod szyją. To bardzo miłe. Wielu moich kocich znajomych pod niebiosa wychwalało dzieci, i teraz, kiedy czułem na sobie małe rączki Olka i słyszałem jego śmiech, zaczynałem rozumieć, o co im chodziło. Tymczasem do pokoju wróciła Frania.

– Kiedy będziemy jeść obiadek, damy mu rybkę – powiedziała. Ciekawie nadstawiłem uszu. – A potem pouczysz się z nim angielskiego. I ja też – roześmiała się. – Zadzwoń pod numer na plakietce, żeby jego właściciele się nie martwili.

Zmrużyłem oczy. Ani Claire, ani Jonathan nie zmienili mi plakietki, więc na szczęście widniał na niej stary numer Margaret. A zatem na razie nic nie zagrażało moim planom.

– Może zamieszkać z nami? – zapytał Olek.

– Nie, kochanie. Tu nie wolno trzymać zwierząt.

Tego się nie spodziewałem. Coś takiego! Zakaz wstępu! Co za niesprawiedliwość.

– Szkoda – powiedział do mnie ze smutkiem, gdy Frania poszła do kuchni. – Dawniej mówiliśmy po polsku. Zanim tu przyjechaliśmy, uczyłem się angielskiego, ale to trudne.

Wtulilem się w niego, bo wyglądał, jakby zaraz miał się rozplakać. Objął mnie i trzymał tak mocno, że nie mogłem oddychać. Pozwalałem na to, póki starczało mi tchu, potem wyzwoliłem się z objęć. I znowu trafiłem do ludzi, którzy mnie potrzebują. Znaleźli się z dala od domu, może nawet jeszcze dalej niż ja, i był w nich smutek, który ostatnio bezbłędnie wyczuwałem.

Wróciłem na ziemię, gdy ten mniejszy chłopiec zaczął mnie klepać brudnymi rączkami. Właściwie – okej, musiałem tylko pamiętać, żeby porządnie się umyć, kiedy stąd wyjdę.

Nie miałem zbyt dużego doświadczenia z dziećmi. Kiedy mieszałem z Margaret, czasami odwiedzała nas mała dziewczynka. Była miła, zawsze chciała się ze mną bawić i częstowała mnie smakołykami ze swojego talerza, ale na tym kończyły się moje kontakty z dziećmi. Później, kiedy wyruszyłem w drogę, wiele kotów sugerowało, żebym poszukał sobie rodziny z dziećmi. Zapewniały, że maluchy to fajna sprawa, są jak przyjaciele – karmią cię, kochają i bawią się z tobą. Czulem, że w tym mieszkaniu tak właśnie będzie.

Choć bardzo polubiłem Claire i Jonathana, nie mogłem udawać, że dają mi wszystko, czego potrzebuję. Owszem, dostawałem jeść, poświęcali mi też uwagę, ale często zostawałem sam. W tej chwili przyszło mi na myśl, że mój plan bycia kotem dochodzącym może wpakować mnie w tarapaty, ale ja naprawdę, przynajmniej do pewnego stopnia, miałem plan.

Nie mogłem polegać tylko i wyłącznie na Claire. Kiedy wybierałem jej dom, nie wiedziałem, że jest sama, spodziewałem się co najmniej dwóch osób. Natomiast u Jonathana oczekiwałem sporej rodziny, nie ponurego faceta, więc i ten plan nie do końca wyszedł, tak jak powinien. W moim łepku wszystko pięknie się składało. Mieszkania pod numerem 22 będą moim domem dziennym, a nocować zamierzałem u Claire i Jonathana. Nie miałem wątpliwości, że przy odrobinie wysiłku wszystko się ułoży.

Położyłem się na grzbiecie i pozwoliłem Olkowi się pogłaskać, potem wesoło pomachałem ogonem. Trochę później chciał, żebym chował się pod krzesłem i udawał, że go atakuję. Nie rozumiem, czemu on i Tomek bardzo się wtedy cieszyli, ale chętnie spełniłem jego prośbę. Jeszcze później udawałem, że uganiam się za niewidzialnym ptakiem – obaj aż pękali ze śmiechu. Po pewnym czasie przyszła Frania i podniosła mniejszego chłopca.

– Nikt nie odbiera telefonu. Może zmienili numer, a plakietki nie. – Zamyśliła się. – Tomaszku, czas na drzemkę.

Zabrała go i po pewnym czasie wróciła sama. Słyszałem, jak chwilę płakał, zaraz jednak ucichł. Olek rysował coś sobie przy stoliku, ja siedziałem na kanapie. Nie bardzo wiedziałem, co dalej, ale byłem w świetnym humorze.

– Olek, Tomaszek śpi. Czas na angielski – powiedziała Frania.

– Dobrze, mamó.

– *How old are you*^[2]? – zapytała.

Obserwowałem ich rozmowę, wodziłem wzrokiem od jednego do drugiego.

– *Six. And Tomaszek is two.*

– *Very good. Where you live?*

– *London. We from Poland but it is far away now.* –

Posmutniał, widziałem też, że i oczy Frani pociemniały.

– Kiedyś tam pojedziemy – obiecała cicho.

– Tata mówi, że tutaj jest nasz dom – odparł Olek.

– No, to mamy dwa domy – stwierdziła, siląc się na optymizm.

Chciałem powiedzieć, że to dobry pomysł, że ja tak właśnie żyję, więc miauknąłem.

– O, kotek miauczy.

– Ma na imię Alfie, wiesz?

– Alfie? – powtórzył Olek, jakby uczył się tego słowa.

Zastanowiło mnie, jak to jest, uczyć się całkiem nowego języka, choć ten maluch pewnie dopiero niedawno w ogóle nauczył się mówić.

– Tak, Alfie. Może będziesz nas odwiedzał? – Spojrzała na mnie pytająco; przechyliłem głowę na znak, że chętnie będę do nich wpadał.

– Mamo, a jak nie spodoba mi się w szkole? – Wielkie piwne oczy Olka wypełniły się łzami.

– Na pewno ci się spodoba. Chwilami pewnie będzie ciężko, ale sobie poradzisz.

– Mhm.

– Teraz wszyscy musimy być dzielni. Tatuś ma dobrą pracę i jeśli się postaramy, będzie nam tu dobrze.

– No tak. A gdzie tata?

– Dużo pracuje, ale niedługo będzie w domu częściej. Robi to dla nas.

Podeszła do Olka. Narysował dom, ale nie ten, w którym teraz siedzieliśmy. Był dziwny, miał mnóstwo okien.

– Ja też tęsknię za naszym dawnym domem – powiedziała cicho Frania, gładząc go po włosach. – Ale tutaj nie jest przecież tak źle, co? Po prostu musimy być dzielni.

Nie wiedziałem, kogo stara się przekonać, jego czy siebie.

Tkwiałem bez ruchu; obserwowałem mamę i synka i czułem, jak zbiera mi się na płacz.

Oto ludzie, którzy mierzą się z przeciwnościami losu; najwyraźniej ich życie bywa równie trudne jak nasze, kocie.

Frانيا wstała gwałtownie.

– Dobra, zjedzmy coś. Chodź, Olek, przygotujesz obiad dla Alfiego.

Ucieszył się i poszedł z mamą do kuchni. Cały czas im towarzyszyłem, widziałem, jak Frania wyjmuje z lodówki puszkę sardynek i układa na talerzyku.

Mniam, pomyślałem. Łosoś, krewetki, a teraz sardynki. Dokonałem naprawdę dobrego wyboru.

Rozdział 17



Nie wziąłem pod uwagę układu mieszkania. Nie było tu kociej klapki, a do dyspozycji miałem tylko jedno drzwi. Za domem znajdował się mały ogródek, ale wchodziło się do niego z boku budynku, zresztą korzystać mogli z niego również lokatorzy spod 22A. Jedyne wyjście prowadziło przez drzwi frontowe, więc trudna sprawa, bo te były zamknięte. Musiałem nad tym popracować. Na razie zjadłem sardynki, piłem wodę i bawiłem się z Olkiem, któremu chyba poprawił się humor. Co prawda jego zabawki w przeważającej większości nie nadawały się dla kotów, ale bawiliśmy się razem piłeczką, co sprawiło mu naprawdę wielką frajdę.

Coraz lepiej rozumiałem, o co chodzi z tymi dziećmi; kiedy się śmieją, chcesz się śmiać z nimi, a ich radość jest bardzo zaraźliwa. Z drugiej strony, są bardzo męczące; nie miałem nawet chwili, żeby odsapnąć, i bardzo szybko byłem ledwo żywy. To nowe doświadczenie okazało się więc i przyjemne, i wyczerpujące.

Tomek, ten mały, obudził się i zaczął płakać. Dziwiło mnie, że ma na imię tak samo jak jego tata, i byłem ciekaw, czy im się mylą. Frania poszła po synka, przyniosła do saloniku i podała mu kubeczek z mlekiem. Dotarło do mnie, że naprawdę powinienem już się stąd zbierać, zajrzeć do Claire i Jonathana. Musiałem więc dać im do zrozumienia, że chcę wyjść. Kiedy Tomasz skończył pić, miauknąłem głośno, zbiegłem ze schodów i podszedłem do drzwi.

– Aha, chcesz wyjść – zauważyła Frania, która przyszła za mną z Tomaszkiem na rękach. Olek dreptał za nimi. Frania otworzyła drzwi.

Odwróciłem się, żeby się pożegnać, jak należy. Starłem się dać im do zrozumienia, że wrócę. Zamruczałem, żeby wiedzieli, że było mi bardzo miło. Olek pocałował mnie w łepkę, a ja polizałem go po nosie, co niesamowicie go rozbawiło. Tomaszek, który do tej pory nie powiedział ani słowa, zawołał:

– *Cat!*

Olek i Frania się roześmiali.

– Musimy powiedzieć tacie, że powiedział swoje pierwsze słowo po angielsku – stwierdziła Frania. – Alfie, mądrasku, dzięki tobie Tomaszek uczy się angielskiego.

Była zachwycona, a ja pękałem z dumy.

Wyszli na dwór razem ze mną. Słońce nadal świeciło, trawnik kusił. Wszyscy szliśmy do furtki, gdy uchyliły się drzwi do mieszkania na parterze i w progu stanęła Polly. Zdyszana mocowała się z wielgachnym wózkiem dzieciennym. Ze środka domu dobiegał płacz dziecka.

– Chwileczkę, pomogę.

Frania postawiła Tomaszka na ziemi. Od razu podreptał do brata. Frania wyciągnęła

wózek na zewnątrz i rozłożyła go zgrabnie.

– Dziękuję – powiedziała Polly. – Nie najlepiej sobie z nim radzę – uśmiechnęła się smutno. – Jest strasznie duży.

– Duży. Frania. – Wyciągnęła do niej rękę.

Polly uścisnęła ją niepewnie i zaraz cofnęła dłoń.

– Polly. Muszę iść po...

Zniknęła i niedługo wróciła z Henrym i całkiem sporą torbą.

Ułożyła synka w wózku i zaraz znowu zaczął płakać. Kołysała wózkiem, a Frania zajrzała do środka i pogłaskała Henry'ego po policzku. Polly miała przerażoną minę; taką jak wtedy, kiedy zobaczyła mnie po raz pierwszy. Może myślała, że Frania też chce zabić jej dziecko.

– Cześć, skarbie. Jak masz na imię? – Frania z uśmiechem spojrzała na Polly.

– Henry. Przepraszam, jesteśmy umówieni z pielęgniarką środowiskową i zaraz się spóźnimy. Do zobaczenia.

Odwróciła się, żeby zamknąć drzwi, a ja skorzystałem z okazji i wślizgnąłem się do środka.

Kiedy się obudziłem, nie bardzo wiedziałem, gdzie właściwie jestem. Stopniowo przypomniałem sobie, że to dom Polly. Obszedłem mieszkanie – nadal byłem sam. Siedziałem na szarej kanapie, na której chyba zasnąłem, zmęczony zabawą i trawieniem smakołyków. Po tym jak Polly zamknęła za mną drzwi, rozejrzałem się co nieco. Mieszkanie było tej samej wielkości co piętro wyżej, ale nie tak przytulne. W saloniku oprócz kanapy i fotela zobaczyłem skrzynkę – pełniła funkcję stolika – i matę z zabawkami na podłodze, pewnie Henry'ego, a na ścianie – duży telewizor. Nigdzie ani jednej fotografii. Zaintrygowało mnie, czy ich nie mieli, czy po prostu jeszcze nie zdążyli powiesić.

W większej sypialni były duże łóżko i dwa małe stoliki, właściwie tylko tyle. Wszystko białe. W mniejszym pokoju, urządzonej jak dla dziecka, wisiały natomiast korowe obrazki ze zwierzętami, nad łóżeczkiem maskotki, na podłodze leżał wielobarwny dywan. Jedyna oaza koloru w zupełnie bezbarwnym domu. Wydawało mi się to dziwne i czułem, że coś tu jest nie tak, ale nie wiedziałem jeszcze, o co chodzi.

Doszedłem do wniosku, że już czas na mnie. Kiedy szukałem wyjścia, w nagłym przypływie paniki uświadomiłem sobie, że znowu tkwię tu jak w pułapce i nie mogę wydostać się na zewnątrz. Nie ma nikogo, nikt mnie nie wypuści, więc jak stąd wyjdę? Gdyby choć okno było uchylone, jakoś bym się przecisnął na zewnątrz, ale na naszej ulicy nikt nie zostawiał otwartych okien na czas swojej nieobecności. Panika narastała. A co, jeśli wyjechali na dobre? Nikt nie wie, że tu jestem; czy tutaj umrę? Po długiej, niebezpiecznej wędrówce, czy naprawdę taki koniec mnie czeka? Ze strachu oddychałem coraz szybciej.

Wyobrażałem już sobie, jak tkwię w tym mieszkaniu do końca życia, bez jedzenia, picia i towarzystwa, gdy nagle drzwi się otworzyły i do środka weszli Matt i Polly z wózkiem, ten wypełniał niemal połowę mieszkania.

– Jest za duży, nie radzę z nim sobie – warknęła Polly. Miała łzy w oczach.

– W weekend kupimy mniejszy, obiecuję.

Henry spał. Zostawili go w wózku w korytarzu i poszli do kuchni. Drzwi zamknęły się zbyt szybko, żebym zdążył się wymknąć, zresztą zaintrygowali mnie, więc poszedłem za nimi.

– O nie, jak tu wszedłeś? – Polly wydawała się bardzo poruszona.

– Witaj znowu. – Matt mnie pogłaskał. – Napijesz się? – roześmiał się, jak się oblizałem, i nalał mi mleka na talerzyk.

– Nie wiem, czy powinieneś go zachęcać. – Polly nie była do mnie przekonana, ale też nie protestowała. – A jego właściciele?

– Nie przesadzaj, przyszedł dopiero drugi raz. Kiedy od nas wychodzi, pewnie wraca do domu. Powiedz lepiej, jak było u pielęgniarki?

– Inaczej niż u nas. Ta tutaj jest bardzo niemiła, zbyt zajęta, żeby mnie wysłuchać; spławiła mnie, gdy tylko mogła. Wiedziała, że Henry jest wcześniakiem i wymaga większej opieki, ale zbyła mnie byle czym.

– Ale teraz już nic mu nie jest. Wiesz o tym, prawda, Polly? – Matt mówił cicho, kojąco.

– Nie wiem. I dlatego siedziałam w parku, dopóki nie wróciłeś z pracy. Nie wiem, co robić.

Zachmurzyła się i zaczęła płakać.

Matt też wydawał się zmartwiony.

– Pol, wszystko się ułoży, naprawdę. Przykro mi. Posłuchaj, może poznam cię z żonami chłopaków z pracy? Może poszukamy kolegów dla Henry'ego?

– Chyba nie dam rady. Matt, ja czasami nie mogę oddychać, rozumiesz?

Dyszała ciężko, jakby dla podkreślenia tych słów. W oczach miała łzy; widać było, że jest głęboko poruszona.

Spojrzałem na nią i zrozumiałem, że to poważna sprawa; z Polly coś jest nie w porządku; ja to widziałem, ale Matt nie. A może tylko nie chciał widzieć. Nie miałem pojęcia, co tak bardzo przeraża Polly, ale instynkt podpowiadał mi, że to coś związanego z małym Henrym. W kocim świecie słyszy się o kotkach, które rodzą małe, a potem nie potrafią nawiązać z nimi więzi. Pomyślałem sobie, że może to coś podobnego. Nawet jeśli się myliłem, to nie ulegało wątpliwości, że Polly potrzebuje pomocy.

– To nerwy po przeprowadzce, zobaczysz, będzie dobrze.

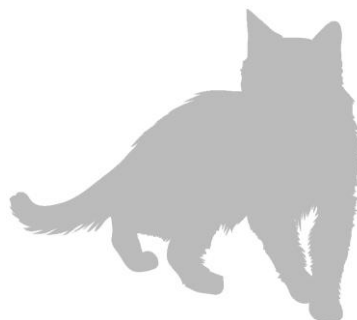
Z korytarza dobiegł krzyk. Polly zerknęła na zegarek.

– Czas na karmienie. – Podeszła do wózka, a ja przemknąłem między jej nogami.

Liczyłem na to, że mnie wypuści. Spojrzała na mnie, pochyliła się nad wózkiem, uchyliła drzwi. Popatrzyłem na nią najcieplej, jak umiałem, ale w ogóle tego nie zauważyła. Znużona wzięła synka z wózka i zamknęła drzwi.

Cóż, przynajmniej byłem znowu na dworze.

Rozdział 18



Szedłem Edgar Road i zastanawiałem się, do kogo teraz zajrzeć. Nie wiedziałem, która godzina; było jeszcze jasno, ale skoro Matt wrócił z pracy, pomyślałem, że pozostali też już są w domu. Postanowiłem, że najpierw zajrzę do Jonathana – to jego pierwszy dzień w nowej pracy, a rano był bardzo zdenerwowany. Czuję się głupio, że znowu zjawiam się z pustymi łapkami – co tu dużo mówić, myszka i ptak pomogły nam nawiązać nić porozumienia. Zdecydowałem, że później coś mu upoluję, żeby uczcić pierwszy dzień na nowej posadzie. Zostałem go w kuchni, gdy wszedłem przez kocią kłapkę. Teraz zdecydowanie uważałem, że powinny być w każdym domu.

– Cześć, Alfie – powitał mnie z nieoczekiwanym ciepłem w głosie.

Zamruczałem.

– Wiesz, wcale nie było tak strasznie, jak się obawiałem. Robota nie taka zła, a ludzie fajni. No więc żeby to uczcić, kupiłem nam sushi. To znaczy nie wiem, czy koty jadają ryż, więc dla ciebie mamy sashimi.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi, póki nie wyjął z brązowej torebki małej tacki. Wtedy zobaczyłem, że to ryba. Surowa. Nałożył mi na talerzyk, a resztę schował do lodówki. Spojrzałem na niego pytająco.

– Idę na siłownię, zjem po powrocie.

Miauknąłem z wdzięcznością i zabrałem się do pałaszowania. Mmm... pychota, miałem nadzieję, że Jonathan znowu mi kupi to sashimi. Kolacje u Jonathana to kulinarna rozkosz; oby nie przyszło mu do głowy kupować mi kocie puszki. Wystarczy, że mam je u Claire.

– Tylko nie myśl, że zawsze tak będzie – mruknął. – To wyjątkowa okazja.

Hm, chyba naprawdę czytał w moich myślach.

Kiedy jadłem, Jonathan przebrał się i poszedł na siłownię, więc później pobiegłem do Claire.

Claire siedziała w saloniku i oglądała telewizję. Już nie była smutna. Może to jej nowe wcielenie?

– Cześć, Alfie. Zastanawiałam się właśnie, gdzie znowu zniknąłeś.

Pogłaskała mnie, aż zamruczałem z radości.

Nasz związek rozwijał się, dając same korzyści nam obojgu. Claire nadal była moją główną właścicielką, nie tylko dlatego, że u niej pierwszej zamieszkałem, ale także dlatego, że więź między nami pojawiła się bardzo szybko i była silna. Nadal nie do końca wiedziałem, na czym stoję z Jonathanem, choć w duszy czułem, że facet mnie lubi. A jeśli chodzi o mieszkania

pod numerem 22, cóż, to dopiero początki. Natomiast Claire i ja byliśmy rodziną i ogromnie ją kochałem.

– Dobra, Alfie, idę się przebrać. – Spojrzałem na nią pytająco. Dokąd się wybiera? – Lecę na siłownię, uznałam, że najwyższy czas trochę o siebie zadbać. – Uśmiechnęła się pod nosem i poszła na górę.

Ciekawe, czy pójdzie do tej samej co Jonathan? Chyba nie chciałem, żeby się poznali. Jeszcze nie, zwłaszcza że oboje uważają mnie za swojego kota. Mogłoby się zrobić nieprzyjemnie.

Zamiast się tym zamartwiać, uznałem, że i ja powinienem poćwiczyć, żeby spalić dzisiejsze smakołyki, więc wyszedłem na dwór. Spotkałem Tygryskę, kotkę z sąsiedztwa.

– Co powiesz na spacer? – zapytałem.

– Chciałam się trochę polenić, a potem może przejść.

– Chodź ze mną. Muszę znaleźć prezent dla Jonathana.

Namówiłem ją w końcu, kiedy obiecałem, że będzie mogła wybrać, co upolujemy.

Kobiety!

Poszliśmy do parku, po drodze minęliśmy miłe koty i nie takie miłe psy. Jeden, ze dwa razy ode mnie większy, nie był na smyczy. Dopadł do mnie z głośnym ujadaniem, warczał i szczyrzył kły. Tygryska, bardziej zadziorna ode mnie, syknęła groźnie, ja jednak starałem się go nie denerwować. Nadal się bałem, ale teraz lepiej radziłem sobie z niebezpieczeństwem. Odwróciłem się, zawołałem Tygryskę, biegłem co sił w małych łapach i wdrapałem się na pierwsze drzewo. Na szczęście Tygryska też była szybka i błyskawicznie skoczyła za mną. Pies szczekał wściekle pod drzewem, póki nie zabrał go właściciel. Z trudem łapaliśmy oddech.

– Widzisz, Alfie? Nie mówiłam, że trzeba zostać w domu? – sapnęła Tygryska.

– Owszem, ale to dobre ćwiczenie.

W drodze powrotnej przypomniałem sobie, że miałem zdobyć prezent dla Jonathana. I proszę – przy śmietniku wypatrzyłem dwie soczyste myszy. Dobrze, że nie byłem głodny, bo kusiłoby mnie, żeby je zjeść; widziałem, jak Tygryska pochłania jedną prawie na raz.

Zostawiłem Jonathanowi mysz przy drzwiach i włóczyłem się bez celu. Posiedziałem z Tygryską u niej w ogrodzie, potem podreptałem z powrotem do Claire.

Wróciła cała mokra i czerwona. Nie wyglądała najlepiej, a już na pewno okropnie pachniała, ale za to była w świetnym humorze.

– Rany, Alfie, ledwie żyję. Ale po treningu czuję się o wiele lepiej. Mówią, że to dzięki endorfinom, więc pewnie coś w tym jest.

Wzięła mnie na ręce i okręciła się w kółko, chichocząc głośno. Starałem się znosić to z godnością, wiedziałem, że okazuje mi w ten sposób uczucie, ale naprawdę powinna się wykapać.

– Dobra, czas pod prysznic.

Odetchnąłem z ulgą. I uznałem, że ja też teraz zadbam o higienę.

Rozdział 19



Następnego ranka zjadłem śniadanie z Claire, a kiedy szykowała się do pracy, pobiegłem do Jonathana.

Rano miałem pełne łapy roboty, ale zamierzałem pożegnać oboje, zanim pójdą do pracy, więc zjadłem szybko i nawet nie myłem wąsów, tylko od razu wyruszyłem w drogę. Zależało mi, żeby obojgu okazywać zainteresowanie. Chciałem, żeby i jedno, i drugie uważało mnie za swojego kota. Jonathan właśnie wychodził, gdy się zjawiłem.

– No proszę, już się zastanawiałem, gdzie się podziewasz. Dzięki za prezent, ale nie musiałeś. Naprawdę, stary. Pewnie niejeden byłby zachwycony, że czyścisz naszą ulicę z myszy, ale wolałbym, żeby nie lądowały na mojej wycieraczce.

Karcił, jednak czułem, że w głębi duszy – być może bardzo, bardzo głęboko – ucieszył się z myszki. Bo przecież drugi raz mnie już nie wyrzucił, prawda? Jestem kotem, nie mogę więc przynosić takich prezentów jak ludzie – Margaret chętnie dawała kwiaty przyjaciom, ja sprawiałem miłe niespodzianki na swój sposób. I przypuszczam, że Jonathan rozumiał to lepiej, niż chciał się do tego przyznać. Spojrzałem na niego, oblizałem się i miauknąłem.

– W kuchni czekają resztki z wczoraj. Muszę lecieć do roboty, zobaczymy się, jak wrócę. Mam nadzieję...

Pochylił się i podrapał mnie pod brodą.

Bardzo to lubię, więc zamruczałem najgłośniejszym jak tylko można. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Kiedy wyszedł, dałem sobie spokój ze śniadaniem, wypucowałem się starannie i pobiegłem pod 22. Musiałem pamiętać, żeby kolejny raz nie dać się zamknąć. W końcu u Jonathana czeka na mnie pyszne jedzenie i szkoda, żeby się zmarnowało.

Miałem szczęście. Było jeszcze wcześniej, lecz Frania już siedziała w ogródku z chłopcami. Był z nimi też ten mężczyzna. Wyglądali tak, jakby dokądś się wybierali.

– Alfie! – Olek podbiegł do mnie.

Przewróciłem się na grzbiet, żeby mógł pogłaskać mnie po brzuszku.

– Lubi kota – stwierdził mężczyzna, Tomasz.

– Bardzo.

– Skarbie, teraz muszę iść do pracy. Postaram się zajrzeć do domu przed wieczorną zmianą.

– Kocham cię. Bez ciebie dzień strasznie mi się dłuży.

– Wiem, ale tak to jest w restauracji. Dużo roboty i dużo jedzenia. – Ze śmiechem poklepał się po brzuchu.

– Tęsknię, Tomasz.

– Wiem, ale z czasem będzie lepiej.

– Obiecujesz?

– Tak. Dobra, muszę iść zarabiać pieniądze, kochanie.
– *Darling*. „Kochanie” to po angielsku: *darling*.
– To nie to samo. Ty jesteś moje kochanie, nie *darling* – roześmiał się, pocałował żonę, dzieci i poszedł.

Frania znużona przycupnęła na schodach i obserwowała rozbawionych synków.
Przysiadłem obok niej.

– Dobrze chociaż, że słońce świeci. Dawniej myślałam, że w Anglii wiecznie pada.

Przytuliłem się do niej. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Olek czymś doprowadził Tomaszka do śmiechu. Cudowna scena, ale wyczuwałem w niej smutek. Wyglądało na to, że wszyscy ludzie, których sobie wybrałem: Claire, Jonathan, Polly i ci tutaj, mieli jedną cechę wspólną – samotność. I chyba właśnie to mnie w nich pociągało. Wiedziałem, że potrzebują mojej miłości i dobroci, mojego wsparcia i ciepła. Każdy dzień utwierdzał mnie w tym przekonaniu.

Spojrzałem na drzwi do mieszkania Polly i Matta i nagle wiedziałem, co robić. Frania potrzebowała przyjaciółki; podobnie jak Polly. Przecież Claire poczuła się o wiele lepiej, gdy zaprzyjaźniła się z Tashą. Rany, to takie proste. Musiałem tylko wymyślić, jak je połączyć.

Frania wstała i zawołała dzieci.

– Chłopcy, założymy buciki i pójdziemy do parku.

Weszli do mieszkania.

Kombinowałem, co tu zrobić. Wiedziałem, że muszę działać szybko. Zacząłem drapać w drzwi Polly i miauczeć głośno. Piszczalem i jęczałem. Bałem się, że jeśli zaraz nie zareaguje, stracę głos.

Po chwili otworzyła i spojrzała na mnie zdumiona.

– Co jest? – zapytała niespokojnie. Wydierałem się dalej. Pochyliła się. – Jesteś chory?

Piszczalem jak najęty i zaklinałem w duszy Franię, żeby się pospieszyła. Polly najwyraźniej nie miała pojęcia, co ze mną zrobić. Było mi trochę głupio, że tak ją denerwuję, ale miałem dobre intencje.

– O matko, nie wytrzymam tego. Proszę cię, kocie, cicho. – Była tak przerażona, że chciałem umilknąć, ale twardo piszczałem dalej.

Już myślałem, że nic z tego nie wyjdzie, gdy w sąsiednich drzwiach pojawiła się Frania z chłopcami.

– Co to za hałasy? – zapytała.

– Nie wiem, co mu jest – odparła Polly.

Umilkłem. Musiałem trochę odsapnąć. Olek podszedł i pogłaskał mnie; z wdzięcznością wtuliłem się w niego.

– Już w porządku? – zapytała Frania niepewnie.

– Ale tak strasznie płakał. Jakby ktoś obdzierał go ze skóry.

Chciałem podziękować za troskę; cóż, najwyraźniej byłby ze mnie świetny aktor.

– To twój kot? – zapytała Polly.

– Nie, odwiedza nas. Dzwoniłam pod numer na plakietce, ale nikt nie odbiera.

– Nie chcę kota. I bez tego mam dość na głowie. – Polly zalała się łzami, a z mieszkania dobiegł płacz. – O Boże, Henry śpi w wózku. To znaczy, spał.

Zajrzała do środka i znów usiłowała wyprowadzić ten monstrualny pojazd.

Frania jej pomogła. Polly płakała dalej.

– Już dobrze. Proszę usiąść. – Frania pociągnęła ją za sobą i obie klapnęły na schodku. – Olek, powóz trochę dziecko.

Chłopiec posłuchał i nagle mały przestał się wydierać.

– Mamo, uciszyłem go – oznajmił chłopiec radośnie i nawet Polly się uśmiechnęła.
– Przepraszam – powtórzyła.
– Nie śpisz? – domyśliła się Frania.
– Nie. Chyba nigdy. On... Henry... też nie śpi. W nocy. Za dnia trochę drzemie, a potem płacze. I płacze, i płacze, i płacze.
– Polly, tak? – upewniła się Frania, a Polly skinęła głową. – Wiem, jak to jest. Mam dwoje dzieci. Olek prawie nigdy nie spał. Z Tomaszkiem jest lepiej.
– Skąd przyjechaliście?
– Z Polski.
– A my z Manchesteru. – Widząc minę Frani, dodała: – To na północy Anglii. Matt, mój mąż, dostał tu pracę, bardzo dobrą, nie mógł nie przyjąć takiej propozycji. Ale tęsknię za domem.
– Ja też. Mój mąż tak samo. Jest kucharzem i został przyjęty tutaj do pracy w eleganckiej restauracji. Zapewnia nam lepsze życie, jasne, ale... cóż, ciągle jestem sama.
– Ja też. Matt znika na całe dni, choć przyjechaliśmy zaledwie tydzień temu. Byłam z Henrym tylko w parku i u pielęgniarki środowiskowej. Wszystko jest inne niż w domu. Nie znam tu nikogo.
– Kto to pielęgniarka środowiskowa?
– To taka jakby medyczna opiekunka małych dzieci. W Manchesterze przyjmowała cudowna osoba, ale ta tutaj nie miała dla mnie czasu. Była bardzo zajęta. Jak jej powiedziałam, że mały nie śpi, stwierdziła, że niektóre dzieci po prostu tak mają.
– Bo taka prawda, choć to małe pocieszenie. Olek nie spał, ale wiesz, okazało się po prostu, że cały czas jest bardzo głodny. Ciągle chciał jeść. No więc kupiłam mleko na noc, karmiłam go nim i spał trochę lepiej.
– Henry też jest ciągle głodny, ale wolałam nie dawać mu sztucznego mleka, dopóki nie skończy roku. Chciałam go karmić metodą naturalną, na żądanie.
– To znaczy?
– No, piersią.
– Jasne, ja też miałam takie postanowienie, ale jak to się mówi: goniłam w stópkę.
– W piętke. Też się tak czuję.
– Ktoś mi kiedyś powiedział, że najlepiej zaopiekujesz się dzieckiem, jak zrobisz to, co dla niego najlepsze. A to oznaczało, że musiałam spać. Więc za dnia karmiłam Olka sama, a w nocy mąż dawał małemu butelkę.
Słuchałem ich uważnie. Obie były kruche i wrażliwe, każda na swój sposób. Frania – bo znalazła się w obcym kraju i nikogo tu nie знаła, Polly – bo przyjechała do nowego miasta i nie mogła spać. Czuję, że rodzi się między nimi przyjaźń i aż pęczniałem z dumy, bo to moja zasługa, choć tylko ja o tym wiedziałem. Nawet jeśli w szczytnym celu musiałam przestraszyć Polly. Te kobiety, obie matki, obie samotne, obie zagubione, będą dla siebie podporą. Uznałem, że czas przypomnieć o sobie, więc miauknąłem.
– Och, Alfie, nadal tu jesteś – odezwała się Frania.
Polly pogłaskała mnie bez przekonania. To nie było zbyt przyjemne.
– Wczoraj przyszedł do nas. Trochę się bałam, bo podobno koty zabijają małe dzieci. Aż mnie zatrzęsło. Litości, mogłaby nie rozpowiadać tych bzdur, że mordują niemowlęta.
– Nigdy o tym nie słyszałam. Lubię koty. A ten jest bardzo mądry.
– Skąd wiesz?
– Przecież to dzięki niemu bliżej się poznałyśmy! Posłuchaj, chodźmy teraz do sklepu po mleko dla Henry'ego, a potem przejdziemy się do parku. Może mały pośpi?
– Bardzo chętnie. I w ogóle dziękuję; dobrze mi robi towarzystwo. Poza tym masz rację,

spróbujemy z butelką. W końcu nie mam nic do stracenia.

– Dobrze. Mnie też potrzebne towarzystwo. Moi chłopcy są fajni, ale chciałabym porozmawiać z kimś dorosłym. Przepraszam za swój kiepski angielski.

– Co ty, mówisz bardzo dobrze! Ja nie znam żadnego języka obcego.

Gawędziły cały czas i czułem, że to początek długiej przyjaźni.

Obserwowałem je, gdy szykowały się do drogi. Tomaszek niezbyt chętnie usiadł w wózku spacerowym, Olek szedł obok niego, Polly pchała swój wielki wózek, w którym Henry nadal nie płakał. Polly była wysoka, szczupła i jasnowłosa, a Frania – cóż, powiedziałbym: przy kości. Nie gruba, ale podczas gdy Polly wyglądała tak, jakby miała się przewrócić, gdybym choć otarł się o jej nogi, Frania chyba przetrwałaby każdą burzę. Była śliczna, miała ciemne, krótkie lśniące włosy i brązowe oczy, w których zapalały się iskierki, ilekroć się uśmiechała.

Zanim wyszli z ogródka, zatrzymali się, żeby się ze mną pożegnać. Olek pytał z prośbą w głosie, czy znowu go odwiedzę. Zamruczałem twierdząco, bo wiedziałem, że chłopczyk zostanie moim przyjacielem.

Te dwie kobiety pod względem fizycznym różniły się całkowicie – jedna wysoka, druga niska, jedna jasnowłosa, druga brunetka, ale instynktownie wiedziałem, że jednak do siebie pasują, i czułem, że dzięki mnie się zaprzyjaźnią. Nie chcę się przechwalać, ale uważałem, że w dużej mierze to będzie moja zasługa.

Zaintrygowały mnie ich opowieści i miałem nadzieję, że jeszcze nieraz posiedzimy sobie razem na trawniku przed domem. Podobała mi się ta wizja; chyba nigdy mi się to nie znudzi. I jeszcze bardziej zaprzyjaźnię się z Olkiem i małym Tomaszkiem; każdy chłopiec zasługuje na kotka. To był naprawdę dobry dzień. Zrodziły się nowe wspaniałe znajomości. Kto wie, dokąd nas zaprowadzą?

Rozdział 20



Życie kota dochodzącego to niełatwa sprawa. Mijały tygodnie, a ja cały czas miałem pełne łapy roboty, uwijałem się między czterema domami jak w ukropie. Powoli uświadamiałem sobie, że bycie kotem z czterema rodzinami wcale nie jest takie proste, jak mi się początkowo wydawało. Owszem, miałem satysfakcję, jednak odwalałem kawał ciężkiej roboty. Miałem plan, ale nie zawsze mogłem się go trzymać.

Claire była coraz mniej spięta, wiedziałem, że staje na nogi, bo przecież sam przez to wszystko przeszedłem. Widziałem w niej to, czego ja też doświadczyłem.

Chociaż nigdy nie dochodzi się do dawnej formy, to jasne. Jakaś część zawsze będzie cierpieć, ale trzeba się nauczyć z tym żyć. Tak mi się przynajmniej wydaje, bo tak było w moim wypadku.

Cieszyło mnie, że Claire się uśmiecha. Przytyła też trochę i nie wyglądała już jak wychudzony wróbelk. Nabrała kolorów i z każdym dniem miała w sobie więcej chęci do życia.

Przez dom Jonathana przewijało się wiele kobiet, choć nie zjawiały się już tak często. Mimo wszystko, jak dla mnie, i tak było ich za dużo. Trzeba mu jednak przyznać, że teraz, gdy pracował, rozsądniej gospodarował czasem: wcześniej chodził spać, a wieczorami albo siedział nad jakimiś papierami, albo chodził na siłownię. On też wyglądał coraz lepiej; jasne, od samego początku był przystojny, ale teraz już nie krzywił się tak często.

Do tej pory wieczory spędzałem trochę u Claire, trochę u Jonathana. Wydawało mi się, że obojgu to wystarcza. Zazwyczaj Claire wracała z pracy wcześniej niż Jonathan, więc razem jedliśmy kolację, a potem różnie – oglądaliśmy telewizję, czytaliśmy książkę, gadaliśmy przez telefon z kieliszkiem wina w dłoni. Potem korzystałem z okazji i wymykałem się do Jonathana.

Wychodziłem mu na spotkanie, gdy wracał z pracy. Często pracował do późna, co niezbyt mi się podobało, więc wtedy znajdowałem sobie inne zajęcia. Chodziłem na długie spacery albo biegałem dla sportu. Przytyłem trochę, nic dziwnego, przy tylu posiłkach, ale nadal było mi daleko do rudej kotki kilka domów dalej, która ledwo się ruszała i byle mysz grała jej na nosie.

Umawiałem się z Tygryską; razem spotykaliśmy się z innymi kotami z okolicy, bo nawet te, które mnie kiedyś nie lubiły, teraz do mnie przywykły. Po spotkaniu towarzyskim decydowałem, gdzie spędzę noc. Chodziłem raz do Claire, raz do Jonathana, problem w tym, że oboje lubili mnie widzieć zaraz po przebudzeniu. Jeśli spałem u Claire, rano od razu biegłem do Jonathana, żeby się z nim zobaczyć, zanim pójdzie do pracy, i odwrotnie. To męczące, ale starałem się zadowolić oboje. Moje życie stawało się coraz bardziej skomplikowane.

W ciągu dnia, kiedy Claire i Jonathan pracowali, biegłem pod numer 22. To było najlepsze. Stawałem na progu Frani i miauczałem, i miauczałem, póki ona albo Olek nie wpuścili

mnie do środka. Dawali mi rybę, najczęściej sardynki, ale najfajniejsze, że Olek się ze mną bawił. Po prostu super. Kładłem się na grzbiecie, a chłopaczek łaskotał mnie po brzuszku – to moja nowa ulubiona zabawa. W tym domu często było słycać śmiech. Czasami, kiedy mały Tomaszek spał, a Olek bawił się sam, szedłem do Frani do kuchni. Nieraz siedziała zapatrzona w dal. Wiedziałem, że nadal tęskni za domem, choć była najtwardsza ze znanych mi osób i swój ból ukrywała to pod maską śmiechu i pogody. Często jednak myślami odpływała gdzieś do Polski, nawet jeśli fizycznie była tutaj; znałem to z autopsji, z czasów na ulicy, gdy w marzeniach uciekałem gdzieś daleko stąd, do Margaret i Agnes, choć nie mam pojęcia, gdzie właściwie są.

W pewien weekend wybrałem się do Frani. Claire umówiła się z Tashą, Jonathan spotykał się z przyjaciółmi na, jak to określił, brunch, więc odwiedziłem Franię. Drzwi otworzył mi jej mąż, duży Tomasz. Jak zwykle przywitali się ze mną serdecznie. Tomasz wydawał się bardzo w porządku. Bawił się z dziećmi, a Frania gotowała obiad. Był bardzo troskliwy, zarówno wobec synów, jak i żony; widziałem, że choć czasami jest jej ciężko, otacza ją miłość. Poczulem się lepiej, bo uważałem, że na to zasługuje. Taka fajna, kochająca się rodzina, aż zrobiło mi się ciepło na sercu.

Czasami widywałem też Polly i Henry'ego. Było lato, więc często przesiadywali na trawniku. Frania i Polly nabrały nowego zwyczaju – piły razem kawę, a chłopcy bawili się na kocu. To znaczy, mały Henry leżał, ale już tak strasznie nie płakał i chyba cieszył się, że są przy nim inne dzieciaki. Olek i Tomaszek bawili się z nim – machali grzechotkami i doprowadzali go do śmiechu. Jednak Polly cały czas była bardzo spięta i prawie nigdy się nie uśmiechała. To mnie niepokoiło.

Kobiety nie tylko różniły się wyglądem; wydawały się też zupełnie innymi matkami. Frania była przy chłopcach spokojna, a oni – bardzo pogodni. Polly, ciągle spięta, obchodziła się z Henrym jak z jajkiem. Trzymała malucha niezgrabnie, nawet gdy go karmiła, i bardzo dużo płakała, tak jak Claire na początku. Frania powtarzała, że to zmęczenie, że stąd te łzy, ja jednak obawiałem się, że to nie wszystko. Odkąd karmiła małego butelką, więcej spała. Zapewne niewiele, ale coś chyba by się już zmieniło?

Frانيا często zapraszała ich do siebie, na górę. Najpierw karmiły Olka i Tomaszka, potem Polly starała się nakłonić Henry'ego do jedzenia. Wydawało się, że on też lepiej się tam czuje. Nie płakał tyle i częściej się uśmiechał. Zastanawiałem się, czy Polly to widzi. Chodziła wiecznie smutna i chyba nie zauważała połowy tego, co się wokół niej dzieje. O nią martwiłem się bardziej niż o pozostałych, a jednak nie odwiedzałem jej w domu – uznałem, że to kiepski pomysł. Tolerowała mnie, mimo to nadal odnosiła się do mnie podejrzliwie, choć czułem, że potrzebuje mnie bardziej niż inni. Nie wiedziałem, jak jej pomóc.

Obserwowałem tych ludzi, pod wieloma względami całkowicie różnych od mojej Margaret. Po pierwsze, byli od niej młodszy i mniej pomarszczeni, ale nie tylko to ich różniło. Claire rozkwitała; wychudzona, zapłakana istota, którą poznałem, zniknęła prawie śladu. Nadal zdarzały się chwile smutku, zazwyczaj gdy zostawaliśmy we dwoje, ale już nie tak często. Jonathan wciąż był trudnym przypadkiem, jednak on też wydawał się coraz szczęśliwszy; chyba nie tylko dzięki pracy, także z powodu nowych przyjaciół, nie tylko kobiet z wielkimi piersiami i lśniąącymi włosami. Mimo to uważałem, że jest samotny. Nie licząc tych kobiet, w jego wielkim domu nie bywali inni goście. Sporo wychodził, podobnie jak Claire, ale chwilami wyglądał tak, jakby czegoś mu brakowało. Po śmierci Agnes budziłem się z podobną miną. Otwierałem oczy, szukałem jej, przypominałem sobie, co się stało. Jonathan też chyba kogoś szukał.

Frانيا najbardziej z nich wszystkich przypominała Margaret: puszysta, rozsądna, ciepła, choć oczywiście tęskniła za domem. Polly – przeciwnie, była tak krucha, jakby lada moment miała się złamać, i chwilami zastanawiałem się, czy już do tego nie doszło. Każde z nich mnie

potrzebowało i dzień w dzień obiecywałem sobie, że im wszystkim pomogę.

Przetrwałem, teraz musiałem pomóc swoim ludziom.

Problem w tym, że nie mogłem być w czterech miejscach jednocześnie, a powinienem, żeby zrealizować to, co sobie postanowiłem.

– To naprawdę ciężka praca – poskarżyłem się Tygrysce.

– Cztery domy? No jasne. Cztery zestawy ludzi? – wzdrygnęła się. – Mnie wystarczy jeden, choć cię rozumiem.

– Nie zniosę myśli, że mógłbym znowu zostać sam. Muszę mieć pewność, że zawsze mam na kogo liczyć.

– Pewnie. Zresztą większość kotów uważa, że wierność jest przereklamowana.

– Ależ ja jestem wierny. Czterem różnym rodzinom. Muszę się nauczyć lepiej planować czas.

– Och, Alfie, nie dramatyzuj. Moi właściciele są małżeństwem bez dzieci. Gdyby coś im się stało... Cóż, póki cię nie poznałam, w ogóle się nad tym nie zastanawiałam.

– Oby nie spotkało cię to samo co mnie, zresztą i tak szczęściara z ciebie, bo jakby co, masz mnie.

– Dzięki, Alfie. Dobry z ciebie kumpel.

– Tygrysko, nikomu, ani człowiekowi, ani kotu, nie życzę tego, przez co przeszedłem. Na własnej skórze się przekonałem, że współczucie to ważna rzecz, bo wiem, jak to jest, kiedy go zabraknie. Szczęściarz ze mnie, przetrwałem na ulicy i mam teraz cztery domy, ale nie zapomniałem, jakie to istotnie nie być samemu. Dla każdego.

– Teraz już nigdy nie będziesz sam – zauważyła miękko Tygryska.

Fakt. Współczucie wiązało się z bliskością innych. To moja lekcja. Tylko dzięki współczuciu i wsparciu ze strony innych kotów i ludzi przetrwałem po śmierci swojej pani. Choć jakaś część mnie chciała połączyć się z Margaret i Agnes, inna pragnęła przetrwać i żyć. W ogóle tego nie rozumiałem.

Rozdział 21



Spałem u Claire, na kanapie w saloniku. Nie zabraniała mi tego, ale bardzo grzecznie namawiała, żebym jednak sypiał na kocim posłaniu. Jednak tego późnego popołudnia słońce padało przez okno prosto na kanapę, w takie jedno bardzo wygodne miejsce, i nie zdołałem oprzeć się pokusie – miałem za sobą ciężki dzień. Wróciłem od Frani głodny jak wilk. Bardzo długo bawiłem się z Olkiem, ale nie dostałem ani sardynek, ani mleka, po prostu nic. Frania była w gorszym nastroju niż zazwyczaj, jakaś roztargniona, i choć starałem się przy niej posiedzieć, w ogóle mnie nie zauważała. Poczulem się odrobinę urażony, że mnie lekceważy. Wiedziałem oczywiście, że ludzie mają swoje problemy, ale to nie powód, żeby mnie ignorować – zwłaszcza że chciałem jej pomóc w trudnych chwilach. Polly i Henry nie dawali znaku życia. Wrócili do domu, razem z Mattem, kiedy wychodziłem. Matt pchał wielki wózek, Polly wydawała się w lepszym niż zazwyczaj humorze, ale do tego stopnia pochłonęła ich rozmowa, że właściwie w ogóle mnie nie zauważyli. Jakbym stał się niewidzialny dla dorosłych mieszkańców spod numeru 22.

A to dopiero początek. Kiepskie przedpołudnie przeszło w koszarne popołudnie.

Claire była w domu, szykowała się do wyjścia. Co prawda nałożyła mi karmy do miseczki i nalala mleka, ale nie miała czasu ani na pogawędkę, ani na pieszczoty. Była bardzo zadowolona i zaabsorbowana przygotowaniami. Włożyła śliczną czarną sukienkę i buty na wysokim obcasie, których nie nosiła nawet do pracy. Poświęciła mnóstwo czasu swoim włosom i malowaniu twarzy. Kiedy skończyła, w ogóle nie przypominała mojej Claire.

– Alfie, nie czekaj na mnie wieczorem. Wychodzę dzisiaj z dziewczynami – oznajmiła z uśmiechem, ale ani mnie nie pogłaskała, ani nie wzięła na ręce; pewnie bała się, że zostawię jej sierść na sukience.

Coś takiego! Znowu poczułem się obrażony, choć wiedziałem, że to egoizm z mojej strony. Chciałem przecież, żeby była szczęśliwa, więc starałem się cieszyć. Nie zamruczałem jednak ani nie uniosłem wąsów, gdy wychodziła. Naprawdę ogarnął mnie kiepski nastrój.

Nudziło mi się, nie chciałem siedzieć sam, więc poszedłem do Jonathana, niestety nie zastałem go w domu. Najwyraźniej jeszcze nie wrócił z pracy, nie zostawił mi też nic do jedzenia. Na podłodze nadal stały nietknięte naczynia po moim śniadaniu. Nie byłem głodny, ale poczułem zawód – nie dość, że nie zadbał o mój posiłek, to na dodatek nie przejmował się moimi uczuciami.

Uświadomiłem sobie, że kot zawsze musi mieć łepkę na karku. To, że nie mieszkałem już na ulicy, wcale nie znaczyło, że wolno mi uważać dobrobyt za rzecz oczywistą. Na ludziach nie

można polegać. Oczywiście starałem się nie popadać w przesadę, wiedziałem, że nadal im na mnie zależy i o mnie dbają, ale musiałem być bardziej niezależny i nie taki wrażliwy. W końcu przez pewien czas mieszkalem na ulicy, więc nie mogłem być aż takim mięczakiem.

Problem w tym, że byłem. Pogubiłem się troszkę. Poszedłem na spacer, ale nie chciało mi się gawędzić z innymi kotami, nawet z Tygryską. Użalałem się nad sobą.

Włóczyłem się po domu Jonathana, zaglądałem do nieużywanych pomieszczeń, ale szybko mi się to znudziło. Zastanawiałem się, czy mu czegoś nie upolować, ale nie chciało mi się – zresztą, niby czemu miałbym wynagradzać to, że mnie zaniedbuje? Smutny wróciłem do Claire i tam zasnąłem w plamie słońca na kanapie.

Obudził mnie zgrzyt klucza w zamku i cichy śmiech. Zerknąłem w okno – ciemno. Do pokoju weszła Claire, wsparta na ramieniu nieznanego mężczyzny. Zerwałem się i uniosłem ogon, gotów jej bronić. Zapaliła światło.

– Och, Alfie, mój kochany, Alfie – mówiła bardzo dziwnie.

Odsunąłem się na bezpieczną odległość. Wiedziałem już, że jest pijana. Nie tak niemila jak tamci żule, których poznałem na ulicy, ale ogólnie dziwnie się zachowywała. Gdybym pozwolił jej wziąć się na ręce, na pewno by mnie upuściła, znając moje szczęście.

– No cóż, Claire, jesteś już w domu cała i zdrowa, więc już pójdę. – Mężczyzna poruszył się niespokojnie, jak gdyby nie wiedział, co robić.

– Nieee, Joeee, zostań na kawę – parsknęła śmiechem, jakby powiedziała najlepszy dowcip w życiu.

Ja tam nie widziałem w tym nic zabawnego.

– Dzięki, jednak się zbiorę, naprawdę. Rano mi za to podziękujesz. – Wydawał się miły, ale miał rude włosy, takie same jak gruby ryży kocur z naszej ulicy.

Rzuciła się na niego, dosłownie, i oboje zatoczyli się na kanapę. Uskoczyłem zwinnie, w ostatniej chwili uniknąłem zmiążdżenia. Claire zachichotała, a Joe z trudem wyplątał się z jej objęć.

– Claire, jesteś pijana – oznajmił z lekką irytacją. „Pijana”, delikatnie mówiąc. – Naprawdę muszę lecieć, obiecuję, że do ciebie zadzwonię.

– Proszę, nie idź – wybełkotała, on jednak wstał, pocałował ją w policzek i wyszedł. – Kurczę, jestem do niczego – wyszeptala Claire, ledwie zamknęły się za nim drzwi, i ku mojemu przerażeniu zaczęła szlochać jak dawniej. A potem, zamiast iść na górę, skuliła się na kanapie i zachrapała.

Widziałem to już i nie wiedziałem, co robić, poza jednym – zwinąłem się w kłębek i ułożyłem przy niej.

Obudziła się rano na kanapie. Wyglądała naprawdę okropnie.

– O rany. – Wsunęła ręce we włosy. – Och, Alfie, bardzo cię przepraszam. Wszystko w porządku? – Usiłowała wstać. – Łeb mi pęka. – Znów osunęła się na kanapę. – O rajusa – jęczała, trzymając się za głowę.

Zamiauczałem, żeby dać jej do zrozumienia, że jestem głodny.

– Kurka, Alfie, ciszej, błagam, nie rycz jak syrena.

Nie wiedziałem za bardzo, o co chodzi, więc miauczałem dalej. Nie kapowałem, co się z nią dzieje. Jeśli to efekt picia, czemu ludzie to sobie robią?

W końcu zwlekła się z kanapy i poczłapała do kuchni. Wypiła dwie szklanki wody, jedna za drugą. Podeszła do lodówki i wyjęła puszkę z moją karmą. Zrobiła się jakaś dziwna na twarzy, kiedy nakładała żarcie do miseczki.

– O nie, zaraz puszcze pawia.

Postawiła miseczkę na podłodze i wybiegła.

Zabrałem się do jedzenia. Nie miałem pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Tego dnia Claire nie musiała iść do pracy, i dobrze, bo wyglądała okropnie. Wróciła do kuchni bardzo blada, choć z resztkami wczorajszego malunku na twarzy. Do tego okropnie cuchnęła, choć nie tak strasznie jak bezdomni pijacy, a ja, jako kot, mam szczególnie wyostrzony węch.

– Alfie, czy ten facet, Joe, był tu wczoraj? – Miauknąłem w odpowiedzi; liczyłem na to, że zrozumie, że: tak. – Nie pamiętam. O rany, pewnie uważa, że jestem okropna. A taki fajny. Powinnam być mądrzejsza. Kurczę blade, zabiję się ze wstydu.

Pisnąłem rozpaczliwie. Za żadne skarby nie chciałem jej stracić.

– Nie dosłownie – odparła, jakby mnie zrozumiała. – Przepraszam, Alfie, idę do łóżka i zostanę w nim cały dzień. – Wyszła.

Odprowadzałem ją tęsknym wzrokiem. Cóż, jedno jest pewne, moi ludzie są bardzo skomplikowani. Wydawało mi się, że nigdy ich do końca nie zrozumiem.

Potruchtałem do Jonathana, bo było jasne, że z Claire nie będę miał dzisiaj żadnego pożytku, ale dom wciąż stał pusty. Zastanawiałem się, czy Jonathan wpadł na chwilę i znowu gdzieś wybył, ale na podłodze nadal stały moje puste miseczki po śniadaniu; najwyraźniej w ogóle nie pomyślał, czy mam co jeść. Przemknęło mi przez myśl, czy nie powinienem zacząć się o niego martwić, ale o takich jak Jonathan nie trzeba się niepokoić. Skoro ja dawałem sobie radę, on da sobie tym bardziej. Ale nie podobało mi się, że nie wrócił do domu, odkąd rano wyszedł do pracy. A już zwłaszcza to, że ani przez chwilę o mnie nie pomyślał, bo inaczej nie zostawiłby mnie bez dwóch posiłków. Zastanawiałem się, jak okazać mu mój gniew.

Już miałem się obrazić i opuścić dom Jonathana. Oczywiście kolejny prezent nie wchodził w grę, postanowiłem więc zlekceważyć gościa tak, jak on mnie, może wtedy zrozumie, co to za uczucie. I właśnie zbierałem się do wyjścia, gdy w drzwiach pojawił się Jonathan, w ubraniu, w którym chodził do pracy, ale czysty, schludny, w stanie.... hm, nienaruszonym. Nie tak jak Claire, to było jasne.

– Alfie, przepraszam, bracie. – Poglaskał mnie z uśmiechem, jakiego nigdy dotąd u niego nie widziałem. – Mam nadzieję, że nie umierasz z głodu. Nie przypuszczałem, że tak długo mi się zejdzie.

Miauknąłem gniewnie, żeby dać mu do zrozumienia, że wcale mu nie wybaczyłem i owszem, powinien o mnie pomyśleć; przecież nie mógł przewidywać, że ktoś inny mnie nakarmi.

– Och, Alfie, jesteś przecież światowym kotem. Wiesz, jak to jest, kiedy się poszczęści. – Porozumiewawczo puścił do mnie oko.

Mrugnąłem i spojrzałem na niego spod zmrużonych powiek. Nie, nie wiedziałem, jak to jest. Nie byłem takim kotem. Jonathan się roześmiał.

– Gdybym nie znał cię lepiej, uznałbym, że nie pochwalasz mojego zachowania. – Znowu zarechotał. Zabrzęczała komórka. Przeczytał coś na wyświetlaczu i uśmiechnął się pod nosem.

Przyszło mi do łepka, że może nadal jest pijany, tak jak wczoraj Claire, bo zachowywał się zdecydowanie inaczej. Owszem, był szczęśliwy, ale też trochę zwariowany.

– Przepraszam, jasne, na pewno z głodu burczy ci w brzuchu. Zaraz cię nakarmię.

Pograżony w myślach podniósł moje talerzyki z podłogi i nałożył mi kilka krewetek. No dobra, uwielbiam krewetki, ale nie tak łatwo mnie przebłagać.

Kiedy jadłem, Jonathan majstrował coś przy telefonie. Pisał, potem telefon piszczał, Jonathan czytał, uśmiechał się i odpisywał. Trochę mnie to denerwowało; w moim obecnym nastroju wolałbym jeść w ciszy.

– Alfie – odezwał się w końcu. – Słuchaj, podoba mi się kobieta, z którą się wczoraj spotkałem. Znam ją już od jakiegoś czasu, tak przelotnie, ale w zeszłym tygodniu znowu na nią wpadłem. No więc jest ładna, dowcipna, inteligentna, ma dobrą pracę. I wiesz co? Chyba się

troszeczkę zadurzyłem – wyznał, ale ja uparcie na niego nie patrzyłem, skupiłem się na krewetkach. – No proszę cię, już się nie gniewaj, co? Nie możesz się cieszyć moim szczęściem?

Najeżyłem futerko, bo chciałem mu powiedzieć, że nie, nie mogę, jeśli to ma oznaczać, że o mnie zapomina. Z drugiej strony, mogłem, jeśli dzięki temu nie będzie już smutny, choć tego wolałem mu na razie nie mówić!

– Rany, właśnie dlatego nie zamierzałem mieć kota. Jestem wolny, bez zobowiązań i chcę, żeby tak zostało. Przecież ja się nie złoścę, kiedy ty nie wracasz na noc. Jestem dorosły, Alfie – tłumaczył się gęsto. Cały czas siedziałem do niego tyłem. – No nie, Alfie, odpuść. Następnym razem przywiozę ją tutaj – nawijał. – Odwróciłem się, ale bez uśmiechu. – Czemu właściwie usprawiedliwiam się przed kotem? – Pokręcił głową.

Łypnąłem na niego z oburzeniem i wyszedłem przez kocią kłapkę. Dopiero na dworze zorientowałem się, że pada. Wcześniej, strasznie wkurzony, jakoś nie zwróciłem na to uwagi, ale teraz byłem w kropce. Claire spała, Jonathan mnie zdenerwował, więc nie miałem wyjścia, musiałam łązić po deszczu, czego nie znoszę. Pobiegłem pod numer 22.

Oburzony zachowaniem zarówno Claire, jak i Jonathana – Margaret nigdy nie narażała mnie na takie stresy – postanowiłem włożyć więcej wysiłku w oczarowanie Frani i Polly. Może one okażą się bardziej odpowiedzialne.

W końcu los się do mnie uśmiechnął. Matt, mąż Polly, akurat wchodził do domu z wielkim wózkiem i zdołałem wślizgnąć się do środka.

– Cześć, Alfie – powiedział.

Zrobiło mi się bardzo błogo, bo się do mnie odezwał, ale też dlatego, że w domu było ciepło i sucho. Zdjął buty, ustawił wózek w przedpokoju. Zamruczałem.

– Cicho, mały właśnie zasnął – szepnął. – A Polly drzemie, to jej dobrze zrobi. Chodź, wytrę cię i się napijemy.

Wszedłem za nim do małej, ale czystej kuchenki. Osuszył mnie ściereczką, potem nalał mi mleka na spodeczek. Czuję, że między nami nawiązuje się nic porozumienia, gdy pogłaskał mnie i postawił spodek na ziemi. Piłem najciszej, jak potrafię, Matt w tym czasie robił sobie drinka. Poszedł ze szklanką do saloniku, więc pobiegłem za nim. Usiedliśmy we dwóch na kanapie. On sięgnął po książkę i czytał, ja siedziałem spokojnie – udawałem, że jestem grzecznym kotem. Zwinąłem się w kłębek i uciałem sobie krótką drzemkę, ale zaraz obudził mnie czyjś głos.

– Długo spałam? Gdzie Henry? – zapytała wyraźnie podenerwowana Polly.

– Wszystko w porządku, skarbie. Śpi w wózku, a ty zaledwie się zdrzemnęłaś.

– Nie trzeba go nakarmić?

– Jadł śniadanie, nie ma jeszcze południa. Pol, on ma już ponad pół roku, więc chyba możesz zacząć go karmić o określonych porach.

– To samo mówi pielęgniarka środowiskowa. I Frania.

– Pewnie mają rację. Napijesz się herbaty?

– Bardzo chętnie.

Matt wstał, a przy mnie usiadła Polly.

– Cześć, kocie – odezwała się sztywno. Usiłowałem przewrócić oczami; wiedziała przecież, jak mam na imię. – Cześć, Alfie – poprawiła się.

Dałbym sobie łapę uciąć, że coraz lepiej wychodzi mi komunikowanie się z ludźmi; cóż, praktyka czyni mistrza.

Pochyliła się i delikatnie dotknęła mojego futerka. Siedziałem nieruchomo. Chyba się mnie bała, ale z drugiej strony – ona bała się niemal wszystkiego. Jednego byłem pewien – bała się własnego dziecka. Mały Henry wywoływał u niej panikę.

Wrócił Matt i postawił przed nią filiżankę herbaty. Podniósł mnie, usiadł i posadził sobie na kolanach.

– Mam nadzieję, że Henry nie jest uczulony na kocią sierść – zaniepokoiła się Polly.

– Skądże. Mama ma kota, a spędzaliśmy u niej dużo czasu.

– No tak, zapomniałam – szepnęła Polly. Wydawała się nieobecna myślami.

– Polly, wszystko w porządku? Tak szczerze. Zdaję sobie sprawę, że przeprowadzka była dla ciebie stresem, nie przypuszczałem, że będę tak dużo pracował od samego początku, ale martwię się o ciebie.

– Jest okej.

Rozejrzała się po pokoju z taką miną, jakby pierwszy raz zobaczyła ten pokój. Nadal było tu pusto, tak jak w dniu, kiedy się wprowadzili. Nie licząc kanapy, fotela i kufra w roli stolika, nie postawili żadnych innych mebli. Nawet mata i zabawki Henry’ego niewiele dawały. Mieszkanie nie przypominało prawdziwego domu, a już na pewno nie takiego jak ten piętro wyżej.

– Po prostu jest mi ciężko i czuję się zmęczona. Tęsknię też za domem. Teraz co prawda mam Franię, ale i tak często jestem samotna. Brakuje mi rodziny.

Nigdy nie słyszałem, żeby tak dużo mówiła, nawet w rozmowach z Franią.

– Zrobię wszystko, żeby ci pomóc – zapewnił Matt. – Może niedługo wybierzemy się na weekend w rodzinne strony? Albo, jeśli chcesz, ty i Henry zostaniecie z mamą na tydzień? Zawiozę was w niedzielę i przyjadę po was później – zaproponował, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony.

– Chcesz się nas pozbyć, tak? – W jej głosie wezbrała panika.

– Nie, byłoby mi smutno bez was, ale myślałem, że chętnie spędziłabyś trochę czasu z mamą.

Polly łypnęła gniewnie, ale dalsze wyjaśnienia Matta przerwał płacz Henry’ego.

– Nakarmię go.

– Może przygotuję butelkę? – zapytał. Wydawał się znużony, żeby nie powiedzieć: pokonany.

– Nie, piersi mnie bołą, nakarmię Henry’ego. – Zniknęła. Słyszałem płacz dziecka aż w sypialni.

Matt westchnął. Odpłynął myślami gdzieś daleko. Czasami Frania miała taką samą minę.

Głaskał mnie; co prawda wiedziałem, że robi to odruchowo, ale i tak było mi bardzo przyjemnie.

Po pewnym czasie Polly wróciła z Henrym. Położyła go na macie, zaraz wyciągał łapki po zabawki.

– Trzeba go zmuszać, żeby siadał – stwierdziła.

– Podłożę mu poduszkę.

Matt układał ją pod pleckami synka, chyba zadowolony, że ma coś do roboty. Usadził Henry’ego i zachęcał, żeby siedział prosto, machając mu zabawkami przed nosem.

Chłopczykowi to się spodobało, zaczął chichotać. Matt się roześmiał, nawet Polly się uśmiechnęła.

Najchętniej zrobiłbym im zdjęcie, żeby zapamiętali, że są szczęśliwą rodziną, bo w tej chwili tak właśnie było.

– Słuchaj, Pol, może pójdziemy obejrzeć jakiś mniejszy wózek, żeby się pozbyć tego kłamota? – zaproponował Matt, gdy Henry’emu znudziła się zabawa i znowu leżał na wznak, oglądając swoje stópki.

– Tak, możemy się przejść do tego sklepu, który odkryliśmy z Franią. – Ożywiła się

odrobinę.

– Wezmę Henry’ego do nosidelka.

Polly wstała. Szykowali się do wyjścia.

Skorzystałem z okazji i się pożegnałem. Odprowadzałem ich wzrokiem, jak szli ulicą, i na całe gardło miauczałem pod drzwiami Frani. Niestety nikt mi nie otworzył, a w oknach było ciemno. Chyba wyszli. Ruszyłem więc do Tygryski. Wśród swoich znajomych miałem nie tylko ludzi, ale i koty z sąsiedztwa. Teraz, gdybym znowu znalazł się w opałach, mogłem na nich liczyć. Nie żebym przewidywał, że zła sytuacja kiedyś się powtórzy, ale na wszelki wypadek...

– I co teraz? – zapytała Tygryska.

– Chodźmy nad staw, pogapić się na nasze odbicia.

To była moja nowa rozrywka. Stawaliśmy z Tygryską na samym brzegu i gapiliśmy się na własne odbicia, zniekształcone falowaniem wody. Później włóczyliśmy się po ogródkach przy naszej ulicy, chodziliśmy po płotach, zaglądaliśmy do komórek i bawiliśmy się beztrosko. Nie zwracałem sobie głowy tym wszystkim, co mnie ostatni trapiło.

– Zobacz, jaki śmieszny pies! – zawołała Tygryska.

Syczeliśmy na niego głośno z bezpiecznego punktu obserwacyjnego na ogrodzeniu, a pies ujadał i biegał w kółko po podwórku. Ot, taka niewinna zabawa. Lubiłem towarzystwo Tygryski, była zgodna, niezbyt głośna i po prostu fajna.

Rozdział 22



Kiedy kilka dni później wszedłem do domu Jonathana, poczułem smakowity zapach. Jonathan był w kuchni i robił coś, czego w jego wykonaniu jeszcze nigdy nie widziałem – gotował. Na stole stała otwarta butelka wina, a sam co chwila popijał piwo.

– Cześć, Alfie. Wybaczyłeś mi już? – zapytał.

Zamruczałem w odpowiedzi. Nie widziałem go od paru dni i rzeczywiście, byłem już gotów mu wybaczyć, pod warunkiem że uraczy mnie smakowitą kolacją. Lubilem wszystkich swoich ludzi, ale Jonathan podsuwał mi najlepsze smakołyki. Podszedł do lodówki, wyjął otwartą paczkę łososia, nałożył go na talerzyk i z uśmiechem postawił na podłodze. Zmrużyłem oczy; było w nim coś dziwnego, ale nie wiedziałem dokładnie co takiego. Zabrałem się więc do jedzenia, a potem usiadłem na parapecie kuchennym, skąd mogłem patrzeć sobie na świat i zarazem mieć Jonathana na oku.

Z przyjemnością obserwowałem go podczas gotowania. Przebrał się i wyglądał fajnie w dżinsach i białej koszuli. Bardzo ładnie pachniał. Pogwizdywał pod nosem, emanował energią, co w kocim świecie równałoby się sprężystym, energicznym krokom.

Zadzwoił dzwonek. Jonathan niemal pobiegł do drzwi. Czekałem. Po chwili wrócił w towarzystwie kobiety i zrozumiałem, skąd ten jego dziwny nastrój. Była wysoka i szczupła, z długimi kasztanowymi włosami. Miała na sobie białą koszulę i dżinsy, czyli właściwie ubrała się tak jak on. W każdym razie nie przypominała innych kobiet, które tu sprowadzał, to na pewno. Też ładna, ale inna. Chyba bardziej zadbana i nie wylewała się z ubrań.

– Philippo, wina?

– Chętnie, dziękuję. – Arystokratyczny głos.

– Białe czy czerwone?

– Czerwone.

Wskazał jej miejsce przy stole i podał kieliszek.

– Dziękuję.

Nadal siedziałem na parapecie, ale ona nawet na mnie nie spojrzała. Miauknąłem, żeby o sobie przypomnieć.

– To kot? – zapytała.

Słucham? – pomyślałem. Oczywiście, że kot. Co za idiotyczne pytanie.

– Tak. Alfie – przedstawił mnie Jonathan.

– Nie wyglądasz na kociarza – stwierdziła sucho i po raz kolejny poczułem, że mnie

obraża.

– Był w pakiecie z domem – odparł z uśmiechem Jonathan. – Początkowo nie chciałem mieć żadnych zwierzątek, a już na pewno nie kota, ale później... bardzo go lubię.

Wyprężyłem się dumnie. I co teraz, wredna babo? Jonathan mnie lubi!

– Nie znoszę kotów – wypaliła.

Nie wierzyłem własnym uszom; miałem ochotę ją podrapać, ale wiedziałem, że to zły pomysł.

– Są dziwne.

Czekałem, aż Jonathan stanie w mojej obronie.

– Pewnie gdybym miał węża albo legwana, uznałabyś to za bardziej męskie – zażartował.

– Choćby psa. Ale kot?

– Jest w porządku, przyzwyczaisz się do niego, tak jak ja. Jeszcze wina?

Strasznie się zdenerwowałem. Zeskoczyłem z parapetu i syknęłam głośno, po czym ostentacyjnie wyszedłem z pokoju.

– No i proszę, uraziłaś go. – Jonathan był rozbawiony, a nie zły, jak się spodziewałem.

– To tylko kot, na miłość boską. – To ostatnie słowa, które słyszałem, zanim wyskoczyłem przez klapkę.

Kolejne wieczory spędzałem z Claire, która od pijackiego incydentu ciągle nie była sobą. Codziennie chodziła do pracy, ale wieczorami, po powrocie do domu, siedziała smutna. Nie wiedziałem, co ją gryzie, ale starałem się poświęcić jej jak najwięcej uwagi. Chciałem, żeby wiedziała, że może na mnie liczyć. Że zrobię wszystko, żeby znowu czuła się szczęśliwa.

Akurat jedliśmy razem kolację, gdy zadzwonił telefon. Spojrzała na wyświetlacz, zamrugła i odebrała.

– Halo? – Milczała zaskoczona. – Och, Joe. Cześć. – Cisza. Nie słyszałem, co ten Joe mówi. – Bardzo przepraszam za swoje zachowanie, byłam na ostrej bańce, zazwyczaj tyle nie piję.

To fakt. Owszem, lubiła łyknąć sobie wina, ale nigdy nie widziałem jej w takim stanie.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, a z każdą minutą na jej twarzy pojawiał się coraz szerszy uśmiech. W końcu rozłączyła się i wzięła mnie na rękę, jak lalkę.

– Och, Alfie, więc jednak nie wszystko zepsułam! Jutro przyjdzie tu na kolację. O rany, a myślałam, że zrobiłam z siebie totalną idiotkę. Boże, w co ja się ubiorę? Co ugotuję? Od lat nie byłam na randce. Od lat! Kurczę! Muszę zadzwonić do Tashy.

Z radości tańczyła po całym pokoju.

To ja tak bardzo starałem się jej pomóc, a jeden telefon od nieznanego faceta działa lepiej niż wszystkie moje wysiłki! Ludzie! W życiu ich nie rozumiem, nawet ja, który tyle o nich wiem.

W drodze do Jonathana obserwowałem, jak Tygryśka daremnie usiłuje zapolować na ptaka. Zostawiłem Claire pogrążoną w rozmowie z Tashą; była bardzo podekscytowana. Zastanawiałem się, co zastanę u Jonathana. Wszedłem przez kocią klapkę. Kuchnia była czysta i pusta. Zajrzałem do saloniku. Jonathan rozmawiał przez telefon.

– Nie ma za co, bardzo lubię gotować. – Chwila ciszy. – Tak, też mam w pracy urwanie głowy, a środa? – Znowu cisza. – Super, zarezerwuję stolik. Do zobaczenia, Philippo. – Rozłączył się i wtedy mnie zobaczył. – Cześć, Alfie, bracie. – Czule wzięł mnie na rękę. – Bardzo się cieszę, wiesz? Znałem Philippę przed laty, zanim wyjechałem do Singapuru. Wtedy oboje byliśmy w innych związkach, ona chodziła z moim kumplem z pracy. No więc wyobraź sobie, jak się poczułem, kiedy spotkałem ją przypadkiem i okazało się, że i ona, i ja jesteśmy wolni! Może kot nie jest typowo męskim pupilem, ale daję słowo, przynosisz mi szczęście! –

roześmiał się i poszedł przebrać na tę swoją siłownię.

Kiedy wracałem do Claire, czułem się trochę jak jo-jo. Siedziała w kuchni i coś pisała.

– Cześć, skarbie – powiedziała i mało brakowało, a odwróciłbym się, bo nie skojarzyłem, że to do mnie.

Usiadłem obok niej na krześle. Żałowałem, że nie potrafię odczytać tego, co tam zapisała. Potem rozległ się dzwonek do drzwi i wróciła z Tashą.

– Dzięki, że wpadłaś, jesteś naprawdę cudowną przyjaciółką.

– Nie do końca. Powinnam zabrać cię ze sobą, a nie zostawiać samą. – Tasha pogłaskała mnie.

– Byłam nieźle wstawiona.

– Ja też, dlatego cię zostawiłam. No, ale już wszystko okej. Najwyraźniej wpadłaś Joemu w oko, a on tobie i jutro macie randkę.

– Czuję się jak nastolatka. Umieram ze strachu. O rany, no dobra, skoro już tu jesteś, słuchaj, chciałabym ugotować o, to. – Pochyliły się nad zapisaną kartką. – Nie wiem, czy lubi włoską kuchnię, ale domowa lasagne i sałatka... to niezbyt oryginalne, tyle że też nie za bardzo skomplikowane; chyba się uda, co?

– Moim zdaniem to świetny plan, zresztą kiedy Joe cię zobaczy, nie jedzenie będzie mu w głowie.

– No właśnie! Nie wiem, w co się ubrać!

– Zaraz ustalimy. – Ze śmiechem pobiegły na górę.

Poszedłem za nimi i razem z Claire ułożyłem się na łóżku, Tasha buszowała w szafie.

– A co byś chciała włożyć? – zapytała.

– No cóż, myślałam o sukience, bo w sukienkach wyglądam lepiej niż w spodniach, ale z drugiej strony jestem w domu i nie chcę, żeby odniósł wrażenie, że jakoś specjalnie się wysiłam.

– Dżinsy, moim zdaniem dżinsy i seksowna koszulka to najlepszy wybór. – Tasha wyjmowała kolejne bluzki. – Tak, tak... dżinsy i dobra koszulka to jest to. Zresztą, przy twojej figurze... Facet roztopi się jak wosk.

– Oby. Naprawdę mi się spodobał.

– Niezbyt dobrze go pamiętam, ale jest rudy, tak?

– Rudy i niesamowicie zabawny.

– Zaslugujesz na trochę rozrywki.

– To fakt! – Claire zachichotała.

– Dobra, włóż to i zobaczymy.

Siedziałem na łóżku i obserwowałem pokaz mody, a kobiety chichotały jak dzieci. Śmiech Claire, którego od kilku dni nie słyszałem, bardzo mnie cieszył, ale też martwił. Skoro tak na nią działa mężczyzna, którego prawie nie zna, czy aby na pewno jest gotowa na randkowanie? Może nie za wiele o tym wiem, ale pamiętałem, w jakim stanie była, gdy tu zamieszkała, a teraz miała mały kryzys. Powiedziałbym, że nadal jest niestabilna. Musiałem mieć ją na oku.

W końcu wybrały kreację i wróciły na dół.

– Może herbaty? – zaproponowała Claire.

– Nie, dzięki, muszę wracać. Dave wymyślił, że dzisiaj wyskoczmy gdzieś na kolację.

– O rany, przepraszam, że zawracałam ci głowę.

– Nie wygłupiaj się, świetnie się bawiłam. Dobra, zobaczymy się w pracy, ale na wypadek gdyby nie udało się nam pogadać, chciałam ci przypomnieć, że randka to tylko randka. Może ten facet nie jest tym, którego szukasz, ale teraz masz się dobrze bawić. To tylko randka, nic więcej.

– Tak, wiem, nie mogę traktować tego zbyt poważnie. To dopiero początek, bardzo się staram.

Tasha wyszła, a my z Claire usiedliśmy na kanapie.

– Przykro mi, że ostatnio byłam taka okropna. Kocham cię, Alfie.

Odpowiedziałem szerokim kocim uśmiechem.

– Teraz wszystko się ułoży.

Mruknałem twierdząco. Miałem nadzieję, że się nie myli, choć nie byłem o tym do końca przekonany.

Rozdział 23



Byłem spóźniony. Biegłem co sił w łapach spod numeru 22, gdzie Frania i Olek przebierali mnie i robili zdjęcia. Zaśmiewali się do łez, oni i mały Tomaszek, a ja umierałem ze wstydu. Wkładali mi czapki i okulary przeciwsłoneczne, szaliki, chustki i wszystko, co im wpadło w ręce. Fotografowali mnie telefonem Frani i śmiali się do rozpuku. Doprawdy, byłem ponad ten cały cyrk, to chyba jasne? Oni jednak najwyraźniej się świetnie bawili, więc nie miałem wyjścia, mogłem albo znosić to z godnością, albo uciekać. Na szczęście kochałem ich na tyle, że wiedziałem, że kiedyś – pewnie następnego dnia – im wybaczę, pod warunkiem że dadzą mi sardynki.

Przebieranki zajęły prawie całe popołudnie. Nie widziałem się ani z Polly, ani z Henrym, i nie miałem dla nich czasu, bo musiałem zajrzeć do Claire, upewnić się, że jest w dobrym humorze przed kolacją z Joem.

Wpadłem przez kocią kłapkę i od razu natknąłem się na Claire. Wyglądała super, jedzenie pachniało smakowicie. Na dzień dobry otarłem się o jej nogi.

– O, jesteś wreszcie, już się o ciebie martwiłam. Chcesz coś zjeść? Szybko, zaraz przyjdzie Joe.

Zarumieniona, nałożyła mi karmy do miseczek, które teraz stały na specjalnej macie.

Jadłem spokojnie, a potem wypucowałem się staranie. Też chciałem wyglądać jak najlepiej.

Claire była bardzo zajęta, gotowała, zmywała po mnie i poprawiała sobie włosy, ale nie denerwowała się, jeśli już, była podekscytowana. Ja także.

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, drgnęliśmy oboje. Kolejny raz poprawiła włosy i pobięła otworzyć. Wyglądziłem futerko i ruszyłem za nią.

Stał za wielkim bukietem, ale i tak rozpoznałem go od razu – takich rudych włosów się nie zapomina.

– Wejdz, proszę.

Pocałował Claire w oba policzki i wręczył jej butelkę wina.

– Dziękuję, jakie piękne. Chodź do pokoju, zaraz naleję wina. Może być białe?

– Oczywiście. Zwykle po nim nie urywa mi się film! – Mrugnął do niej znacząco.

Przymknąłem oko na to, że mnie ignoruje, więc poszedłem za nimi do saloniku. Joe usiadł na kanapie, ja zająłem miejsce na podłodze przed nim.

– Poznałeś Alfiego? – zapytała Claire.

– Nie przypominam sobie. Cześć, Alfie. – Poglaskał mnie. – Miły kotek – stwierdził z uśmiechem.

Ja jednak wiedziałem, że nie mówi szczerze – czułem to. Po pierwsze, poprzednim razem

prawie na mnie usiadł, więc wiedział doskonale, że tu mieszkam. Po drugie, po tym, jak ludzie cię głaszczą, wiadomo, co o tobie sądzą. Są oczywiście też inne sposoby, ale jak ktoś lubi koty, głaszczą cię szczerze, z sercem. To chyba taki koci odpowiednik uścisku dłoni. Obserwowałem, jak ludzie się witają, niektórzy ściskają rękę mocno i stanowczo, inni – ledwie dotkną.

Joe musnął mnie pobieżnie. Posmutniałem. Nie dość, że nie polubiła mnie przyjaciółka Jonathana, to teraz jeszcze i Joe, choć on to ukrywał, a ona mówiła otwarcie. Kiepsko mi szło.

Tak jakby na potwierdzenie moich odczuć, kiedy Claire poszła po wino, on rozejrzał się po pokoju, a na mnie nadal nie zwracał najmniejszej uwagi. Podszedłem do niego, ale łypnął na mnie groźnie.

– Spadaj, kocie – syknął.

Urażony pomaszerowałem dąsać się pod krzesłem. Cóż, będę tylko obserwował przebieg wydarzeń, bo najwyraźniej nikomu nie zależy na moim towarzystwie.

Claire wydawała się szczęśliwa. Przy niej Joe był czarujący, ale wiedziałem już, że tylko udaje, i to nie tylko po tym, jak mnie potraktował. Claire śmiała się, choć nie rozumiałem dlaczego; to, co mówił, wcale nie było zabawne.

– Uwielbiam pracę w reklamie – nawijał. – I kreację, i spotkania z klientami. Zwłaszcza rozmowy twarzą w twarz.

– Jasne, choć ja wolę nie mieć z nimi do czynienia. Dzięki temu łatwiej mi doprowadzić projekt do końca.

– Tak, Claire, wiem, o co ci chodzi, ale dla mnie to wyzwanie. Masz świetny pomysł, klientowi się nie podoba, ale jeśli dobrze to rozegrasz, postawisz na swoim. Nie ma lepszej adrenaliny.

– Cóż, pewnie jesteś do tego stworzony, ja nie. Ale tu, w Londynie, powoli się przyzwyczajam.

– Inaczej niż w Exeter, co?

– Tak, ale naprawdę się cieszę, że zdobyłam się na ten krok i przyjechałam tutaj.

– Wypijmy za to. Za nowe życie, nowe znajomości. – Tręcili się kieliszkami.

– No właśnie, mój nowy znajomy, siadajmy do stołu. I módl się, żebym cię nie otruła.

Cichutko przeniosłem się pod stół, podsłuchiwałem i miałem w nosie jedzenie.

Doszedłem do wniosku, że może Joe jest przyjemny fizycznie, taki rudy i z niebieskimi oczami... ale strasznie przynudzał. Cały czas mówił o sobie, a najbardziej mnie wkurzało, że Claire chłonęła każde jego słowo. Zazwyczaj była zabawna, inteligentna i cudowna, ale podczas tej kolacji zachowywała się jak jakaś słodka idiotka, jak te kobiety, z którymi dawniej spotykał się Jonathan. Zgadzała się z każdym jego słowem. Nawet kiedy oznajmił, że lubi polowania, a ja wiedziałem na pewno, że Claire nie ich nie znosi. Powiedziała mi, kiedy się wprowadziłem, że nie wolno mi przynosić żadnych łupów, bo nie można zabijać bez powodu. Gdybym umiał mówić, powiedziałbym, że to koci sposób okazywania uczucia, ale postanowiłem uszanować jej życzenie.

A teraz ten dupek siedział tu, gadał o sezonach myśliwskich i skubaniu bażantów, a ona nawet nie pisnęła słowem. Rozważałem, czy nie przynieść jej martwego ptaka, tak dla nauczki.

Na razie jednak kuliłem się pod stołem, póki nie wstali i podeszli do kanapy. Zaczęli się całować, tak trochę przerażająco, jakby walczyli. Nie wiedziałem, czy interweniować i bronić Claire, ale nie sprawiała wrażenia, że potrzebuje wsparcia.

– Jesteś cudowna – wyszeptał Joe, kiedy na chwilę się od niej oderwał.

– Ty też. Chodźmy do łóżka. – Niemal pobiegli na górę, nie zaszczycili mnie nawet spojrzeniem; chyba całkiem o mnie zapomnieli.

Wpatrywałem się w nocne niebo, coraz bardziej zaniepokojony. Martwiłem się, że nie

byłem niepotrzebny ani Jonathanowi, ani Claire. Oczywiście liczyłem na to, że jest inaczej. Ale nawet przy czterech rodzinach nie wiedziałem, na czym stoję. Zwłaszcza teraz, gdy oboje, i Claire, i Jonathan, mieli nowych znajomych, którzy mnie nie lubili. Takiego obrotu wydarzeń nie przewidziałem.

Owinąć sobie wokół pazurka kociarzy i inne koty to pikuś. Nawet w Agnes, która początkowo na mnie fukała, wyczuwałem dobroć. Tak samo w Jonathanie, choć w nim jest głęboko ukryta. Jednak ani w Philippie, ani w Joem jej nie dostrzegalem i bałem się, że mnie skrzywdzą.

Rozdział 24



Rzadko widzi się coś takiego. Frania płakała. To był jeden z tych dni, gdy duży Tomasz nie musiał iść do pracy. Zabrał chłopców na dwór i powiedział żonie, żeby w końcu sobie odsapnęła i poleniuchowała. Ona jednak nawet się nie położyła. Włączyła komputer, zaparzyła sobie mocnej kawy i rozmawiała z kimś na ekranie, chyba z mamą. Ta druga kobieta była do niej podobna, tylko że miała siwe włosy i dużo zmarszczek na twarzy. Wskoczyłem Frani na kolana i nagle obie parsknęły śmiechem. Frania wypowiedziała moje imię, więc chyba mnie przedstawiła.

Jeszcze długo rozmawiały po polsku, a potem Frania zaczęła płakać. Podbiegłem do niej szybko, bo już jakiś czas temu zeskoczyłem z jej kolan. Wzięła mnie na ręce i przytuliła. W nikim innym nie wyczuwałem tyle ciepła, choć starałem się być obiektywny.

– Och, Alfie – szlochała tak przejmująco, że aż pękało mi serce. – Tak bardzo tęsknię za mamą. Za całą rodziną. Za tatą, za siostrami... czasami boję się, że już nigdy ich nie zobaczę. – Popatrzyłem na nią, chciałem dać jej do zrozumienia, że wiem, o czym mówi. Bo naprawdę wiedziałem. Całym sobą odczuwałem uratę; była w moim futerku, moich łapach i moim sercu. – Bardzo kocham swojego Tomasza i nasze dzieci i rozumiem, że przyjechaliliśmy tu po lepsze życie i że Tomasz ma dobrą pracę, którą w dodatku lubi. Zawsze był ambitny. Ciągłe powtarzał, że chce mieć własną restaurację. I myślę, że to mu się uda. Muszę go wspierać. Tylko czasami jest mi tak ciężko! – Jak ja ją dobrze rozumiałem. – Przy chłopcach się trzymam, ale kiedy jestem sama, dopada mnie rozpacz. Nie chcę zawracać głowy Tomaszowi, bo haruje i robi wszystko, co w jego mocy, żeby było dobrze. Ma tu lepszą pracę, ale wszystko jest strasznie drogie, więc też się martwi. Wszyscy się martwimy i czasami sobie myślę, czy nie lepiej było zostać w domu? Ale rozumiem, że chce więcej. Dla siebie, dla nas, dla dzieci. – I Frania, moja śliczna, dobra przyjaciółka, ukryła twarz w dłoniach i jeszcze bardziej się rozplakała.

Siedzieliśmy tak przez, jak mi się zdawało, kawał czasu. W końcu delikatnie odstawiała mnie na podłogę, wstała, poszła do łazienki. Umyła się i nałożyła na twarz coś takiego, jak nakłada Claire, a potem ćwiczyła uśmiechy w lustrze.

– Muszę się wziąć w garść – stwierdziła.

Zastanawiałem się, czy takie kryzysy zdarzają się jej częściej. Do tej pory właściwie nigdy nie byliśmy sami. Zawsze widziałem smutek w jej oczach, ale tylko w chwilach, gdy miała moment dla siebie.

Ktoś zadzwonił do drzwi akurat wtedy, gdy doprowadziła się do porządku. Zbiegła po schodach, otworzyła boso. Na progu stała Polly, uśmiechnięta, z butelką wina w dłoni.

– Cześć! – Frania była równie zaskoczona jak ja: Polly rzadko się uśmiechała, a tak ożywionej nigdy jej nie widziałem.

– Nie uwierzysz! Akurat wyszliśmy po Matta, a po drodze spotkaliśmy Tomasza, twojego Tomasza. – Była bardzo podekscytowana, bez tchu, i jeszcze piękniejsza niż zwykle, o ile to w

ogóle możliwe. – No więc, panowie zaczęli rozmawiać, zeszli na piłkę nożną i Matt chce obejrzeć z Tomaszem jakiś mecz na tym swoim wypasionym telewizorze, wiesz, to jego największy skarb. A co najlepsze, obiecali, że nakarmią dzieci. Czyli mamy godzinę dla siebie, z butelką wina! *Voilà!*

Frania, początkowo zaskoczona, uśmiechnęła się.

– Chodź szybko, zanim się rozmyślą. – Obie zachichotały.

– Zazwyczaj nie spuszczam Henry’ego z oczu, ale ostatnio bardzo ładnie je, więc Matt stwierdził, że nie ma sensu, żebym tam siedziała, mogę wreszcie zrobić coś dla siebie.

Polly poszła za Franią do kuchni i nalała wina do kieliszków.

– Na zdrowie – wzniosła toast Frania.

– Czyli *cheers* po angielsku – dodała Polly.

Usiadły w saloniku i tam do nich dołączyłem. Staralem się nie przejmować tym, że Polly się ze mną nie przywitała, ale ogólnie rzadko to robiła. Dostrzegała mnie dopiero po jakimś czasie, choć nie wynikało to z jej niechęci; ona po prostu naprawdę nie widziała, co się wokół niej dzieje. Byłem przekonany, że w głębi serca nie jest zła, jak ci inni, nowi w moim życiu.

– No i jak? W porządku? – zapytała Frania.

– Chyba tak. To zabrzmiało okropnie, ale odkąd Henry się urodził, nie rozstawałam się z nim ani na krok. Ani na godzinę. No dobra, kiedy spałam, Matt czasem się nim zajmował, ale nigdy nikogo nie odwiedzałam. Dopiero teraz.

– Czasami nawet matki muszą odpocząć.

– O tak. Ale od razu mam wyrzuty sumienia. – Radosny nastrój Polly trwał krótko; jej oczy znowu zasnuł smutek.

– Matczyne wyrzuty sumienia pojawiają się niemal natychmiast, gdy tylko zachodzisz w ciążę. – Frania uśmiechnęła się lekko.

– Mhm. Moja mama też tak mówiła. Strasznie za nią tęsknię. – Polly westchnęła smutno.

– Och, ja za swoją też. Bardzo.

– Widzisz? Dużo nas łączy. – Polly się uśmiechnęła.

Miała niesamowicie białe, idealnie równe zęby. Byłem pewien, że mogłaby być modelką.

– W takim razie wykorzystajmy ten prezent od naszych mężów. Mój nie ma czasu, żeby często urządzać mi takie niespodzianki.

– To tak jak mój. Dobra, dość narzekania. Mamy tylko godzinę wolnego, więc jej nie marnujemy.

– Wiesz, Polly, jesteś moją pierwszą angielską przyjaciółką.

– A ty moją pierwszą londyńską przyjaciółką i pierwszą polską. Tak się cieszę, że tu mieszkasz.

Rozczułały się, a mnie robiło się miękko na sercu. To był najwyraźniej taki dzień.

Wypiły tylko trochę wina, ale obie śmiały się i żartowały. Wrócił Tomasz z chłopcami.

Polly, nadal bardzo pogodna, zebrała się do wyjścia.

– Cześć, Frankie – powiedziała i pocałowała swoją sąsiadkę w policzek.

Frani spodobała się ta forma jej imienia.

– Matt jest fajny – stwierdził Tomasz, gdy zostali sami.

– Mili ludzie. Chyba się zaprzyjaźnimy.

– Ale boję się, że nami pogardzają, bo jesteśmy z Polski. – Tomasz spochmurniał.

– Oj, nie wszyscy tacy są. W każdym razie nie nasi sąsiedzi. – Frania też spoważniała.

– Za to inni...

– Nie rozmawiajmy o tym, Tomasz, proszę. – Na jej twarzy malowało się zmartwienie.

– Przykro mi, ale chyba powinniśmy.

– To tylko jedna starsza kobieta, na pewno zaraz da sobie spokój. Po prostu nie rozumie współczesnego świata.

– Ale my nie korzystamy z zasiłków. Nie chcę, żeby ktoś cię obrażał.

– Tomasz, wyluzuj, rzadko kiedy masz wolny dzień. Nie zepsuj tego.

Wyszła zajrzeć do chłopców.

Przez chwilę zastanawiałem się, co jej chodziło i co mi umknęło? Wyglądało na to, że ktoś powiedział jej coś przykrego. Jeśli kiedyś się dowiem kto, pójdę tam i na niego nasyczę, napluję i podrapię go za to, że zdenerwował moją Franję.

Kiedy tak siedziałem przy drzwiach i czekałem, aż mnie wypuszczą, miałem coraz więcej pytań bez odpowiedzi, ale musiałem zajrzeć do Claire i Jonathana. I zobaczyć, co mi dadzą na kolację.

Rozdział 25



Było coraz gorzej. To mnie martwiło. Do tej pory mój plan, choć z pewnymi przeszkodami, szedł do przodu. Jednak w ciągu ostatniego miesiąca wszystko zaczęło się psuć. Jonathan coraz częściej znikał z domu i nieraz zapomniał zostawić mi jedzenie. Później, kiedy się spotykaliśmy, był bardzo skruszony, ale cały czas uśmiechał się jak szalony kot, więc nie do końca mu wierzyłem. Nagle zrobił się bardzo szczęśliwy z tą okropną Philippą. A ona... cóż, ona mnie nie lubiła. Ilekroć do nas przychodziła, narzekała, że wolno mi wskakiwać na meble, a przecież to takie niehigieniczne; kłamstwo w żywe oczy, przecież jestem jednym z najczystszych znanych mi kotów. Bardzo się szczycę swoim zadbanym wyglądem, ona mnie po prostu nie znosiła. Na przykład wczoraj wieczorem, gdy przyszedłem do Jonathana na kolację, ta cała Philippa siedziała na kanapie, na mojej kanapie, obok Jonathana. On czytał gazetę, ona jakiś magazyn. Tkwili tak długo, jakby ktoś ich wmurował. Zniecierpliwiony prychnąłem gniewnie. Jonathan podniósł głowę.

– Alfie, już się zastanawiałem, gdzie się podziałeś. Masz kolację w kuchni.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Nie widziałem żadnego jedzenia.

– Nie, schowałam to do lodówki, to obrzydliwe, jedzenie nie może tak stać na wierzchu – wtrąciła się Philippa.

Spojrzałem na nią groźnie, nawet Jonathan uniósł brwi. Wstał, poszedł do kuchni, a ja podreptałem za nim. Wyjął moją kolację z lodówki i postawił na podłodze.

– Wybacz, bracie – mruknął i wrócił do saloniku.

Kiedy tam wszedłem po posiłku, siedzieli w tych samych pozycjach. Wskoczyłem Jonathanowi na kolana, żeby mu podziękować.

– Nie przeszkadza ci? – Philippa zerknęła na niego z dezaprobatą.

Jeśli o mnie chodzi, miała trochę zrozumiąłą minę.

– No co ty. To grzeczny kotek.

– Moim zdaniem nie powinno się zachęcać kotów do wchodzenia na meble.

– Alfie jest w porządku. Nie zostawia sierści.

Dziwnie się czułem, słysząc, jak Jonathan mnie broni. Właściwie, kiedy się poznaliśmy, zarzucał mi różne rzeczy i nie podobało mu się, że siadam na jego kanapie, że w ogóle wchodzę do jego domu.

– Okej, według mnie to nie jest dobry pomysł. Gdzie wczoraj spał? Co on właściwie robi, kiedy jesteś w pracy?

Kolejny raz kusiło mnie, żeby ją podrapać. Paskudna jęzda!

– To, co wszystkie koty. Poluje, bawi się. Jest szczęśliwy i zawsze do mnie wraca, więc o co ci chodzi?

– O to, że ludzie tacy jak my nie powinni mieć zwierząt. A skoro nie masz z tym problemu, że nie wiesz, gdzie się włóczy...

– Odnoszę wrażenie, że nie rozmawiamy o kocie, tylko o nastolatku! – zauważył ze śmiechem.

W odpowiedzi uśmiechnęła się sztucznie. Jeszcze trochę, a twarz by jej pękła.

– Dobra, Jon, odwiesz mnie do domu? Bardzo chętnie siedziałabym tu dalej i rozmawiała o twoim kocie, ale muszę się przygotować do pracy.

– Jasne, skarbie. Pójdę po kluczyki. Ale podrzucę cię i zaraz wracam, też mam sporo roboty.

Kiedy wyszedł, spojrzała na mnie paskudnym wzrokiem. Syknąłem. Roześmiała się.

– Nie myśl sobie, że mnie pokonasz – warknęła, ale zaraz znowu była miła i słodka, bo wrócił Jonathan.

Najgorsze w tym wszystkim, że kiedy szli spać, nie miałem dostępu do kaszmirowego kocyka. Tylko raz pobiegłem za nimi. Philippa wrzasnęła tak, jakbym chciał ją zabić. Jonathan wziął mnie na ręce, wyniósł na korytarz i postawił. Najwyraźniej chciał, żebym spał z nim tylko podczas jej nieobecności.

Chociaż zawsze reagował, ilekroć mnie krytykowała, czułem, że nie wkłada w to serca. Przykre. Przez pewien czas byłem jego jedynym przyjacielem, ale chyba już o tym zapomniał. Judasz!

U Claire było nie lepiej. Moja śliczna, słodka Claire straciła głowę dla Joego, w jej oczach stał się panem wszechświata. Zgadzała się ze wszystkim, co powiedział, śmiała się z każdego żartu, nawet jeśli nie był śmieszny. Problem w tym, że Joe ciągle do niej przychodził. Tłumaczył, że jego mieszkanie jest za małe, że ma wkurzającego współlokatora, więc od pierwszej kolacji ciągle przesiadywał u Claire. Właściwie praktycznie już się wprowadził. I choć nie mówił do niej nic złego na mój temat, był gorszy niż Philippa, bo udawał, że mnie lubi, a kiedy Claire zniknęła z horyzontu, patrzył na mnie jak na najgorsze paskudztwo. Kiedyś nawet spróbował mnie kopnąć. Tylko dzięki mojej błyskawicznej reakcji nic mi się nie stało. Co oczywiście rozzłościło go jeszcze bardziej. Jednak przy Claire nigdy tego nie okazywał. Ona zawsze tak samo o mnie dbała, pilnowała, żebym miał co jeść, ale kiedy Joe był w domu, właściwie mnie ignorowała. Czułem, że mnie tam nie chcą.

Na swojej Margaret zawsze mogłem polegać; na nich – nie. Pytałem o to Tygryskę, ale nie wiedziała, co mi powiedzieć. Jej właściciele zawsze o niej pamiętali i nigdy nie byli wobec niej niemili. No tak, ale to kociarze, oboje. Szkoda że Jonathan i Claire nie związali się z miłośnikami kotów. Uznałem, że jeśli chcę spać spokojnie, muszę się pozbyć Joego i Philippy z mojego życia, a zatem również z życia Claire i Jonathana. Tylko jak to zrobić?

Miałem jeszcze jeden problem – pogodę. Zawsze lubiłem ciepło, potem wylądowałem na ulicy i jako bezdomny kot mierzyłem się z żywiołami. Owszem, wyszedłem z tego zwycięsko, ale oczywiście wcale mi się to nie podobało. Od tygodnia lało bez przerwy. Claire mówiła, że to dlatego, że lato przyszło bardzo wcześnie, ale nie rozumiałem, co ma piernik do wiatraka. Deszcz padał i padał, lało jak z cebra i tylko raz zdobyłem się na odwagę i powędrowałem pod 22, więc od kilku dni nie widziałem Frani, Polly i reszty. Z ciężkim sercem siedziałem na parapecie u Claire albo Jonathana i patrzyłem, jak krople spływają po szybie.

Byłem u Claire. Patrzyłem przez okno, kiedy Joe i Claire zeszli na dół.

– Przykro mi, kochany, nakarmię Alfiego i muszę lecieć, mam dzisiaj spotkanie.

– Nie wypijesz ze mną kawy? – naburmuszył się.

– To przez ciebie jestem spóźniona – zachichotała. – Ale jeśli chcesz kawę, będziesz musiał sam wyjść.

– Nie ma sprawy. – Ze śmiechem uszczypnął ją w pośladek.

Nie wierzyłem własnym oczom. Claire nakarmiła mnie, włożyła płaszcz i wyszła. Joe odprowadzał ją wzrokiem, potem spojrzął na mnie.

– Nie lubisz deszczu, co? – spytał. Miauknąłem niepewnie. – No trudno. – Brutalnie złapał mnie za kark i wyrzucił na dwór.

Wylądowałem na czterech łapach, ale byłem zły, obolały tam, gdzie mnie trzymał, i coraz bardziej mokry. Otrząsałem się gniewnie. Doszedłem do wniosku, że skoro już i tak suchy nie jestem, nie ma różnicy, co robię, równie dobrze mogę się wybrać pod 22.

Dotarłem tam przemoczony do suchej nitki. Miauczałem i drapałem w drzwi Frani, ale nikt mi nie otwierał. Z mieszkania Polly też nie dobiegały żadne odgłosy. Zdziwiłem się, że gdzieś razem poszły w taką paskudną pogodę. Ruszyłem przez park. Chciałem poprawić sobie humor, goniąc motyla albo ptaka. Nie przyszło mi do łepka, że w taką pogodę inne stworzenia też chowają się przed deszczem. Doszedłem do stawu – ani żywego ducha. Chciałem się rozerwać, ścigając swoje odbicie. Zszedłem nad samą wodę, ale trawa była mokra i ani się obejrzałem, zacząłem się zsuwać. Rozpaczliwie czepiałem się ziemi, ale na nic – jechałem po śliskim brzegu wprost do ciemnej toni. Miauczałem rozpaczliwie, przerażony. Co zrobię, jak wpadnę? Nie umiałem pływać i nie miałem pojęcia, jak się wydostanę. Desperacko wbijałem pazurki w brzeg i nagle kolejne z moich dziewięciu żyć przemknęło mi przed oczami. Darłem się na całe gardło, ale w pewnym momencie straciłem resztki nadziei i runąłem w wodę. Usłyszałem głośny plusk, znalazłem się w lodowatej toni. Z wrzaskiem wypłynąłem na powierzchnię. Usiłowałem wyleźć na brzeg, ale co chwila znowu szedłem pod wodę. Czułem, że opadam z sił. Tonąłem.

– Alfie, to ty? – usłyszałem znajomy głos; gdy na chwilę wynurzyłem się, zobaczyłem Matta.

Chciałem zamiauczeć, ale z mojego pyszczka nie wydobył się żaden dźwięk. Słyszałem tylko szum wody w uszach.

– Alfie, płyn, idę po ciebie! – krzyczał. Rozpaczliwie machałem łapkami i kątem ślepią widziałem Matta, jak ukląkł nad stawem i wyciągał rękę. – Chwyć się tego! – wołał.

Przez moment widziałem, jak wyciąga do mnie grubą gałąź. Chciałem wbić w nią pazurki, ale była za daleko. Kiedy znowu wypłynąłem, Matt już właściwie wszedł do stawu.

– No chodź, Alfie. Spokojnie – zaklinał mnie; wyciągnął po mnie rękę, ale znowu poszedłem na dno.

Nie miałem już sił, czułem, że to koniec, ale desperacko próbowałem wypłynąć jeszcze raz. Miałem zamknięte oczy, gdy poczułem, jak ktoś mnie chwyta. Pisałem, uścisk był coraz mocniejszy i nagle wszystko ucichło. Uniosłem powieki. Leżałem na brzegu stawu, a raczej na Matcie, całym mokrym od deszczu i upapranym błotem.

– Dzięki Bogu, bałem się, że już po tobie – sapał, tuląc mnie do siebie. Byłem tak zmęczony, że nie mogłem nic powiedzieć, tylko się w niego wtuliłem. – Chodźmy do domu, wysuszymy cię i zobaczymy, czy nie trzeba iść z tobą do weterynarza.

Ulżyło mi tak bardzo, że ani drgnąłem.

W mieszkaniu zaniósł mnie do łazienki, owinał puszystym ręcznikiem, a sam poszedł się przebrać. Wtuliłem się w ręcznik. Z wyczerpania nie miałem siły, żeby się poruszyć. Delikatnie ułożył mnie na kanapie i przyniósł mleko w miseczce. Wypiłem je chciwie.

– Coś ty tam robił? I jakim cudem wpadłeś do wody? – dziwił się. – No, ale chyba masz nauczkę i na przyszłość w taką pogodę będziesz trzymał się z daleka od stawu. Biedaczysko. Już dobrze?

Zamruczałem. Czuję, jak wracają mi siły, a Matt poprawiał mi humor. Byłem na siebie zły za niepotrzebne ryzyko, ale cóż, miałem jeszcze nietknięte siedem żyć.

– Pewnie się zastanawiasz, gdzie są wszyscy? – zapytał. Miauknąłem cicho. – Wyjechali. Frania zabrała chłopców do Polski na kilka tygodni. Tomasz zrobił im niespodziankę i kupił bilety. A Polly złapała jakąś infekcję, więc uznaliśmy, że lepiej jak zamieszka z mamą, póki nie wróci do zdrowia. Odwiedzam ich w weekendy. – Głaskał moje schnące futerko. – Dzisiaj pracuję w domu, więc możesz dotrzymać mi towarzystwa! – powiedział zadowolony. Od razu poczułem się trochę lepiej.

Byłem mu bardzo wdzięczny, choć żałowałem, że Frani i Olka nie ma przy mnie w tak ciężkich chwilach, gdy otarłem się o śmierć. No tak, oczywiście, rozczulałem się nad sobą, ale to wszystko przez tego okropnego Joego. Przy Matcie humor mi się poprawił, mimo to wróciło poczucie osamotnienia; tęskniłem za rodziną Frani.

Nie odwiedzałem ich z powodu pogody, dlatego nie wiedziałem, że wybierają się do Polski. Pamiętałem, jak Frania mówiła, że bardzo tęskni za mamą. Polly też była nieszczęśliwa. Staralem się więc wznieść ponad własne uczucia i cieszyć się, że wyjechały; przecież wrócą za kilka tygodni, a to nie tak długo. Nawet taki niepewny siebie kot jak ja ma tego świadomość.

Wypiłem mleko, zwinąłem się w kłębek na kanapie Matta i Polly, zasnąłem i śniłem o tych, których kochałem i Kocham – dawniej i dziś: Margaret i Agnes, Claire, Jonathanie, Frani, chłopcach i Polly, Matcie i Henrym. Nie wszystko układało się idealnie, ale właściwie nie powinienem narzekać. Nie tak dawno nie miałem nikogo, trzeba się cieszyć każdą chwilą.

Obudziłem się kilka godzin później, w lepszym humorze i prawie całkiem suchy. Otrząsnąłem się, zeskoczyłem z kanapy, na której został ręcznik wilgotny od mojej sierści, i hycnąłem Mattowi na kolana, żeby zwrócić jego uwagę, a potem podbiegłem do drzwi.

– Chcesz już iść? – uśmiechnął się. – No dobrze, to chyba znaczy, że już w porządku. Wiesz, wszyscy zachodzą w głowę, dokąd idziesz, kiedy znikasz, ale pewnie masz dom, gdzie już na ciebie czekają. – Uchylił drzwi. – Cześć, Alfie, wpadaj, kiedy tylko chcesz.

Claire jeszcze nie wróciła z pracy. Ciągłe głęboko poruszony wydarzeniami tego dnia, zwinąłem się w kłębek na swoim posłaniu i usiłowałem się rozgrzać. Byłem już suchy, ale kiedy kot przemoknie do skóry, zimno długo nie odpuszcza. Jeszcze nie do końca doszedłem do siebie.

Słyszałem, jak klucz Claire zgrzyta w zamku. Weszła do domu. Sama, więc podbiegłem do niej i bardzo domagałem się uwagi. Dzisiaj potrzebowałem mnóstwo czułości. Więcej niż zwykle. Wygłaskała mnie i wyściskała, potem dała mi jeść.

– Jesteś dzisiaj jakiś markotny – zauważyła, stawiając moje miseczki na macie. – Ale to nic! – roześmiała się. – Ostatnio miałam wrażenie, że się na mnie gniewasz. Tasha mówi, że jesteś zazdrosny, bo poświęcam Joemu więcej uwagi.

Chciałem powiedzieć, że nie, że Tasha się myli, że nie jestem zazdrosny, tylko zwyczajnie zły. Ale oczywiście mogłem jedynie zamiauczeć, bez żadnej pewności, czy mnie zrozumie.

– Och, Alfie, i tak ty jesteś dla mnie najważniejszy. – Poglaskała mnie czule. – Postaram się bardziej ci to okazywać – zaśmiała się znowu.

Chciałem jej powiedzieć, że to poważna sprawa.

Telefon zadzwonił, gdy jadłem.

– Cześć, Tasha, dzięki, że oddzwoniasz – zaczęła Claire radośnie. – Nie, niestety. Tak, planowałam przyjść na spotkanie klubu, ale Joe dzwonił, jak wracałam do domu. Miał kiepski dzień w pracy i pytał, czy może wpaść, więc dziś się nie pojawię. – Chwila ciszy. – Nie, nie jest dla mnie ważniejszy niż przyjaciele, ale był taki przybity... Rozumiesz, problemy w pracy. Straszne. – Znowu milczenie. – Super, dzięki za wyrozumiałość. Wskoczmy jutro na drinka;

obiecuję.

Wtedy rozzłościłem się na Tashę; dlaczego jest taka wyrozumiała? Dlaczego Claire przedkłada tego okropnego faceta nad nas wszystkich? To przez niego omal nie utonąłem, po tym jak wyrzucił mnie z domu.

Kiedy Joe przyszedł, Claire zdążyła się przebrać, umalować i posprzątać w – i tak czystym – domu.

– Cześć. – Objęła go serdecznie.

– Masz piwo? – zapytał. Nie pocałował jej, nawet się nie przywitał.

– Tak, kupiłam specjalnie dla ciebie. Zaraz ci dam. – Było jej przykro.

W moim łepku znowu rozległ się dzwonek alarmowy. Joe już nie był dla niej taki miły jak na początku, kiedy zaczął do nas przychodzić. Nie dość, że nie lubił mnie, to teraz zachowywał się tak, jakby nie lubił też Claire. Nie takiego faceta chciałem dla swojej pani. Nagle przeraziłem się, że tu chodzi o coś więcej niż moje wrażliwe ego.

Usadowił się na kanapie, sięgnął po pilota, włączył telewizor. Claire przyniosła mu piwo i usiadła obok niego.

– Pogadamy? – zapytała nieśmiało.

– Teraz jest mecz, zaraz się zaczniesz. Przygotowałaś kolację?

– Nie, kiedy dzwoniłeś, wybierałam się na spotkanie klubu książki, więc niczego nie szykowałam.

– No dobra, to zamów chińszczyznę.

– Och. Jasne. Na co masz ochotę? – Chyba sprawił jej przykrość tym chłodem. Zrobiło mi się jej żal. Nie mówił „proszę”, „dziękuję” ani nic takiego.

– Żeberka i wieprzowina w sosie słodko-kwaśnym ze smażonym ryżem. – Znow wbił wzrok w telewizor.

Claire wyszła. Pobiegłem za nią. W kuchni wyjęła z szuflady kartkę z menu. Otarłem się o jej nogi.

– Jest taki przez pracę – szepnęła.

Syknąłem w odpowiedzi. Nie, po prostu w ogóle taki jest, okropny. Wychodziło na moje. Od samego początku wiedziałem, że to dupek. Podpowiadał mi to mój niezawodny koci instykt.

Wszystko w nim było fałszywe: udawał, że nas lubi, i mnie, i Claire, ale teraz już nawet przestał się wysilać. Claire chyba nie umiała dobierać sobie mężczyzn, choć jeśli chodzi o mnie, miała wielkie szczęście, rzecz jasna. No i nie znała podstawowej zasady, którą ja kieruję się w życiu – nie ufaj nikomu, kto nie lubi kotów.

Chciałem zajrzeć do Jonathana, ale nie mogłem zostawić Claire w takim stanie. Widziałem, że jest bardzo poruszona i przejęta. W milczeniu siedziała obok Joego. Czekala, aż przywiozą jedzenie. On oczywiście nie ruszył się z kanapy i nie zaproponował, że zapłaci, więc sama musiała to zrobić, a potem nałożyć wszystko na talerze.

– Zjesz ze mną? – Niosła dania na stół.

– Oglądam mecz, zjem tutaj – warknął.

Spojrzała na niego smutnym wzrokiem.

– Wolałabym, żebyś nie jadł na kanapie – powiedziała cicho, nieśmiało. – Stąd też widać telewizor.

– Do jasnej cholery! – krzyknął gniewnie.

Claire drgnęła, a ja wyprostowałem się na całą wysokość i syknąłem na niego.

– Nie waż się na mnie syczeć. – Wstał.

Claire była zbita z tropu, ale ja się nie bałem. Syknąłem jeszcze raz.

– Ty cholerny zapchlony sierściuchu! – wrzasnął z taką miną, jakby chciał mnie zabić.

Zjeżyłem się i pisnąłem ze strachem.

– Joe, dlaczego wrzeszczysz na Alfiego? – odezwała się Claire cichym, ale pewnym głosem.

Łypnął na nią. Widziałem, jak myśli nad kolejnym ruchem.

– Przepraszam – mruknął bez przekonania. –Przepraszam, poniosło mnie. Wiesz przecież, że nigdy nie zrobiłbym mu krzywdy. To wszystko przez pracę. Och, Claire, tak mi przykro. Wynagrodzę ci to, obiecuję. A teraz zjedzmy coś.

Spojrzała na niego niespokojnie, ale posłusznie podeszła do stołu i usiadła. Wziął ją za rękę.

– Kochanie, no, przepraszam – szepnął.

Dosłowne czułem jego fałszywość.

– W porządku. Ale rozmawiaj ze mną, proszę. Co się stało w pracy?

– Jeden z moich klientów popełnił błąd, nie zmieścił się w budżecie, planując kampanię, a jak przedstawiliśmy mu rachunek, wpadł w szał i teraz robi wszystko, żeby zwalić winę na mnie.

– Straszne – szepnęła Claire.

– Problem w tym, że to dobry klient i grozi, że pójdzie do innej agencji, więc moi szefowie chcą zrobić ze mnie kozła ofiarnego. Zawiesili mnie do wyjaśnienia sprawy i tak dalej, i tak dalej.

– Ale przecież prawda wyjdzie na jaw? – Claire bardzo się przejęła.

– Oczywiście i wszystko będzie dobrze, to firmowe gierki, polityka, ale na razie mam nie pojawiać się w firmie przez najbliższy tydzień. Wiesz, jakie to upokarzające?

– Rozumiem, skarbie, i jestem z tobą.

– A ja przepraszam. Naprawdę cię doceniam. I twoje wsparcie. – Joe się uśmiechnął, znowu włączył urok osobisty, a Claire łykała to jak śmietankę.

Chciałem na nią nakrzyczeć, otworzyć jej oczy, żeby zobaczyła, że to stek bzdur. Już ja wiedziałem, o jakie wsparcie mu chodzi: darmowe jedzenie, mecze w telewizji, piwko podane pod nos; słyszałem o takich koleśiach.

Koci instynkt podpowiadał mi, że problemy w pracy to jego wina. Po raz kolejny uświadomiłem sobie, że absolutnie nie zasługuje na moją Claire.

Rozdział 26



Byłem u Jonathana, czekałem, aż wróci po pracy. Liczyłem na to, że wkrótce się pojawi. Minął kolejny tydzień i sytuacja wyglądała jeszcze gorzej. Kiedy upatrzyłem sobie Edgar Road, myślałem, że to koniec moich kłopotów. Teraz jednak emocje związane z poszukiwaniem nowych domów i ludzi już opadły. Miałem dużo zmartwień, a mój los był niepewny, ale za bardzo zaangażowałem się emocjonalnie, żeby tak po prostu odejść. Zwłaszcza że i tak nie miałem dokąd pójść.

Brakowało mi rodzin spod numeru 22. Na razie nie było sensu ich odwiedzać, bo nadal w większości siedzieli u swoich krewnych, ale i tak co jakiś czas szedłem trochę się pokręcić po okolicy. Po prostu tęskniłem za przyjaciółmi.

U Jonathana dało się żyć. Fakt faktem, ta straszna Philippa ciągle tam przyłaziła, ale co tam. W jej wypadku przynajmniej wiedziałem, na czym stoję, i choć dla mnie nie była miła, dla Jonathana – owszem. Przynajmniej czasami. Za to na okrągło mu trajkotała, co ma robić, choć to akurat chyba wcale mu nie przeszkadzało. Im bardziej starałem się zrozumieć ludzi, tym mniej cokolwiek pojmowałem.

Tego wieczoru Jonathan wrócił do domu i troskliwie się mną zajął. To mnie bardzo mnie zaskoczyło.

– Philippa wyjechała służbowo, więc przez kilka dni będziemy tylko we dwóch – oznajmił, a ja aż oblizalem się z radości.

Właściwie nie powinienem się tak cieszyć; Jonathan zajmował się mną tylko dlatego, że jego głupia dziewczyna wyjechała, ale uznałem, że trzeba być wdzięcznym za wszelkie objawy sympatii. Postanowiłem w pełni wykorzystać wspólne chwile; jeśli Jonathan przypomni sobie, jaki jestem uroczy, może już nigdy nie pozwoli Philippie krytykować mnie ani mnie obrażać.

Poza tym, że musiałem regularnie zaglądać do Claire – i coraz bardziej leniwego Joego – świetnie się bawiliśmy z Jonathanem. Zaprzyjaźniliśmy się na nowo. Przyniosłem mu kilka podarków, żeby wiedział, że mu wybaczyłem.

Najdziwniejsze, że choć co wieczór rozmawiał z Philippą, miałem wrażenie, że bez niej jest szczęśliwszy. Dziwne, ale kiedy była u nas, Jonathan cały czas miał się na baczności. Był miły, schludny, grzeczny. Bez niej chodził po domu wyluzowany, często w ubraniu z siłowni, nie zmywał od razu naczyń. W sumie nie popieram bałaganu, bo jako kot jestem z natury czystochem, mimo to głowiłem się, czemu ludzie są tacy głupi. Claire wydawała się o wiele szczęśliwsza, zanim zjawił się ten cały Joe, a Jonathan lepiej funkcjonował bez Philippy. Kiedy Claire wróciła od rodziców, zacieśniła przyjaźń z Tashą, zaangażowała się w klub książkowy i była w dobrej formie. Teraz, z Joem, znowu wyglądała gorzej. Zniknął jej blask. A Jonathan przy

Philippie chodził wiecznie spięty i wyraźnie mniej radosny.

Naprawdę nic już z tego nie rozumiałem. Nic a nic.

W ciągu najbliższych dni wypracowaliśmy sobie pewien schemat. Nadal pilnowałem, żeby spędzać trochę czasu z Claire, ale jeszcze więcej przesiadywałem z Jonathanem. Jadaliśmy razem i, owszem, miałem tyle świeżej ryby, ile dusza zapragnie. Istne kocie niebo. Nawet nie brakowało mi sardynek. Razem oglądaliśmy telewizję. Siedzieliśmy wtuleni w siebie na kanapie, Jonathan sączył piwo i głaskał mnie odruchowo. Razem kładliśmy się spać; wrócił kaszmirowy kocyk. Jonathan dużo opowiadał mi o pracy, którą lubił, o nowych znajomych, weekendowych imprezach, o siłowni, do której często chodził, bo „nie chciał się zapaść”. Nie mówił mi tylko o Philippie, co samo w sobie wiele znaczyło.

Jednak co wieczór rozmawiał z nią przez telefon, pod koniec wspominał, że za nią tęskni. Raz nawet powiedział, że ją kocha. Nie wierzyłem; po prostu nie wierzyłem, że to prawda.

I wtedy ukułem plan.

Ostatnie wydarzenia sprawiły, że w mojej głowie zrodziły się nowe koncepcje. Już wiedziałem, co mam zrobić. Jonathan nie był tak naprawdę szczęśliwy z Philippą, a Joe nie zasługiwał na moją Claire, wpadłem więc na genialny pomysł, żeby połączyć Claire i Jonathana.

Przecież to dzięki mnie zrodziła się przyjaźń między Franią a Polly! Oboje, Claire i Jonathan, bardzo mnie kochają, poza tym są dla siebie stworzeni. Musiałem tylko wykombinować, jak mają się spiknąć. Pewnego dnia usiłowałem skłonić Jonathana, żeby za mną poszedł. Miauczałem na całe gardło, bo wiedziałem, że Claire jest w pobliżu, ale akurat wtedy zadzwoniła jego komórka, a jak skończył rozmowę, było już za późno. Innym razem usiłowałem zaprowadzić Claire do Jonathana. Piszczalem i podskakiwałem, ona jednak uznała, że to zabawa, i powiedziała, że bym się nie wygłupiał. Na razie nie miałem innych pomysłów, jak ich połączyć, ale jestem zawziętym kotem i za nic nie dałbym za wygraną. Nie mogłem się poddać także dlatego, że bardzo martwiłem się o Claire. Joe nie wychodził z domu od tamtej chińskiej kolacji. To znaczy, owszem, wyszedł – po swoje rzeczy. Całymi dniami siedział przed telewizorem i objadał Claire, a później, kiedy wracała z pracy, był dla niej najpierw niedobry, a potem przeproszał, zwał wszystko na stres w związku z tą sytuacją w pracy. Kilka razy usiłował mnie kopnąć i choć za każdym udało mi się umknąć, Joe stanowił coraz większe zagrożenie. Nie mogłem odejść ze względu na Claire. Bałem się coraz bardziej, kiedy tam byłem.

Brakowało mi Tashy. Babka przepadła bez śladu. Został tylko Joe, rozsiadał się na kanapie i ani myślał kiwnąć palcem, a Claire uwijała się wokół niego jak zahukana myszka. Traktował ją koszmarnie. Czulem, że muszę coś zrobić, żeby zniknął z naszego życia. Ale na razie było tak, jakby rzucił na nią czar. Chyba sama nie zdawała sobie sprawy, że jest nieszczęśliwa, bo cały czas starała się sprawić Joemu przyjemność. Kolejna sprzeczność w ludziach, której nie rozumiem. Żałowałem, że nie mogę pogadać z Tashą, razem na pewno wymyślilibyśmy coś mądrego, no ale trudno, wyparowała. Na razie stałem się kotem niewidzialnym. Nauczyłem się po mistrzowsku schodzić mu z drogi, skradać się pod meblami, a jednocześnie mieć oczy i uszy otwarte, żeby ze wszystkim być na bieżąco i dobrze się orientować. Wiedziałem, że kiedy Claire wychodzi, Joe dużo rozmawia przez telefon. Wiedziałem, że nie wróci do starej pracy, bo od początku miałem rację – to on zawinił. Czulem, że absolutnie nie zamierza opuścić domu Claire, bo zrezygnował ze swojego mieszkania. Cała sytuacja wyglądała koszmarnie.

Ujawniałem się, kiedy Claire wracała. Nadal mnie głaskała i karmiła, ale widziałem, jak Joe na nią wpływa. Cały czas chodziła zmęczona i smutna. I znowu chudła.

Tego wieczoru akurat wróciła z pracy i pierwsze, o co Joe zapytał, to: co na kolację.
– Stek – odparła znużona.

– Super. Daj znać, jak już przygotujesz.

Kiedy była w domu, cały czas oglądał telewizję, pił piwo i czekał, aż sama wszystko zrobi. Nie sprzątał, nie chodził po zakupy, nawet nie gotował. A ona nigdy nie zwracała mu uwagi, choć na pewno bardzo to przeżywała. Zwłaszcza jak bałaganił. Nawet ja pilnowałem, żeby nie rozrzucić swoich zabawek.

Niestety nabierałem przekonania, że Joe nigdy sobie nie pójdzie, a najgorsze, czułem, że ona też go nie wyrzuci. O, nie, nie mogłem zostawić Claire na pastwę tego dupka – tym ważniejsza była moja rola na tej ulicy. Ludzie najbardziej potrzebowali mnie w najtrudniejszych chwilach.

Niemal codziennie głowiłem się, jak się w to wpakowałem. Jakim cudem ze zwykłego, pełnego miłości domu z Margaret i Agnes wyładowałem na ulicy, a teraz mam dwa domy główne i dwa w niepełnym wymiarze godzin. Miałem pełne łapy roboty, a przecież, litości, jestem tylko kotem, nie dla mnie taki stres.

Rozdział 27



Dzięki Bogu, wreszcie zaczęli wracać. Przyszedłem pod 22 i przez okno zobaczyłem Polly w jej mieszkaniu. Trzymała na ręku Henry’ego, który chyba spał. Dostrzegłem też Franię i chłopców. Wskoczyłem na parapet i zaraz Olek zaczął krzyczeć z wielką radością:

– Alfie, Alfie!

Frania powiedziała coś do Polly, potem podeszła do drzwi i wpuściła mnie do środka.

To się nazywa powitanie! Olek ścisnął mnie z całej siły, podobnie jak mały Tomaszek, który chyba urósł, odkąd go ostatnio widziałem.

Frania uśmiechała się promiennie, nawet Polly troszeczkę się ucieszyła na mój widok. Ona też wydawała się w lepszej formie niż ostatnio, nie miała pod oczami takich ciemnych sińców.

– Tęskniłem za tobą, bardzo, bardzo – powtarzał w kółko Olek.

To było urocze i gdybym umiał płakać, w ślepiach zakręciłaby mi się łza radości. Zamiast tego uśmiechałem się po kociemu od ucha do ucha przez całe popołudnie.

– Jak się czujesz po powrocie? – zapytała Polly. Ułożyła Henry’ego w łóżeczku i przygotowała im coś do picia.

– Dobrze. Fajnie wrócić do domu, zobaczyć rodzinę. Ale tęskniłam za Tomaszem, chłopcy też. Teraz nasz dom jest tutaj. Z jednej strony szkoda mi było, że muszę wyjeżdżać, ale z drugiej strony cieszyłam się, że tu wracam. Rozumiesz?

– Tak. I bardzo się cieszę, że cię widzę, chociaż ja nie chciałam wracać. To znaczy, oczywiście brakowało mi Matta, ale mama pomagała mi przy Henrym. Nawet kiedy już poczułam się lepiej, wołałam być tam niż tutaj. Wiem, że to brzmi okropnie i że powinnam podchodzić do tego bardziej tak jak ty, ale naprawdę wyjeżdżałam stamtąd z ciężki sercem. – Znowu posmutniała.

– Och, Polly, strasznie mi przykro. Musisz porozmawiać o tym z Mattem.

– Po co? Jego kariera jest najważniejsza. Zrozum, byłam modelką, ale do tego nie wrócę, nie po dziecku, zresztą i tak nie chciałabym. Musimy więc wybierać to, co dla nas najlepsze, czyli pracę Matta tu, w Londynie. Po pierwsze, dużo lepiej zarabia niż w Manchesterze, po drugie, ma tu więcej możliwości. Tylko że ja jestem beznadziejną matką.

– Nieprawda, Polly. Po prostu jest ci ciężko i tyle. Ja też tak miałam; trochę łatwiej zrobiło się dopiero teraz, kiedy chłopcy są starsi. Może twoja mama mogłaby przyjechać i ci pomóc?

– Widziałaś to mieszkanie? No jasne; twoje jest takie samo! – roześmiała się, a to dobry

znak.

– Nie ma miejsca, tak, wiem. Ale damy sobie radę, co nie?

– Tak, Frankie, jasne. Ty doskonale sobie radzisz.

– Staram się, Polly. Ale nie mówiłam ci, że zanim wyjechaliśmy... Wyjechaliśmy, bo...

Tomasz mnie stąd wysłał. Ktoś na ulicy źle się o mnie wyrażał. Po prostu niechęć, przez zapomnienie, odezwałam się do Olka po polsku i wiesz, co usłyszałam? „Cudzoziemcy przyjeżdżają tu tylko po to, żeby inkasować zasiłki i żyć na nasz koszt. Wynocha!”

– Rany, straszne.

No, to już się dowiedziałem, o czym wtedy rozmawiali i dlaczego płakała. Moja biedna Frania.

– Owszem, tym bardziej że tego nie mówił jakiś młody chłopak z ulicy. Jak taki się nazywa?

– Dresiarz? Żul?

– No właśnie, nie taki żul. Tylko starsza pani. Z siwymi włosami. Powtarzała to za każdym razem, kiedy nas spotkała. A my niczego nie chcemy za darmo.

– Wiem o tym. Nie słuchaj głupich ludzi. Uprzedzenia będą zawsze, ale nie możesz się tym przejmować.

– Przykro mi, kiedy ktoś tak mówi do moich dzieci.

– Posłuchaj, Olek szybko przyzwyczai się do nowej szkoły i wszystko się ułoży. Znajdzie nowych przyjaciół, zobaczysz, nie będzie tak źle. – Dziwnie było słuchać, jak Polly dodaje komuś otuchy. Do tej pory to ona potrzebowała wsparcia.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że więcej osób okaże się takich jak ty, a nie jak ta starsza pani.

– Zazwyczaj ty mnie pocieszasz! – zauważyła Polly, jak gdyby znowu czytała w moich myślach. Podeszła do Frani i uściskała ją serdecznie. Zrobiło mi się ciepło na kocim sercu.

Czułem, że odegrałem ważną rolę w budowaniu tej pięknej przyjaźni; przynajmniej tyle mi się udało. Obawiałem się, że mogę stracić swoją Claire i że Jonathan oddali się ode mnie, kiedy wróci ta okropna Philippa, więc to wspomnienie uznałem za szczególnie cenne. W trudnych chwilach poprawi mi humor.

Kiedy Frania pożegnała się z Polly i poszła do siebie nakarmić chłopców, pobiegłem do Claire. Nie zastałem jej. Ucieszyłem się, że może znowu poszła gdzieś po pracy, ale jak zobaczyłem Joego na kanapie, wycofałem się szybko. Podreptałem do Jonathana. Wemknąłem się przez kocią kłapkę... i zatrzymałem w pół kroku na widok Philippy. Siedziała przy komputerze przy stole kuchennym. Miała na sobie sukienkę, a to u niej nietypowe. Najwyraźniej bardzo starała się dobrze wyglądać. Zastanawiałem się tylko, jak tu weszła, skoro Jonathana nie ma w domu. Zamiauczałem głośno.

– Och, cholerny kot! – krzyknęła i podskoczyła niespokojnie. – Myślałam, że jak wrócę do domu, to ciebie już nie będzie. Kysz!

Jak to „wrócę do domu”? Przecież to nie jest jej dom! Zacząłem panikować. A jeśli wprowadziła się do Jonathana, tak jak Joe do Claire? Pobiegłem do salonu i usiadłem pod krzesłem. Tam czekałem na Jonathana.

– Halo?! – zawołał, otwierając drzwi.

– W kuchni! – odkrzyknęła Philippa.

Poszedł w tamtą stronę. Pobiegłem za nim. Zerwała się na równe nogi, zarzuciła mu ręce na szyję i go pocałowała. Wyglądało to tak, jakby chciała mu wyssać ostatni oddech. Otarłem się o jego łydki, żeby mu przypomnieć, że przez cały zeszły tydzień to ja byłem jego najlepszym kumplem.

– Dwie moje ulubione osoby. No, osoba i kot – poprawił się ze śmiechem i pochylił, żeby

mnie pogłaskać.

– Zostaw kota w spokoju i zajmij się mną. Wiesz co? Chodźmy od razu na górę, mamy sporo do nadrobienia.

– Najpierw go nakarmię – mruknął Jonathan.

Mnie to ucieszyło, ale Philippa wyglądała jak burza gradowa. Nałożył krewetek na talerzyk, a potem poszli na górę. Wiedziałem, że przegrałem, ale przynajmniej dostałem krewetki.

Dużo, dużo później wrócili na dół. Ona miała na sobie koszulkę Jonathana, on – szlafrok.

– Na co masz ochotę? – zapytał.

– Poza tobą? – odparła ze śmiechem. Zachowywała się dziwnie. Może za dużo wypila, tak jak Claire, chociaż nie widziałem, żeby brała kieliszek.

– Zamów curry, wiem, że lubisz – zaproponowała. – I otworzymy szampana, którego przyniosłam.

– Super.

Decydowali, co zjedzą, Jonathan zamówił jakieś dania, otworzył szampana i wlał do wysokich eleganckich kieliszków.

– Chciałam wznieść toast – zaczęła Philippa.

– Za co? – zdziwił się.

– Za nas. I za to, że zamieszkamy razem.

Dobrze, że akurat niczego nie miałem w pyszczku, bo oplułbym całą kuchnię.

– Zamieszkać razem? – powtórzył Jonathan. Ulżyło mi, że on też się bardzo zdziwił. – Przecież nie jesteśmy razem aż tak długo!

– Jasne, ale skoro znamy się od lat, czemu nie? Przecież dobrze się rozumiemy, zresztą, no wiesz, w naszym wieku nie ma na co czekać.

– Tylko że to trochę nieoczekiwane i, no cóż, zaskoczyłaś mnie. Nie uważasz, że najpierw powinniśmy to wspólnie przedyskutować?

Nie bardzo wiedziałem, czy Jonathan jest tylko zaskoczony, czy przerażony, ja – aż osłupiałem z przerażenia. Czułem, że wszystko wymyka mi się z łap.

– Och, proszę cię, nie zachowuj się jak typowy facet. Słuchaj, wyjechałam i tęskniłam za tobą. Odkąd zaczęliśmy się spotykać, spędzamy razem praktycznie każdą wolną chwilę. To kolejny krok.

– Ale...

– Tak, tak, spotykamy się dopiero od kilku miesięcy. Tyle że pewne rzeczy po prostu się wie! Johnny, ty masz czterdzieści trzy lata, ja w tym roku skończę czterdzieści. Jesteśmy inteligentni, atrakcyjni, odnosimy sukcesy zawodowe. Na co czekać?

Nie mogłem nie docenić jej pewności siebie; zmierzała prosto do celu.

– No, nie wiem... Nie jestem pewien...

Zauważyłem, że Jonathan nie tknął szampana. I chyba trochę pozieleniał na twarzy.

– Czego nie jesteś pewien? Tego, co do mnie czujesz? – zachnęła się Philippa.

– Nie, to wiem, ale ten pomysł... No zastanów się, gdzie zamieszkamy? – Ulżyło mi, kiedy o to zapytał.

– Cóż, na pewno nie tutaj. Dom, owszem, jest w porządku, ale ta okolica... Mój apartament w Kensington będzie dla nas idealny.

– Tak, jest piękny i w fajnym miejscu, ale mnie podoba się tutaj. – Chyba sprawiła mu przykrość, wyrażając się niezbyt pochlebnie o naszym domu.

Nie rozumiałem, jak Jonathan, który jeszcze niedawno był pewny siebie, arogancki i wyzwolony, w ogóle bierze pod uwagę związek z taką kobietą. No dobra, brzydka nie była, ale

charakter? Litości. Okropny!

– Słuchaj, masz trochę za daleko do miasta, nie uważasz? Zresztą możesz go wynająć, to zawsze dodatkowy dochód – przekonywała.

– Dopiero co się wprowadziłem.

– Jonathan, co z tobą? Proponuję ci siebie, na wyłączność, i swój apartament w Kensington. Pomyśl tylko: tam możemy wydawać przyjęcia na odpowiednim poziomie, a to pozytywnie wpłynie na nasze kariery. Przecież tutaj nikogo nie zaprosisz. To nie jest najlepsza dzielnica, musisz przyznać.

– Dobrze, Philippto, rozumiem – warknął. – Tylko nie jestem pewien, czy chcę się do ciebie przeprowadzić.

– Chyba żartujesz. Oczywiście, że chcesz.

Byłem pod wrażeniem. Ani na chwilę nie traciła pewności siebie.

– Bardzo cię lubię i dobrze nam razem, ale dlaczego nie może zostać tak, jak jest?

Przynajmniej na razie – prosił, a właściwie błagał.

Humor mi się poprawiał. Do tej pory wydawało się, że Jonathan bardzo ją lubi, i choć nie zachowywał się jak Claire przy Joem, to znaczy nie był taki cichy i nieśmiały, to moim zdaniem miała na niego ogromny wpływ.

– Nie, Jonathan, nie może tak zostać. Chcę się ustakować. Za chwilę stuknie mi czterdziątka. W tym roku zamierzam zostać współniczką w firmie, a preferuję ludzi z ustabilizowaną sytuacją osobistą albo przynajmniej w trwałych związkach. Mój plan to szybko wyjść za męża. I urodzić dziecko, zanim skończę czterdzieści jeden lat. Nie ma co czekać.

– Ejże, Phil, powoli. Skąd te nagle pomysły? – Cofnąłem się, Jonathan też chyba się od niej odsunął. – Sama podkreślałaś, że spotykamy się dopiero od kilku miesięcy. Dopóki nie wyjechałaś, wszystko toczyło się spokojnie. Wspólne kolacje, czas wolny. Super, ale bez napinki. Nie możesz tak po prostu wrócić z Nowego Jorku i oczekiwać, że się do ciebie wprowadzę, ożenię się z tobą i zrobię ci dziecko – roześmiał się niespokojnie.

– Ależ owszem, mogę, i właśnie to robię. Jonathan, to naprawdę rozsądne wyjście. Spójrz na siebie: w Singapurze cały czas zajmowałaś niskie stanowisko.

– Dzięki za przypomnienie. – Posmutniał, więc podszedłem do niego i otarłem się o jego nogi.

– Chodzi mi o to, że moja kariera się rozwija. Mógłbyś mnie wspierać i jednocześnie pracować nad własnym awansem. Stanowimy zgrany zespół. Ja przydam się tobie, a ty mnie.

– W twoich ustach to brzmi jak układ biznesowy – stwierdził gorzko.

– Bzdura. Chociaż sentymentalna nie jestem, to fakt. Zresztą nieważne. Tego właśnie chcę, a ja zawsze dostaję to, czego chcę. – W jej oczach błyszczała determinacja.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Nagle zacząłem się zastanawiać, co ta przeprowadzka oznaczałaby dla mnie. Nie wiedziałem, gdzie jest to całe Kensington, ale miałem straszne przeczucie, że to daleko, że nie mógłbym odwiedzać tego uroczonego drania. Musiałbym zostać tutaj, z nowymi lokatorami. Kochałem Jonathana, ale kochałem też Claire, rodzinę Frani, coraz bardziej lubiłem Matta i Polly. Poczułem, jak sierść mi się jeży ze strachu. Nie chciałem, żeby się wyprowadzał; a co, jeśli nigdy więcej go nie zobaczę? Zrozumiałem, że to miłość.

– A Alfie? – zapytał nagle.

Chciało mi się skakać z radości. Philippa zmrużyła oczy.

– W moim budynku nie wolno trzymać zwierząt – odparła bezdusznie.

– Nie zostawię go – oznajmił spokojnie.

– Na miłość boską, kotu znajdzie się nowy dom. Damy ogłoszenie do gazety. Przecież to nawet nie jest twój kot!

- Philippo, czy ty w ogóle nie masz serca? Alfie to jest mój kot. Kocham go. Zrobiło mi się ciepło pod futerkiem. On też mnie kocha. Syknąłem głośno na jędzę.
- Cholerne kocisko! – wrzasnęła. – Słyszałeś, jak na mnie zasyczał? – Naburmuszyła się.
- Bo go obraziłaś – stwierdził Jonathan poważnie.
- Rany, Jonathan, ledwie go znasz. I szczerze mówiąc, nie pasuje do twojego wizerunku.

Poza tym to tylko kot!

– Jest tu dłużej niż ty – odparł cicho. – Wróciłem z Singapuru w kiepskim stanie. Alfie mnie uratował.

Cały puchłem z dumy. Uratowałem go! Czyli jednak to zauważył.

– Jak to cię uratował?

– Był przy mnie, towarzyszył mi. – Wydawał się tym zaskoczony, jakby dopiero teraz to do niego dotarło, a ja pławilem się w chwale.

– Cóż, skoro ci bardziej zależy na jakimś durnym zwierzaku niż na mnie, nie jesteś facetem, za jakiego cię miałam. Jadę do domu. Masz jeszcze czas, żeby to przemyśleć.

Wstała, łypnęła na niego morderczym wzrokiem i poszła na górę po swoje rzeczy. Słyszeliśmy, jak miota się i tupie, a potem ostentacyjnie trzasnęła drzwiami do pokoju, ale Jonathan ani drgnął. Ja też nie. Wtulilem się w jego nogi.

Po pewnym czasie wyszła i stanęła przy drzwiach.

– Pożałujesz tego. Co za kretyń wybiera kota, nie mnie? Nic dziwnego, że nic ci w życiu nie wychodzi – wycodziła tak okrutnie, jak nigdy.

– Żegnaj, Philippo – odparł szorstko. Patrzyliśmy, jak wypada z mieszkania. Trzasnęła drzwiami, aż framugi zadrżały.

– Tego się nie spodziewałem – stwierdził Jonathan po pewnym czasie. – Boże drogi. Co za kobieta. Nie wiadomo kiedy z miłej dziewczyny zmieniła się w wariatkę.

Chciałem powiedzieć, że moim zdaniem nigdy nie była miła, ale przecież nie umiem mówić.

– No, ale wygląda na to, że mi się upiekło i że ty, Alfie, znów mnie uratowałeś.

Zamruczałem dumnie, że nie musi mi dziękować. Uratowałem nas obu przed czarownicą. Najlepsze, że choć był zaszokowany, to jednak chyba nie smutny. Miałem tylko nadzieję, że nie zmieni zdania. Na razie postanowiłem mu zaufać. Przecież na to zasłużył.

– A kobieta mojego życia pewnie jest tuż za rogiem.

Przypomniał mi o moim planie. Nie za rogiem, na tej samej ulicy! Pozbyliśmy się Philippy, teraz jeszcze musiałem spławić Joego i połączyć Jonathana z Claire. Tylko jak to zrobić? Gdyby się udało, byłbym najszczęśliwszym kotem na świecie. Serce biło mi radośnie na myśl, że jestem o krok bliżej celu.

Rozdział 28



Tego wieczoru postanowiłem nie wracać do Claire – nie mogłem zostawić Jonathana. Pokazał mi, jak bardzo jest wobec mnie lojalny, więc chciałem odwzajemnić się tym samym. Kiedy Philippa wyszła, oglądaliśmy razem telewizję, potem zaniósł mnie do sypialni, na mój ukochany kaszmirowy kocyk. Miałem cudowne sny, w których byłem kochany, hołubiony i pieszczony. Bardzo tego potrzebowałem po zawirowaniach minionych tygodni. Od dawna tak dobrze nie spałem.

Następnego dnia nie szło się do pracy, ale obudziłem się wcześniej, skoczyłem do Jonathana i usiadłem mu na piersi. Jęknął przez sen, otworzył jedno oko i zaskoczony popchnął mnie lekko. W odpowiedzi pacnąłem go łapką w nos.

– Kurczę, Alfie. Co ty wyrabiasz? – sapał. Uśmiechnąłem się. Byłem w zbyt dobrym humorze, żeby się przejmować, że mnie karci. – No tak, pewnie jesteś głodny. Dobra, chodź. Wejdę tylko na sekundę do łazienki i dostaniesz śniadanie. – Zamiauczałem radośnie. – Rany, może jednak powinienem wybrać Philippę, jest mniej wymagająca niż ty. – Łypnąłem na niego oburzony. Roześmiał się. – Spoko, żartuję. Zaraz dostaniesz jeść. – Ruszył do łazienki, ja pobiegłem do kuchni.

Nie spieszyło się nam, po długim śniadaniu Jonathan oznajmił, że idzie na siłownię, więc pomyślałem sobie, że to idealny moment, żeby zajrzeć do Claire. Byłem przygotowany na najgorsze; kto wie, co nabroił Joe, odkąd ostatnio ich widziałem?

Wszedłem do domu. Claire szykowała obfite śniadanie.

– Już się o ciebie martwiłam – zaczęła. – Gdzieś ty się podziewał, Alfie? – Była bardzo smutna.

Otarłem się o jej gołe nogi. Czemu ludzie sami nie wiedzą, kiedy trzeba coś zmienić, bo są nieszczęśliwi? Powinna jak najszybciej wykopać Joego, przecież najwyraźniej wcale jej nie uszczęśliwiał. Pochyliła się, żeby mnie pogłaskać. Czule polizałem ją w nos. Zachichotała – cudowny dźwięk w ponurym ostatnio domu.

Claire była w naprawdę kiepskiej formie. Wyglądała tak jak wtedy, gdy tu zamieszkała, chuda, blada, z podkrążonymi oczami i bruzdami smutku przy ustach.

– Śniadanie gotowe? – zapytał Joe. Wszedł do kuchni w powyciąganych spodniach od dresu i wymiętej koszulce.

– Prawie, siadaj, zaraz ci podam. – Nałożyła mnóstwo jedzenia na talerz, zaniósła do saloniku i postawiła na stole.

Joe usiadł i zaczął wcinać. Nawet nie podziękował.

– Nie jesz? – zapytał, kiedy w końcu zauważył, że nadal przy nim stoi.

Usiadła z kubkiem w dłoni.

– Nie, piję tylko kawę. Nie jestem głodna.

– Dobra dziewczyna, nie chcesz się utuczyć, co? – prychnął i znów pochylił się nad talerzem.

Cały czas zadziwiał mnie, dlaczego ten okropny człowiek z każdym dniem robi się gorszy, zwłaszcza wobec mojej kochanej Claire. Na jego talerzu piętrzyła się góra jedzenia. Nie miał za grosz manier. Żółtko ściekało mu po brodzie; wytarł je wierzchem dłoni. Spojrzałem na Claire – od razu dało się zauważyć, że nie toleruje takiego zachowania. Serce mi pękało, ale nadal czułem się bezradny.

Kilka godzin później, kiedy Claire sprzątnęła naczynia, nakarmiła mnie smażonym jajkiem – bardzo smaczne – i posprzątała w domu, Joe zszedł do saloniku. Miał na sobie dzinsy i koszulę. Wyglądał lepiej, prawie normalnie. Ale ja oczywiście przejrzałem go na wylot.

– Wychodzisz? – zapytała Claire ledwie słyszalnym szeptem.

– Mówiłem ci, że Garry ma urodziny, idziemy na kręgle, potem na miasto.

– Przepraszam, zapomniałam.

– Nie czekaj na mnie, wrócę późno.

– Baw się dobrze – uśmiechnęła się, ale on był poważny.

– Tak, tak. A właśnie, pożyczysz mi trzydzieści funtów? Na kilka dni? Jeszcze mi nie zapłacili tego wszystkiego, co mi są wini, ale zaklinają się, że w tym tygodniu już na pewno uregulują całość.

Kłamał jak z nut. Joe już od dawna brał od Claire pieniądze i nie oddał jeszcze ani grosza. Miałem ochotę go pogryźć i podrapać, ale wiedziałem, że to tylko pogorszy sytuację.

Claire poszła po torebkę i podała mu trzy banknoty. Schował je bez słowa i wyszedł. Nie pocałował jej na pożegnanie. Claire odprowadzała go takim wzrokiem, jakby sama nie rozumiała, co się z nią dzieje. I chyba naprawdę tak było. Moim zdaniem nie ogarniała, jakim cudem ten mężczyzna, początkowo taki czarujący, teraz mieszka w jej domu, wyjada jej jedzenie, bierze jej pieniądze i nawet się do niej nie uśmiecha. W jej spojrzeniu widziałem pytanie, jak się w to wpakowała, ale też przygnębienie, bo nie widziała wyjścia z impasu.

Byłem zrozpaczony. Claire poszła na górę, wzięła prysznic, się ubrała. Poszedłem za nią, żeby służyć jej wsparciem; to niedużo, ale więcej nie mogłem zaoferować. Kiedy się umyła i ubrała, wyglądała trochę lepiej, ale zaczęła sprzątać i znów ogarnął ją smutek.

Ulżyło mi, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, a potem na progu zobaczyłem Taszę. Podbiegłem do niej i niemal rzuciłem się jej w ramiona, tak bardzo się ucieszyłem. Odkąd Joe się wprowadził, niestety prawie nas nie odwiedzała. Bardzo mi jej brakowało i liczyłem na to, że znajdzie sposób, żeby pomóc Claire.

– Nie wiedziałam, że się do mnie wybierasz. – Claire przyglądała się jej podejrzliwie.

– Przepraszam, byłam w okolicy. Mogę wejść? – zapytała.

Claire skinęła głową i odsunęła się od drzwi. Coś tu jest nie tak, pomyślałem. Nie przywitały się serdecznie, jak dawniej.

– Joe w domu?

– Nie, wyszedł. Kawy?

– Poproszę. – Weszły do kuchni, gdzie Claire zajęła się parzeniem kawy.

– Wszystko w porządku? – zagadnęła Tasha.

– Tak, super – odparła natychmiast.
– Słuchaj, ponad miesiąc nie widziałyśmy się poza pracą. A przecież się przyjaźnimy, co nie?

Claire zwiesiła ramiona.

– Pewnie, tylko Joe przechodzi ciężki okres. Ale ogólnie jest okej, naprawdę.

– Wyglądasz, jakbyś nic nie jadła – zauważyła Tasha.

– Dbam o figurę, i tyle.

– Nikniesz w oczach.

– Chcę być szczupła. – W jej głosie pojawił się ostry ton.

– Claire, wyglądasz tak jak wtedy, kiedy się poznałyśmy. Zostawił cię mąż, rozpaczalas.

Potem wydawało się, że wyszłaś z dołka. Pamiętasz, jak żartowałyśmy? Lubiłaś pracę, nasze spotkania, klub książkowy...

– Tasha, już ci mówiłam, wszystko gra. Staram się być szczęśliwa. Jedyny problem to fakt, że Joe ma kłopoty w pracy, i dlatego teraz muszę go wspierać. Potrzebuje mnie. – Zaciśnęła usta, gdy o nim wspomniała.

– Już w ogóle ze mną nie rozmawiasz, nie wpadasz na spotkania klubu, nie chcesz z nami wychodzić. W pracy zwieszasz głowę i mnie unikasz. Nie rozumiem, czemu mnie unikasz! – Tasha była naprawdę przejęta.

Postanowiłem zdobyć się na wielki gest; podszedłem do niej i wskoczyłem jej na ręce. Chciałem dać do zrozumienia, że ma rację i że musi coś zrobić. Nie byłem pewien, czy mnie zrozumiała, ale mocno przytuliła do siebie.

– Nie, Tasha, nie unikam cię, co za bzdura. Ile razy mam ci powtarzać, że jest w porządku?

Patrzyłem to na jedną, to na drugą; żadna nie chciała ustąpić. Tasha delikatnie odstawiła mnie na podłogę. Oby sprawiła, że Claire przejrzy na oczy, prosiłem w duchu.

– Zobacz, przecież nawet nie miałam okazji poznać Joego. Kiedy chcę gdzieś was zaprosić, wymyślasz kolejne wymówki. Chodzi o ciebie czy o niego?

– O nas oboje. Joe ma kłopoty w pracy; wydawało mi się, że zrozumiesz, że chcę przy nim być.

– No dobra, zaryzykuję, najwyżej mnie zabijesz, ale powiem to: właściwie go nie znałaś, jak się do ciebie wprowadził, kiedy, miesiąc temu? Traktuje cię jak szmatę; wszyscy to widzą. Może mówi, że problemy w pracy to nie jego wina, ale wierzysz mu na sto procent? Nie zwalniam nikogo bez powodu. Gdyby był taki czysty, jak twierdzi, pozwałyby ich.

– Właśnie toczą się rozmowy z działem HR i jego prawnikiem. Sama wiesz, ile to trwa – odparła Claire, ale bez przekonania. – I wcale się nie wprowadził. Nocuje u mnie, ponieważ potrzebuje wsparcia.

– Na pewno? Bo dzień w dzień widzę, jak biegniesz do domu, do niego.

– Tak, Tasha, na pewno. Joe ma swoje mieszkanie, zresztą lubię, jak przy mnie jest.

Cóż, mnie nie przekonała. Swojej przyjaciółki też nie.

– Serio? A według mnie jesteś nieszczęśliwa. Zresztą nie tylko według mnie. Wszyscy w pracy to zauważyli. Martwimy się o ciebie. Nie spotykasz się z nami. Nie odpowiadasz na wiadomości, nie odbierasz telefonów. Kiepsko wyglądasz, szczerze mówiąc. Więc jeśli to twoim zdaniem wynik szczęścia, to ja dziękuję. – Tasha podniosła głos i poczerwieniała na twarzy.

Chciałem przytaknąć jej energicznie, ale tylko obserwowałem. Claire okłamywała Tashę i być może samą siebie. O ile mi wiadomo, nie było o tym mowy, ale Joe rzeczywiście praktycznie się do nas wprowadził.

– Słuchaj, doceniam twoją troskę, ale to moje życie. Po nieudanym małżeństwie nie

wierzyłam, że ktoś mnie jeszcze zechce. A Joe... potrzebuje mnie. Przechodzi ciężkie chwile i liczy na mnie. Kocham go, jesteśmy razem szczęśliwi. Nie życzę sobie, żebyś wtrącała się w nie swoje sprawy, ty czy ktokolwiek inny.

– Robię to, bo mi na tobie zależy. Chyba o tym wiesz? Martwię się. – Nagle Tasha wydała mi się bardzo smutna i pokonana.

– Więc się nie martw. – Jeszcze nigdy nie słyszałem w głosie Claire takiego chłodu. – Mam dzisiaj sporo pracy, więc gdybyś mogła już iść... – Odwróciła się plecami.

Tasha wstała powoli i wyszła. Widziałem, jak Claire wylewa nietkniętą kawę do zlewu, gdy biegłem za Tashą. Zatrzymała się przy furtce. Podeszedłem do niej.

– Och, Alfie, czemu ona nie chce tego zrozumieć, że Joe ją wykorzystuje? – odezwała się do mnie. Przechyliłem łepkę. Kucnęła, jakby chciała porozmawiać oko w oko. – To taki okropny typ, widzę, że to wiesz, ale co możemy zrobić? Nie słucha mnie. Trzeba by go zmusić, żeby pokazał swoją prawdziwą twarz – ciągnęła, a ja przyglądałam się jej ciekawie, coraz bardziej przejęty. – Jak ja to dobrze znam. Kobiety się zmieniają, gdy doświadczają przemocy. Alfie, ty pewnie widziałeś więcej niż ja, mieszkasz z nimi. Szkoda, że nie możesz mi powiedzieć. O rany, rozmawiam z kotem! – roześmiała się gorzko. – Wybacz, przyjacielu, ale chyba ani ty, ani ja nic na to nie poradzimy.

To wkurzające, kiedy ludzie mnie nie doceniają, ale akurat tym razem musiałem się z nią zgodzić. Nie miałem pojęcia, co zrobić. Z drugiej strony, rozwiązałem problem z Philippą – a przynajmniej przyłożyłem do tego łapę. Miałem więc nadzieję, że i w tej sprawie coś mi przyjdzie do głowy. Cały czas pobrzmiewały mi w uszach słowa Tashy: „Trzeba by go zmusić, żeby pokazał swoją prawdziwą twarz”. Liczyłem na to, że coś wymyślę.

Wróciłem do domu przez kłapkę. Claire siedziała przy stole w saloniku. Była bardzo smutna. Wskoczyłem na blat i delikatnie polizałem ją w nos – to taki koci pocałunek. Uśmiechnęła się ponuro, ale nawet nie zgoniła mnie ze stołu. Sprawy miały się bardzo źle.

– Wiesz, Alfie, czasami myślę, że tylko ty mnie nie oceniasz – stwierdziła. Zamruczałem. Nieprawda, też ją oceniałem, ale na razie to było nieistotne. Potrzebowała mojego wsparcia.

– Kocham cię, Alfie. Teraz muszę iść na zakupy. Dostaniesz na kolację coś pysznego. – Wstała, zostawiła mnie na stole i poszła się ubrać.

Widziałem, jak Jonathan wraca z siłowni, więc pobiegłem do niego. Liczyłem, że może uda mi się dzisiaj zajrzeć pod 22, ale nie chciałem oddalać się od Claire; strasznie się o nią martwiłem. Jonathan rozmawiał przez telefon. Kiedy skończył, uśmiechnął się do mnie.

– Idę dziś z chłopakami z pracy uczcić odzyskanie wolności – oznajmił żartobliwie. – Przed wyjściem dam ci łososia, ale nie czekaj na mnie – zaśmiał się. Zamiauczałem radośnie. Wziął mnie na rękę i okręcił się ze mną. – Wiesz, Alfie, my, ludzie, jesteśmy dziwni. Tak bardzo chciałem kogoś mieć, że godziłem się, żeby Philippa mną rządziła, ale bez niej jestem szczęśliwszy. Teraz to widzę! – znowu się roześmiał.

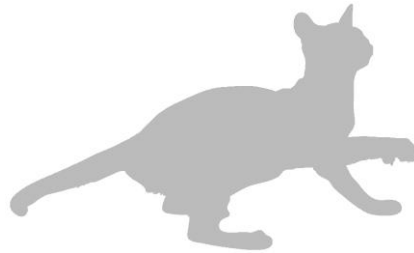
Dlaczego Claire tego nie rozumie? Jonathan rzeczywiście odżył, stał się fajniejszy, o wiele miłszy niż dawniej. Może trzeba był związków z takim potworem jak Philippa, żeby docenił tę specjalną więź między nami.

Przypomniało mi się, jak Margaret mówiła, że ludzie dorastają. Czasami dorastają prosto w górę, czasami odbijają w bok, nie w tę stronę, ale często się zmieniają. Mówiła też, że czasami muszą upaść, żeby wstać i rozkwitnąć, co nie do końca rozumiałem, póki i na mnie nie przyszły ciężkie chwile. Byłem młodziutkim kotem, ale musiałem szybko dorosnąć i sporo się nauczyć; nie zawsze miałem na to ochotę, ale w przyszłości ta wiedza wyszła mi na dobre.

Jonathan także wyciągał wnioski i rósł, ale moja biedna Claire usychała. Oby Margaret miała rację i Claire znowu odnalazła właściwą drogę.

Musiałem dopilnować, żeby wszystkie moje rodziny były szczęśliwe, a to wielka odpowiedzialność jak na jednego małego kota.

Rozdział 29



Tego wieczoru Joe wrócił późno, obudził i Claire, i mnie. Był dla niej miły w taki okropny sposób, obmacywał ją i całował. Wymknąłem się z pokoju, zanim sami by mnie wyrzucili.

Poszedłem do Jonathana. Powitał mnie pusty dom – Jonathan znowu nie wrócił na noc. Ależ ludzi sobie wybrałem! Czułem się jak piłeczka pingpongowa, gdy rano dreptałem z powrotem do Claire na śniadanie. O dziwo, i ona, i Joe uśmiechali się promiennie przy stole. Claire nawet coś zjadła, choć tylko odrobinę. Widziałem, jak nerwowo zagryza wargi.

– Joe, mogę cię o coś zapytać? – zaczęła nieśmiało. Skinął głową. – Bo widzisz, jesteś tu już od miesiąca, właściwie się do mnie wprowadziłeś, a jeszcze o tym nie rozmawialiśmy.

Widziałem, jak pociemniały mu oczy.

– Chcesz powiedzieć, że mnie tu nie chcesz?

– Nie, skądże. Ale wiesz, w ogóle nie rozmawiamy o twojej pracy, twoim mieszkaniu, o tym, co się stało. Chcesz tu zamieszkać? – Była przerażona i niepewna.

– Claire, chciałem właśnie o tym z tobą pomówić, ale trochę się bałem, że odmówisz. Wstyd mi, bo, straciłem mieszkanie. Przez te kłopoty w pracy nie mam pieniędzy, a prawnik zażądał opłaty z góry, no i nie stać mnie było na czynsz.

Po minie Claire zorientowałem się, że nic z tego nie rozumie i że w ogóle nie panuje nad sytuacją.

– Jeśli nie masz gdzie mieszkać, oczywiście, że możesz się wprowadzić. Wystarczyło powiedzieć, Joe. Nie będę cię osądzać; kocham cię.

– Och, Claire, bardzo chętnie z tobą zamieszkam. W tym tygodniu przywiozę resztę swoich rzeczy! – Miał minę kota, który dorwał się do śmietanki. – Będzie super, a kiedy stanę na nogi, wszystko ustalimy. No wiesz, rachunki i tak dalej.

Podrzliwie zmrzyłem ślepią. Jakim cudem mu się udało? Wiedziałem, że kłamie. Już kilka tygodni temu wyniósł się ze swojego mieszkania, resztę rzeczy trzymał u kolegi – słyszałem, jak rozmawia przez telefon.

Liczyłem na to, że Claire każe mu spadać, tak jak Jonathan Phillipie, ale choć nie miała zbyt pewnej miny, uśmiechnęła się.

– Jasne. Po prostu nie wiedziałam, jaka jest sytuacja.

– Przecież nie zamieszkałbym tutaj bez ustalenia tego z tobą! Uczcijmy to czymś wyjątkowym.

– W National Gallery jest wystawa, którą bardzo chciałabym zobaczyć – odezwała się Claire nieśmiało.

– No to chodźmy. Ten dzień jest dla ciebie, kochanie; zrobimy, co chcesz. – Joe pochylił

się i ją pocałował.

Od dawna go takim nie widziałem, więc intrygowało mnie, co się zmieniło. Ciekawe, czy zauważył, jak źle Claire wygląda, czy może dopadły go wyrzuty sumienia, choć szczerze mówiąc, akurat w to bardzo wątpię.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę. Jestem taka szczęśliwa – zachichotała.

– I tylko to się dla mnie liczy – wycedził przez zęby, ale w głębi serca wiedziałem, że nie mówi szczerze.

Poszedłem spacerkiem pod numer 22. Znowu świeciło słońce, był piękny dzień, więc mimo licznych zmartwień maszerowałem dziarskim krokiem. Zastałem tam obie rodziny przed domem. Stali na trawniku, z mnóstwem pakunków. Frania i Polly miały na sobie letnie sukienki, mężczyźni i chłopcy koszulki i szorty. Wszyscy byli bardzo ożywieni.

– Alfie! – Olek zaraz do mnie podbiegł. – Jedziemy na piknik!

– Cześć, Alfie. – Duży Tomasz mnie pogłaskał.

– Weźmiemy ze sobą Alfiego? – zapytał Olek z nadzieją.

– Nie możemy; kotów nie wolno brać do pociągu.

– Jedziemy nad morze – wyjaśnił Olek, ale posmutniał, że muszę zostać.

Też czułem się rozczarowany. Zmiana otoczenia byłaby miłą odmianą. Całe towarzystwo paplało radośnie i pakowało te wszystkie paczki, ja tymczasem poczułem coś bardzo smakowitego. Tuńczyk! Uwielbiam tuńczyka! Węch doprowadził mnie do największego pakunku, w środku zobaczyłem koc, jakieś nieduże pudełko – a w nich... właśnie tuńczyka. Postanowiłem to dokładniej zbadać, wlałem do tej torby. Było mi ciepło i błogo. Zachłysnąłem się smakowitym zapachem ryby i już miałem wyjść, gdy czyjaś ręka – Tomasza – chwyciła pakunek i wstawiła do samochodu. Nie wiedziałem, co robić, gdy wóz ruszył z miejsca, więc nic nie robiłem. W pierwszej chwili spanikowany chciałem płakać, ale zaraz sobie przypomniałem, że przecież jestem ze swoimi rodzinami. Czyli jednak pojedę z nimi nad morze.

Wiedziałem, że muszę siedzieć cicho, więc koniec końców zasnąłem, kiedy wsiedliśmy do pociągu. Postawili mnie na podłodze. Po chwili zasnąłem, ukołysany monotonnym ruchem. Jak przez mgłę kojarzyłem, że pociąg staje i ktoś znowu podnosi pakunek, w którym siedziałem. Wyjrzałem nieśmiało, ale zobaczyłem jedynie całe mnóstwo nóg i psi nos, więc szybko się schowałem z powrotem.

Nieśli mnie, wieźli i znowu nieśli, aż w końcu stanęliśmy. Czułem ciepło, słyszałem krzyki mew i ludzkie głosy. Mężczyźni mówili coś o rozstawieniu krzeseł, Frania zaproponowała, że rozpakuje jedzenie. Otworzyła torbę i wtedy wyskoczyłem. Gdybym umiał, krzyknąłbym: Niespodzianka! Wszyscy zamarli, w końcu Olek zaczął chichotać, mały Tomaszek mu zawtórował i nawet Henry zabalgotał wesoło, kiedy podszedłem do niego, żeby się przywitać. Frania wzięła mnie na ręce.

– Nasz mały pasażer na gapę!

Wszyscy zaczęli się śmiać i nagle poczułem radość, której nam wszystkim ostatnio brakowało. Po raz kolejny zrobiłem coś dobrego dla swoich rodzin.

– Nigdzie nie odchodź, Alfie – powiedział Matt surowo, kiedy już ucichli. – Jesteśmy daleko od domu, trzymaj się nas.

Spojrzałem na niego z oburzeniem. Za jakiego kota mnie uważa?

Piknik okazał się świetną zabawą. Siedziałem sobie na skraju koca, mrużyłem oczy w słońcu, zjadałem smakołyki i obserwowałem świat dookoła. Obcy ludzie pokazywali mi sobie palcami. Może jednak koty nie jeżdżą nad morze. Na pewno nie miałem ochoty zbliżyć się do wody. Ciągle miałem w pamięci incydent ze stawem i wolałem trzymać się z daleka. Siedziałem sobie z Polly, gdy pozostali pobiegli do morza. Choć wydawała się pogodna, w jej oczach znowu

malował się smutek. Pozwalała mi siedzieć obok siebie i głaskała mnie bezwiednie, ale intrygowało mnie, gdzie jest myślami, bo na pewno nie tu, ze mną. Kombinowałem, jak jej pomóc, a ponieważ nie mogłem nic wymyślić, zwinąłem się w kłębek, przytuliłem do niej i usiłowałem przekazać swoją miłość. Siedzieliśmy tak przez dłuższy czas, aż wróciła reszta towarzystwa, cała mokra.

– Alfie! – Olek otrząsnął się z wody.

Odskokczyłem z piskiem.

– Koty nie lubią wody – wyjaśnił Matt i mrugnął do mnie porozumiewawczo.

– Przepraszam – wymamrotał ze skruchą Olek.

Zamruczałem wielkodusznie.

Tak mijają to cudowne popołudnia. Obie rodziny wydawały się szczęśliwe jak nigdy. Było tyle śmiechu i radości, że aż serce rosło. Słońce grzało niemilosiernie. Kiedy zrobiło mi się za gorąco, znalazłem skrawek cienia pod wózkiem Henry’ego. Olek i Tomasz zbierali kamienie, mieli ich do wyboru, do koloru na całej plaży. Potem poszli po lody i kupili nawet dla mnie!

Pycha! Z błogością zjadałem swoje pierwsze lody. Z początku nie podobało mi się, że są takie zimne, krzywiłem się i prychałem, aż wszyscy zaczęli się śmiać, ale potem spróbowałem jeszcze raz i okazały się pyszne. Bardzo kremowe!

Nagle tuż przy nas usiadła duża mewa; łypnęła na mnie groźnie. Mały Tomaszek krzyknął ze strachu, jednak ja dzielnie zerwałem się na cztery łapy i najeżyłem futerko – wtedy wydaję się większy, choć ptaszysko i tak nade mną górowało. Zasyczałem bojowo. Mewa popatrzyła tak, jakby oceniała, czy warto atakować. Zasyczałem jeszcze raz – i odleciała.

– Alfie jest bohaterem! – zawołał Olek, gdy ponownie zabrałem się do jedzenia lodów.

Może zachowałem się odważnie, ale w głębi duszy dygotałem ze strachu. Nie wiem, czy wyszedłbym cało z walki z takim ptaszyskiem!

– Nie martw się, Alfie, pomogliśmy ci! – zapewnił duży Tomasz, ale nie wiem, czy nawet on pokonałby taką olbrzymią, groźną mewę; w naszych kręgach słyną z bezwzględności.

Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, Frania stwierdziła, że czas wracać do domu, więc dzieci włożyły czyste ubrania, wszyscy zebrali śmieci i spakowali bagaże. Tym razem podróżowałem w torbie pod wózkiem małego Henry’ego. Właściwie było mi tam całkiem wygodnie, więc wcale nie protestowałem. Przez większość drogi i tak śniłem o lodach.

Zatrzymaliśmy się pod numerem 22. Pożegnałem się ze swoimi rodzinami i zmęczony podreptałem do Claire.

– Ciekawe, dokąd idzie, kiedy nas opuszcza – rzucił Matt i wszyscy patrzyli na mnie tak, jakby spodziewali się odpowiedzi.

Rozdział 30



Następnego dnia poszedłem pod 22, żeby się pobawić. Bardzo chętnie jeszcze raz przeżyłbym taką wycieczkę nad morze, chciałem, żeby chłopcy śmiali się jak wczoraj. Pękałem z dumy, że przynoszę im tyle radości. Już miałem zamiauczeć pod drzwiami Frani i Olka, kiedy coś przykuło moją uwagę. Dziwny odgłos, którego nigdy przedtem nie słyszałem. Trochę jak jęk duszonego kota, tylko że dobiegał z mieszkania Polly. A potem rozległ się płacz Henry'ego, i znowu ten odgłos. Doszedłem do wniosku, że wydaje go Polly.

Instynktownie wiedziałem, co robić. Miauczałem nerwowo i z całej siły drapałem w drzwi, aż w progu stanęła Frania.

– Cześć, Alfie, wejdz. – Odsunęła się od progu, żeby mnie wpuścić, ale ani drgnąłem. Spojrzała na mnie dziwnie. – Co się stało?

Podbiegłem do drzwi Polly i wydarłem się na całe gardło. Frania podeszła po chwili wahania i wtedy znowu rozległ się ten dźwięk – tym razem ona też go usłyszała.

– Co jest? – zapytała z przerażeniem w oczach. – Coś się stało? – Zamknęła drzwi swojego mieszkania, krzyknęła do Olka, że zaraz wróci, a potem już razem staliśmy pod drzwiami Polly. Dzwoniła i pukała. W końcu, po bardzo długim czasie, Polly otworzyła i podała jej Henry'ego.

– Zabierz go, błagam. Dłużej tego nie wytrzymam. – Była cała zapłakana, rozczochrana i wyglądała okropnie.

– Polly. – Frania ostrożnie wzięła dziecko na ręce. Natychmiast przestało płakać.

– Weź go. Dłużej tego nie zniosę. Nie dam rady. Jestem potworem, nie umiem pokochać własnego dziecka. – Osunęła się na ziemię, ukryła twarz w dłoniach i wybuchła jeszcze większym płaczem.

– Polly – odezwała się Frania cicho, spokojnie. – Posłuchaj, trzeba nakarmić Henry'ego. Jest głodny. – Mówiła powoli, tak jak zazwyczaj mówi się do zwierząt i małych dzieci. Polly nie reagowała. – Poczekaj, zadzwonię do Matta, dobrze? Podaj mi jego numer.

– Nie, nie rób tego. Proszę. Nigdy mi nie wybaczysz. Nie chcę, żeby mnie widział w takim stanie. Nie dam ci jego telefonu. – Znowu zaczęła wyc.

Frania weszła do środka; wróciła z mlekiem Henry'ego i jakąś butelką. Wzięła torbę, którą Polly zawsze trzymała przy drzwiach, i zabrała Henry'ego do siebie. Była przerażona, jakby nie wiedziała, co robić.

Jednocześnie szykowała mleko dla Henry'ego i dzwoniła do dużego Tomasza, ale rozmawiali po polsku, więc nie zorientowałem się o czym. Frania miała bardzo zdenerwowany

głos. Jeszcze nigdy nie widziałem jej tak roztrzęsionej. Karmiła małego i starała się uspokoić swoich synków, którzy chyba wyczuwali, że coś jest nie tak. Próbowałem wciągnąć Olka w zabawę, żeby go rozerwać, ale za bardzo się martwił.

Wkrótce przyszedł Tomasz.

– Musisz iść z nią do lekarza – powiedział, kiedy już wysłuchał całej historii. – I to szybko. Ja zostanę z chłopcami. Będzie dobrze. – Objął ją i uściskał dla otuchy.

– A praca?

– Dzisiaj nie ma dużego ruchu, nie było problemu, żebym wyskoczył na trochę.

– Dobrze, że twój szef jest w porządku.

– Tak, to dobry facet. Wie, że ciężko pracuję i że nie wychodziłbym bez powodu.

– Mam nadzieję. – Frania dała Tomaszowi kilka wskazówek, jak opiekować się chłopcami i Henrym, który spał na kanapie.

– Po lekarzu zadzwonimy do Matta.

– Prosiła, żebyśmy tego nie robili.

– Potrzebuje go, po prostu sama nie zdaje sobie z tego sprawy. Koniec końców będzie zadowolona, że go zawiadomiliśmy.

– Masz do niego numer?

– Tak. Teraz już idźcie.

Poszedłem z Franią do Polly. Otworzyliśmy drzwi. Polly cały czas siedziała w tym samym miejscu, w którym osunęła się na podłogę.

– Polly? – zagadnęła cicho Frania.

– Z Henrym wszystko w porządku? – zapytała, nie podnosząc głowy.

– Tak. Śpi, najedzony. A my pójdziemy do lekarza. Chodź.

– Nie mogę.

– Musisz. Masz dziecko, które cię potrzebuje, ale jesteś chora i nie wyzdrowiejesz, póki nie pójdziemy do lekarza. – Frania usiadła obok Polly, a ja obok Frani.

– Myślisz, że jestem chora? – Polly podniosła na nią te swoje piękne smutne oczy.

– Moim zdaniem masz depresję poporodową. Coś takiego zdarza się dość często.

Polly cały czas wpatrywała się we Franię.

– I można to leczyć?

– Tak, lekarz ci pomoże, poczujesz się lepiej i będzie dobrze.

– Też to miałaś?

– Mhm, po Olku. Był wtedy młodszy niż Henry. Wydawało mi się, że go nie Kocham, ale to tylko depresja. Dostałam lekarstwa i wszystko wróciło do normy. Kocham swojego synka bardziej, niż to wydawało się możliwe.

– Ale Henry ciągle płacze. Czasami jestem bliska szału, jak to słyszę. A potem myślę, że może zaraz umrę i że to wcale nie byłoby takie złe.

– No tak, Henry płacze, jak wszystkie dzieci. Kiedy ty będziesz szczęśliwsza, on się uspokoi.

– Z inną matką byłby mu lepiej. – I znowu łzy.

– Polly, to ty jesteś jego mamą i bardzo go Kochasz. Może tego w tej chwili nie czujesz, ale tak jest, a Henry Kocha ciebie. Ze mną było podobnie. Moja mama zobaczyła, że coś nie gra, i zabrała mnie do lekarza.

– Moja z kolei powiedziała, że nie jestem sobą i że się o mnie martwi. Myślała, że to przez przeprowadzkę, nową pracę Matta, że to wszystko się na mnie odbija. Nie mogłam, nie potrafiłam się przyznać, że nie Kocham swojego dziecka. Co ze mnie za potwór?

– Nie jesteś żadnym potworem, jesteś chora. Wiem, że Kochasz synka, naprawdę, tylko

tego nie czujesz z powodu depresji. Rozumiem cię, uwierz mi. Miałam to samo. Mnóstwo kobiet przez to przechodzi. – Frania objęła ją ramieniem.

Polly się w nią wtuliła.

– Bardzo ci dziękuję. Wiesz, ile to dla mnie znaczy, że nie jestem z tym sama? Ale

Matt...

– Matt zrozumie. To dobry człowiek. Ale najpierw pójdziemy do lekarza.

Patrzyłem, jak Frania pomaga Polly się ubrać i włożyć buty. Opiekowała się nią jak małym dzieckiem, mówiła spokojnym, kojącym głosem. Zamknęła mieszkanie Polly na klucz, ale jej drzwi stały uchylone, więc wróciłem na górę.

Pobawiłem się z Olkiem, któremu chyba poprawił się humor, bo wyciągnął zabawki.

– Mama! – wołał mały Tomaszek.

Ojciec uściskał go i dał mu ciasteczko. Podobnie jak Frania był bardzo spokojny. Miał na oku Henry'ego, czytał bajki Tomaszewi, choć małego bardziej interesował telewizor. Później nakarmił dzieci, a mnie poczęstował rybą. Chciałem z nimi zostać, żeby się upewnić, czy z Polly będzie dobrze.

Czekaliśmy bardzo długo. Nawet Tomasz zaczął się denerwować. Henry się obudził. Tomasz zmienił mu pieluszkę. Potem mały Tomaszek poszedł na drzemkę. Olek zadawał tacie mnóstwo pytań, ale po polsku, więc właściwie nic nie rozumiałem.

Czas mijał. Zmartwiony Tomasz przygotował Henry'emu butelkę. Doskonale sobie radził z opieką nad trzema chłopcami. Działał bardzo sprawnie i dobrze. Właściwie nigdy przedtem nie widziałem ojca, który tak opiekowałby się dziećmi; my, koty, nie bardzo przejmujemy się obowiązkami ojcowskimi. Ale Tomasz był, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze spokojniejszy niż Frania. Wyczuwałem jednak, że gdzieś w głębi się denerwuje. Otarłem się o jego nogi. On też potrzebował wsparcia.

Przemknęło mi przez myśl, że widziałem ich wszystkich w trudnych chwilach. Byłem świadkiem, jak Frania tęskni za domem, Claire leczy złamane serce, Jonathan zmaga się z samotnością, a Polly – z Henrym i swoim smutkiem. W tym momencie zadzwonił telefon i wyrwał mnie z zadumy. Tomasz podniósł słuchawkę. Powiedział coś szybko po polsku, rozłączył się i z poważną miną wybrał inny numer.

– Matt? Tu Tomasz z góry. – Chwila ciszy. – Z Henrym wszystko w porządku, tak, ale chodzi o Polly. Frania zabrała ją do lekarza. – Wydawał się poruszony. – Możesz przyjechać? Wyjaśnię, choć to nie jest łatwe. Wszystko będzie dobrze.

Matt zjawił się dość szybko. Wyglądał okropnie: błądy, zmartwiony. Zaraz wziął Henry'ego na rękę.

– Nie wiem, jak ci dziękować – zwrócił się do Tomasza, gdy ten nastawiał wodę na herbatę.

– Nie ma sprawy, od tego są przyjaciele. Ale posłuchaj, Matt, to poważna sprawa, no wiesz, z Polly. Moja żona... Nie, właściwie to Alfie ją zaalarmował. Polly miała załamanie nerwowe, tak mówiła Frania. No więc ja zostałem z dziećmi, a ona zabrała ją do lekarza. Długo to trwało, ale już wracają.

– Rany, to wszystko moja wina. To przeze mnie. Zmusiłem ją do przeprowadzki. Teraz, kiedy Henry jest taki malutki. Myślałem, że to słuszna decyzja. – Miał łzy w oczach.

– Wiem, co czujesz, bo przechodziliśmy to samo. Nasi chłopcy są starsi, ale przeprowadzka też się na nich odbiła. Matt, posłuchaj, to nie jest niczyja wina. To choroba, każdemu się zdarza. Frania miała depresję, kiedy urodził się Olek. Ale lekarze jej pomogli; bardzo kocha dzieci i jest szczęśliwa.

Matt ukrył twarz w dłoniach.

– Mogłem się tego domyślić. Po tygodniu u rodziny wróciła w lepszej formie, odkąd poznała Franię częściej się uśmiechała, więc myślałem, że to efekt przeprowadzki. A wczoraj... było tak fajnie. Dlaczego tego nie zauważyłem? Co robić? Moja praca jest bardzo wymagająca, a potrzebujemy tych pieniędzy. – Zrobił taką minę, jakby zaraz miał się rozplakać.

– A mama Polly? Jaka jest?

– Ogólnie super.

– Niech przyjedzie na kilka dni trochę wam pomóc, dopóki Polly nie poczuje się lepiej.

– Dobry pomysł. Zaraz do niej zadzwonię. – Humor mu się odrobinę poprawił. – Mamy łóżko polowe, wstawimy je do pokoju Henry'ego. Chociaż mieszkanie jest trochę za małe na gości – zasępił się.

– Oj, tam. Pomieścicie się. Przynajmniej Polly będzie pod opieką.

Matt patrzył na Tomasza takim wzrokiem, jakby ten rozwiązał już cały problem.

– To może potrwać. Tabletki nie zadziałają od razu – uprzedził Tomasz.

– Jasne, ale przynajmniej nie zostanie z tym wszystkim sama. Dziękuję, Tomasz. I tobie, Alfie. Nawet przede wszystkim. Chyba nas uratowałeś. – Matt rozpląwał się nade mną, a ja puchłem z dumy.

Wyglądało na to, że gdziekolwiek się zjawię, dokonuję cudów, choć to na razie było moje największe osiągnięcie. Przymknąłem oko na element przypadku, że przyszedłem z wizytą akurat w tym momencie; kto w takiej chwili zawracałby sobie głowę takimi drobiazgami?

Odkąd zamieszkałem na Edgar Road, przekonałem się, że ludzie są skomplikowani. Początkowo sądziłem, że pomogłem Jonathanowi i Claire. Ale z drugiej strony: co z nią teraz? Wcale nie lepiej. Nadal musiałem ją ratować, bardzo tego potrzebowała. Postanowiłem jednak, że dopóki nie wykombinuję, jak to zrobić, zostanę z Polly i tą rodziną. Olek tulił mnie z całej siły; choć nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, co się wokół dzieje, to na pewno wyczuwał, że coś jest nie tak. Pozwalałem więc, żeby mnie tak mocno ścisnął.

– Alfie, jesteś moim najlepszym przyjacielem – wyznał, a mnie aż zachciało się płakać, tak jak ludziom, kiedy się bardzo wzruszą.

Jeśli wierzyć temu, co powiedział Tomasz, przed Polly była jeszcze długa droga.

W końcu wróciła Frania, sama.

– Polly śpi. Dostała tabletki i lekarz kazał je wziąć od razu, musi dużo odpoczywać po...

– Po czym? – Matt był bardzo przejęty.

– Dzisiaj miała załamanie nerwowe. Bardzo was kocha, ciebie i Henry'ego, ale jest chora. Dostała lekarstwa, które pomogą tylko doraźnie, potem musi iść... na terapię. I dużo odpoczywać, i nie siedzieć sama z Henrym. Żyje w zbyt wielkim napięciu.

– Dzwoniłem do jej mamy. Jutro przyjedzie – oznajmił Matt. – I poprosiłem o kilka dni wolnego. Wiedzą, jaka jest sytuacja i że nie mamy tu rodziny.

– Macie nas – powiedziała prosto Frania.

– Tak, i nie wiem, co byśmy bez was zrobili. Dzięki.

– Daj spokój, idź, zajmij się żoną i synkiem. Ale pamiętaj, że w każdej chwili możesz na nas liczyć.

– Zwaliłem wszystko na głowę Polly; mogłem przynajmniej bardziej zająć się synkiem. Jestem okropnym mężem. I ojcem.

– Nie, po prostu ciężko pracujesz, a takie rzeczy niełatwo zauważyć. Poza tym Polly nie chciała, żebyś widział, jak jej ciężko, żeby cię nie martwić, i tak się robi zakłęte kółko.

– Krąg – rzucił. – Mówi się: zakłęty krąg. Przepraszam, nie powinienem cię poprawiać.

– Nie, nie, w porządku. Musimy się uczyć. Chodź, pójdę z tobą, pokażę ci, jak nakarmić Henry'ego. Bo lekarz dał coś Polly, żeby już nie miała pokarmu. Mówiła, że od karmienia czuje

się gorzej. A Henry jest zdrowy i pije mleko z butelki, więc teraz oboje możecie go karmić. Polly musi dużo odpoczywać.

– Zadbam o to. Mam wyrzuty sumienia. Cóż, chyba chowałem głowę w piasek i powtarzałem sobie, że nie jest tak źle, że w końcu się z tego otrząśnie.

– To nie takie proste, depresja poporodowa to ciężka przypadłość, ale będzie lepiej. Zrobiła pierwszy krok. Jesteś dobrym mężem, a Polly bardzo cię kocha.

Ciągle niespokojny wyszedłem z Franią, Mattem i Henrym. Chciałem być przy Matcie. Pewnie o tym nie wiedział, ale lepiej się przy nim czułem. Towarzyszyłem mu w saloniku, gdy karmił Henry'ego, kąpał go i układał do snu. Cichutko siedziałem z nim, gdy na kanapie szlochał jak dziecko. Po pewnym czasie się wyprostował.

– Mój płacz nikomu nie pomoże, Alfie. Chodź, coś zjemy. Na pewno mamy gdzieś puszkę tuńczyka.

Po raz pierwszy zostałem u nich na kolacji, ale nie zależało mi na jedzeniu. Obawiałem się zostawić ich samych. Wiedziałem, że sam nic nie poradzę, ale czułem, że moja obecność jest kojąca.

Trochę później Matt zajrzał do Polly. Poszedłem z nim. Otworzyła te swoje piękne oczy i spojrzała na niego.

– Która godzina? – zapytała sennie.

– Nieważne. Henry śpi. Z rozpiski Frani wynika, że możesz łyknąć następną tabletkę.

Musisz wypoczywać.

Polly chciała usiąść.

– Wszystko z nim w porządku? – Oczy zaszyły jej łzami.

– W jak najlepszym. Później sama się przekonasz.

– Ciągle wydaje mi się, że was zawiodłam. Że jestem okropną mamą i żoną. I nie wiem, co zrobić, żeby tak tego nie odbierać.

Matt czule gładził ją po włosach.

– Skarbie, to raczej ja was zawiodłem. Powinienem bardziej się tobą opiekować, zauważyć, co się dzieje, że nie jesteś sobą. Teraz ja też czuję się okropnie.

– Hm, chyba nie ma sensu, żebyśmy się obwiniali, co? – Otworzyła szeroko oczy.

Matt pokręcił głową.

– Frankie powiedziała to samo. Że tak będzie i że to bez sensu, więc mamy dać sobie spokój. Postaram się. Lekarz był bardzo wyrozumiały, tak mi się przynajmniej zdaje. Nie chciałam brać żadnych leków, ale wiem, że są mi potrzebne. Wyjdę z tego i zaopiekuję się swoim, naszym dzieckiem. Zależy mi, żeby być dobrą matką.

– I będziesz, skarbie. – Matt miał łzy w oczach. – A ja będę przy tobie, cały czas. Bardzo cię kocham, Pol. Proszę, nie zapominaj o tym.

– Fakt, chyba zapomniałam, ale to dlatego, że żyłam jak we mgle. Ja też cię kocham.

Przytulił ją mocno. To najbardziej wzruszająca scena, jaką widziałem między ludźmi.

– Och, i jeszcze jedno: jutro przyjeżdża twoja mama. Pomoże nam, bo nie mogę brać tak dużo wolnego. Chciałbym, ale to niemożliwe.

– Matt, oboje wiedzieliśmy, na co się piszemy, przyjeżdżając tutaj. Nie musisz czuć się winny. A z mamą będzie mi o wiele łatwiej.

Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu. Położyłem się, nagle bardzo tym wszystkim zmęczony; co za stresujący dzień.

– Czułam się tak, jakby otwierała się we mnie wielka czarna dziura. Chciałam zabrać gdzieś Henry'ego i go zostawić. Uciec, wrócić do dawnej Polly. Kocham go, wiem, że w głębi serca go kocham, ale tego nie czuję. Nie ma we mnie tej radości, o której rozprawiają inne matki.

To straszne, Matt, to naprawdę potworne – rozpląkała się.

Znow ją objął.

– Nawet sobie nie wyobrażam, jakie to uczucie, ale będę przy tobie bez względu na wszystko. Tylko musisz ze mną rozmawiać. Choćbyś nie wiadomo jak źle się czuła, musisz mi o tym mówić. Nie zostawię cię; kocham ciebie i naszą rodzinę i nic tego nie zmieni.

– Nie wiesz, jakie to dla mnie ważne, twoje słowa. Szkoda, że nie byłam z tobą bardziej szczerą. Na początku, tuż po narodzinach Henry’ego, kiedy czułam, że coś jest nie tak, później, przed samym przyjazdem do Londynu, gdy wydawało mi się, że za wszelką cenę muszę to ukryć. Mało brakowało, a...

– Polly, moim zdaniem jesteś wspaniała i dzielna. Wiem, że przez to przebrniemy. Może to potrwa, ale i tak damy radę.

– Możemy na niego spojrzeć? Nie chcę go budzić, tylko popatrzeć. Muszę go zobaczyć. – Znowu zalała się łzami.

– Chodźmy. – Matt wziął ją na ręce, jakby ważyła tyle co Henry.

Byłem zbyt znużony, żeby iść za nimi.

– Alfie chyba dzisiaj u nas zostanie – zauważył Matt, gdy odpływałem w sen.

– Nie ruszaj go, tak słodko śpi – odparła Polly, zanim rzeczywiście zasnęłam.

Rozdział 31



O ile wcześniej wydawało mi się, że moja rola kota dochodzącego jest męcząca, nie miałem pojęcia, co mnie czeka. Znalazłem sobie cztery rodziny i wszyscy ich członkowie stali mi się bardzo bliscy, każdy na swój sposób. Nie mogłem jednak być w czterech miejscach jednocześnie.

No więc biegałem od domu do domu, starając się służyć wsparciem każdemu, kto mnie potrzebował, a potrzebowali chyba wszyscy. Niby moje domy były blisko siebie, ale latałem między nimi bez przerwy. Na formę nie narzekałem, mimo to czasami te ciągle wyprawy dawały mi się we znaki. Przybiegłem pod 22. Frania i Matt siedzieli na dworze z chłopcami. Bawili się na trawniku, tak jak dawniej z Polly. Olek oczywiście powitał mnie serdecznie, niczym najlepszego przyjaciela. Frania i Matt trzymali kubki w rękach. Henry leżał na brzuszku na kocu, Tomaszek oglądał książeczkę. Olek zaczął mnie głaskać. Obróciłem się na grzbiet.

– Odkąd wczoraj wróciła od lekarza, właściwie cały czas śpi – mówił Matt. – Mam nadzieję, że to jej dobrze zrobi.

– Na pewno. Jest wyczerpana, a wyczerpanie jest częścią problemu. Jak powiedziałeś: to zaklęty krąg.

Oboje roześmiali się smutno.

– Później pojedę na dworzec po teściową. Jej obecność dobrze zrobi Polly, ale przecież nie zostanie z nami na zawsze.

– Nie będzie musiała. Polly poczuje się lepiej, i to szybciej, niż ci się wydaje.

Poczułem łyzy pod powiekami na myśl o tej pięknej, kruchej kobiecie. Miałem nadzieję, że Frania się nie myli. Polly dojdzie do siebie.

Przed tym, jak się załamała, sądziłem, że jest już w lepszej formie. Częściej się uśmiechała. No, ale przed Joe Claire też sprawiała wrażenie zdrowszej. Miałem kolejną nauczkę. Z ludźmi jak w życiu: nic nie jest pewne.

Trochę później Frania zabrała się do robienia obiadu dla chłopców. Matt poszedł z nią do kuchni. Tłumaczył, że nie chce budzić Polly, ale widziałem, że jest zdenerwowany i po prostu wołał nie zostawać sam.

– Przygotuj Henry’emu butelkę, ja przygotuję warzywa – zaproponowała Frania.

– Nie sprawiam ci kłopotu?

– Skądże, to te same warzywa co dla moich chłopców, tylko dla Henry’ego je podduszę.

To nic wielkiego. I może zjesz z nami? Mam zupę. Polską... barszcz.

– Nidy nie jadłem – odparł Matt z jakąś niewyraźną miną.

– Tomasz ugotował w restauracji. Bardzo dobra. Spróbujesz?

– Jasne, chętnie.

Matt był bardzo uprzejmy, ale mnie nie nabrał. A kiedy zobaczyłam tę jasnoczerwoną ciecz, wcale mu się nie dziwiłam. Na szczęście dla mnie Frania miała sardynki.

Po obiedzie poszli na spacer, potem Frania zajęła się Henrym, żeby Matt mógł zajrzeć do Polly i pojechać po jej mamę na dworzec.

Zostałem trochę dłużej, pobawić się z chłopcami. Tomaszek coraz bardziej się mną interesował, naśladował starszego brata, więc przechodziłem podwójne tortury. Kiedy drapałem w drzwi, żeby mnie wypuścili, byłem ledwo żywy po zabawach, a na dodatek po same uszy objedzony sardynkami. Przynajmniej raz wędrówka wyszła mi na dobre.

Postanowiłem najpierw zajrzeć do Claire, bo przypuszczałem, że Jonathan jeszcze nie wrócił z pracy. Wchodząc przez kocią kłapkę, uświadomiłem sobie, że zacząłem się bać tego domu; futerko stało mi dęba. Nieprzyjemne uczucie. Claire była moją pierwszą właścicielką, powitała mnie z otwartymi ramionami, więc to, że teraz czułem się u niej intruzem, działało mi na nerwy. Zastałem ją w kuchni. Kiedy się do mnie odwróciła, nie zdołała ukryć, że płakała.

– Jesteś, Alfie! – Wzięła mnie na ręce. – Już się martwiłam, zniknąłeś na dwa dni! No, kochany, wolałabym wiedzieć, gdzie się podziewasz, kiedy nie ma cię w domu. Masz dziewczynę? – zapytała. Miauknąłem ze skruchą. – Nakarmimy cię. Wiem, wiem, jesteś kotem i lubisz chadzać własnymi drogami, ale pamiętaj, że jak cię długo nie ma, martwię się o ciebie. – Mówiła miękko, choć czułem, że mnie karci.

Miauknąłem, żeby dać jej do zrozumienia, że gdyby przepędziła Joego, nie bałbym się wracać do domu. Jednak tego nie załapała, więc tylko wtuliłem się w jej szyję, prosząc o wybaczenie.

– Co to za hałasy? – Do kuchni wszedł Joe, jak zawsze w dżinsach i wymiętej koszulce. Zauważyłem, że jakoś przybrał w tali. Hm, im chudsza Claire, tym grubszy Joe.

– Alfie wrócił, chcę go nakarmić. – Postawiła mnie na podłodze i sięgnęła do szafki po puszkę z kocią karmą.

– Dbasz o tego kota bardziej niż o mnie – rzucił ze złością.

– Nie wygłupiaj się! – roześmiała się.

– Nie waż się ze mnie śmiać, do cholery! – warknął nagle.

Skuliłem się. Claire także.

– Ja nie... – zaczęła.

– A właśnie, że tak. I wiesz co? Mam tego dość. Traktujesz mnie jak idiotę. Tylko dlatego, że straciłem pracę nie z własnej winy, uważasz, że możesz wycierać sobie mną nogi.

Zwinąłem się w kłębek przy kredensie. Bałem się i nie miałem pojęcia, co robić. Po tym, jak Joe już poprzednio próbował mnie kopnąć, nie wiedziałem, czego można się po nim spodziewać. Ruszył w naszą stronę. Nagle, jak gdyby zmienił zdanie, odwrócił się gwałtownie i huknął pięścią w ścianę. Claire krzyknęła. Nie uderzył ani jej, ani mnie, ale śmiertelnie przeraził nas oboje. Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał.

– Joe, chyba lepiej będzie, jak wyjdiesz – wymamrotała Claire drżącym głosem. Rozluźniłem się. Chciało mi się skakać z radości.

Spochmurniał, szybko wziął się w garść.

– Rany, tak mi przykro. – Masował sobie dłoń. – Straciłem panowanie nad sobą; to jeszcze nigdy mi się nie zdarzyło. – Zrobił krok w stronę Claire.

Cofnęła się odruchowo. Zasłoniłem ją sobą. Chciałem jej powiedzieć, że ten facet kłamie, ale oczywiście nie potrafiłem.

– Joe, zrobiłeś mi wielką dziurę w ścianie i mówisz, że ci przykro? – W jej głosie brzmiał

strach, nie gniew.

– Tak, przykro mi, przepraszam. Co ja narobiłem? – A potem, ku mojemu zdumieniu, zaczął płakać.

– Nie płacz – poprosiła. Już miękła.

– Przepraszam. Kurczę, Claire, co ty sobie o mnie teraz myślisz? Nigdy się tak nie zachowuję, jestem po prostu zestresowany tą sytuacją w pracy, tym, że straciłem mieszkanie, że na tobie żeruję.

– Przestań. Nie denerwuj się. Wiem, że to sytuacja przejściowa, niedługo znajdziesz nową pracę i wszystko się ułoży. – Już nie była zła; manipulował nią po mistrzowsku.

Zacząłem tracić nadzieję.

– Oby. Jest kryzys, nikt teraz nikogo nie zatrudnia. Pewnie podłapię parę zleceń jako wolny strzelec, ale i tak czuję się jak totalny nieudacznik. Miałem dobrą pracę, a teraz...

– Joe! – Claire podeszła do niego i objęła go, poczułem rozpacz i niesmak. – Kocham cię i będę cię wspierać bez względu na wszystko. A ty nie wygłupiaj się i nigdy więcej nie rób takich rzeczy.

Fajnie, że Claire na chwilę wzięła się w garść, ale szlag mnie trafiał, że tak łatwo mu wybaczyła. To jasne, że koleś znowu wybuchnie; tacy jak on zawsze wybuchają. A poza tym nie była z nim szczęśliwa. Chyba oszalała, jeśli sądziła inaczej.

– Claire, bardzo cię kocham i wynagrodzę ci to, zobaczysz.

– Okej, na początek zalep dziurę – roześmiała się słabo.

Opuściłem ten dom – na znak protestu, niezauważonego, niestety. Poszedłem do Jonathana. Najwyraźniej wrócił z pracy już jakiś czas temu, bo zdążył przebrać się w ciuchy na siłownię.

– No proszę, jesteś, już się zastanawiałem, gdzie się podziewasz. Myślałem, że flirtujesz z jakąś śliczną kotką. – Miauknąłem, żeby powiedzieć: Nie, mój drogi, tak naprawdę przebywałem w towarzystwie wariata, który śmiertelnie mnie przeraził, i bardzo proszę, żebyś zrobił z nim porządek. – W każdym razie zjedz kolację i sobie odsapnij, romansowanie jest wyczerpujące. – Zamruczałem. – Piąteczka – powiedział. Spojrzałem na niego pustym wzrokiem. – No wiesz, podnosisz rękę, czyli łapę, ja też, i przybijamy piątkę. – Podniosłem łapkę. Dotknął jej lekko. – Ty mądrało, nauczyłeś się pierwszej sztuczki. Wiedziałem, że dobrze zrobiłem, że splawiłem Philippę, a nie ciebie – roześmiał się.

Spojrzałem na niego zdumiony. Taka reakcja na podniesienie łapy? Przecież nie zacząłem mówić czy choćby tańczyć. Doprawdy, czasami ludzi uszczęśliwia byle co.

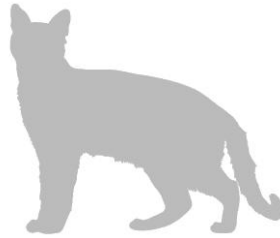
Zjedliśmy z Jonathanem kolację, potem wyszedł. Nie chciało mi się iść w jego ślady. Ten dzień mnie wyczerpał, emocjonalnie i fizycznie, więc wskoczyłem na swój kochany kaszmirowy kocyk i ułożyłem się wygodnie. Analizowałem ostatnie wydarzenia i doszedłem do wniosku, że wszystko jest na dobrej drodze. Frania i jej rodzina byli w najlepszej sytuacji w porównaniu z resztą, tak mi się przynajmniej wydawało. Polly, choć ciągle chora, wkrótce wydobrzeje, to na pewno. A Jonathan, cóż, ciągle mieszkał sam w tym wielkim domu, nie licząc oczywiście mnie, ale humor mu dopisywał. Teraz naprawdę go lubiłem. Czyli zostawała Claire.

Dzisiaj na własne oczy widziałem, jak przerażający potrafi być Joe. I wiedziałem, że na tym jednym wybryku się nie skończy. Wkrótce znowu wybuchnie. I tym razem uderzy Claire, na bank.

Myśl, że ten brutal skrzywdzi moją panią, poruszyła mnie do głębi. Najwyraźniej rzucił na nią jakiś czar. Trudno było mi przewidzieć, jak to się skończy, ale na pewno niedobrze. Pytanie tylko: kiedy się skończy? Czuję, że muszę coś zrobić, żeby położyć temu kres. Ale co? Ale jak? Zasypiając na swoim cudownym mięciutkim kocyku, zmówiłem kocią modlitwę, żeby

przyśniło mi się rozwiązanie, i to szybko, zanim będzie za późno.

Rozdział 32



Obudziłem się rano i wiedziałem, co zrobić. Na dworze było jeszcze ciemno, ale poranny chór już darł się w niebogłosość. Nic dziwnego, że my, koty, polujemy na ptaki i je zabijamy – doprawdy, zupełnie niepotrzebnie tak strasznie się awanturują bladym świtem. Zerknąłem na Jonathana. Spał zadowolony, spokojny. Choć w głębi duszy przerażało mnie to, co musiałem zrobić, jego obecność dodała mi otuchy.

Zdawałem sobie sprawę, że mój plan jest ryzykowny. Więcej – plan, który jakimś cudem ułożył mi się w łepku podczas snu, był szaleńczy. Ale wiedziałem, że muszę działać, a to oznaczało: postawić wszystko na jedną kartę i całym swoim kocim sercem wierzyć, że się uda.

Wtuliłem się w Jonathana. Co do jednego nie miałem wątpliwości – od dzisiaj już nic nie będzie tak samo. Chciałem, żeby wiedział, że bardzo go kocham, bez względu na wszystko. Rozdzwonił się budzik. Wskoczyłem Jonathanowi na pierś i się uśmiechnąłem.

– Alfie? Co ty robisz w moim łóżku? – zapytał, ale się nie gniewał.

Zamiauczałem. Roześmiał się, pogłaskał mnie i wstał.

Zbiegłem do kuchni, choć łapy się przede mną ugiwały. Nigdy nie uważałem się za dzielnego kota. Powiedzmy sobie szczerze, jak mieszkalem z Margaret i Agnes, byłem zwykłym tchórzem, a gdy Agnes uznała, że mnie jednak polubi, to już w ogóle nie musiałem wykazywać się odwagą. Ale kiedy je straciłem, odezwała się we mnie odwaga, o której istnieniu nie miałem pojęcia, i dzięki niej przetrwałem. Więc może łapy mi drżały, to jednak nie wpłynęło na zmianę mojej decyzji.

Czekałem w kuchni na Jonathana. W końcu przyszedł, zaparzył kawę, nalał mi mleka, wstawił grzanki i nałożył mi na talerzyk pieczonego łososia. Rozkoszowałem się każdym kęsem, bo wiedziałem, że to może nasze ostatnie wspólne śniadanie na jakiś czas.

– Dobra, Alfie, lecę. Zobaczymy się wieczorem – powiedział i wstał.

Oby, mruknąłem w duchu.

Potem poszedłem do Claire. Wyglądała tak, jakby w ogóle nie spała. Pogłaskała mnie odruchowo. Widziałem strach w jej oczach. Nie była z Joem szczęśliwa, wszyscy to dostrzegali, ale z niewiadomych powodów uważała, że lepsze to, niżby miała być sama. Słyszałem o ludziach, którzy wolą być nieszczęśliwi z kimś niż sami. Claire najwyraźniej do nich należała.

Ale kiedy patrzyłem na nią w takim stanie i na dziurę w ścianie – nadal niezafatana – tylko utwierdzałem się w postanowieniu, że zrealizuję swój plan.

Wyszedłem z domu razem z Claire, która szła do pracy, odprowadziłem ją kawałek, dopóki nie skręciła.

– Cześć, Alfie. Uważaj na siebie. Do zobaczenia wieczorem.

Otarłem się o jej nogi. O tak, do zobaczenia wieczorem.

Czas poczłapać na miękkich łapach pod numer 22. Drapałem w drzwi, aż Frania mnie wpuściła.

– Alfie! – zawołali Olek i mały Tomaszek chórem i zaraz troskliwie się mną zajęli.

Byłem dla nich bardzo miły. Chłopcy czule łaskotali mnie po brzuszku. Strasznie długo. Napawałem się ich pieścotami, póki mogłem. Potem się bawiliśmy. W końcu Frania powiedziała, że czas zajrzeć do sąsiadki. Nie widziałem Polly od tamtego dnia u lekarza, więc też chętnie poszedłem.

Otworzyła nam drzwi obca pani, elegancka i nie tak stara jak Margaret.

– Frania! Jak miło! – zawołała z uśmiechem.

– Cześć, Val. Chcieliśmy zajrzeć do Polly.

– Jasne, wejdź! Bardzo się ucieszy. Chłopcy niech się pobawią z Henrym. – Odsunęła się. Wszedłem za nimi. – Och, dzień dobry! A to pewnie Alfie, nasz koci bohater!

Zamruczałem. O tak, już ją lubiłem.

Polly była w piżamie, ale mimo to wyglądała pięknie i chyba trochę lepiej. Frania uściskała ją serdecznie. Dzieciaki od razu pobiegły do Henry’ego, który siedział wśród poduszek na swojej macie.

– Frankie, tak się cieszę – powiedziała Polly. – Wyspałam się i już mi lepiej.

– Super, ale się nie przemęczaj.

– Nastawię wodę na herbatę, dobrze? – zaproponowała mama Polly.

– Dzięki, mamó.

– Może pomogę? – zgłosiła się Frania.

– Nie, kochana; siadaj i dotrzyмай mojej córce towarzystwa. – Wyszła.

– A co u ciebie, Frankie?

– W porządku. Olek w przyszłym tygodniu idzie do szkoły. Znalazłam żłobek dla małego Tomaszka. Chciałabym, żeby bawił się z innymi dziećmi, poza tym mogłabym wtedy pójść do racy, chociaż na kilka godzin. W sklepie czy gdzieś.

– Świetny pomysł. Poznasz ludzi, poćwiczysz angielski. Nie pytałam cię o to, ale czym zajmowałaś się w Polsce?

– Moi rodzice mają sklep, u nich pracowałam. Nic takiego, ale lubiłam obsługiwać klientów, gawędzić z ludźmi.

– Olek? – zagaiła Polly.

Odwrócił się. Zaskoczyła mnie; po raz pierwszy zwróciła się bezpośrednio do niego, choć chyba sama nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Tak? – zapytał grzecznie.

– Tak, Polly – poprawiła go mama.

– Przepraszam. Tak, Polly?

Polly się roześmiała.

– Cieszysz się, że pójdziesz do szkoły?

– Mhm, ale trochę się boję.

– A wiesz, co ja sobie myślę? Że wybierzemy się razem do sklepu i kupimy taki tornister i piórn timer, jaki zechcesz. To prezent ode mnie i Matta.

– O rany, serio? Mogę taki ze Spidermanem?

– Jasne.

– Polly... – zaczęła Frania.

– Nie, Frankie. Bardzo proszę. Nigdy się wam nie odwdzięczę za to, co dla nas zrobiliście. Mam nadzieję, że nie będę musiała cię ratować w podobnej sytuacji, więc pozwól mi porozpieszczać chłopców. Poza tym dobrze mi robi, jak trochę wyjdę; nie mogę tu siedzieć bez

końca. Wyprawa po tornister ze Spidermanem to jest właśnie to.

– Ojej, dziękujemy.

Wróciła Val z herbatą i wszystkie trzy paplały jak stare znajome. Chłopcy bawili się z Henrym i ze mną, a mnie chciało się płakać, bo wiedziałem, co wkrótce nastąpi. Jednak, choć ich opuszczałem, wiedziałem, że sobie poradzą. Byli szczęśliwi. Polly jeszcze co prawda nie do końca stanęła na nogi, ale uśmiechała się więcej niż kiedykolwiek. Ucieszyłem się, kiedy wzięła synka na ręce i pocałowała; nigdy przedtem tego nie robiła. A Henry prawie w ogóle nie płakał. Tak jakby pod numerem 22 wydarzył się cud.

Przed obiadem postanowili iść na spacer do parku.

– Chciałabym odetchnąć świeżym powietrzem – stwierdziła Polly. – Włożę coś na siebie i idziemy.

Dziwne określenie, stwierdziłem, ale wróciła w dżinsach i koszulce. Wszyscy włożyli buty. Henry'ego usadzono w mniejszym wózku, Tomaszek uparł się, że pójdzie sam. I wyruszyli. Przy furtce popatrzyli na mnie.

– Cześć, Alfie! – zawołał Olek.

– Cześć, Alfie – powtórzył Tomaszek.

Frania i Polly kucnęły, żeby mnie pogłaskać.

– Jeśli wpadniesz na obiad, kupię dla ciebie rybę w drodze powrotnej – obiecała Polly.

Miauknąłem z radości.

– Można by pomyśleć, że cię zrozumiał – zauważyła Val.

– To niesamowicie mądry kot – odparła Frania. – Oczywiście, że zrozumiał.

Pobiegłem do Tygryski, na skróty – przez płoty, umykając warczącym psom.

Wygrzewała się w swoim ogródku. Od razu opowiedziałem jej o swoim planie. Była w szoku. Dosłownie zamiauczała z przerażenia, ale usiłowałem jej wyjaśnić, skąd wziął się taki pomysł. Obrzuciła mnie całym stekiem kocich przezwisk, powtarzała, że jestem idiotą. A potem pisnęła, że się o mnie boi, bo nie wiadomo, jak to się skończy.

Stwierdziła, że jestem bardzo dzielny i bardzo głupi. Nie mogłem się z tym nie zgodzić. Pożegnaliśmy się czule. Obiecałem, że zrobię co w mojej mocy, żeby wrócić do niej w jednym kawalku.

Kiedy truchtałem z powrotem pod 22 na rybkę, starałem się nie myśleć o Tygryscie i o tym, co mnie czeka.

– Chodźmy do mnie – powiedziała Frania, gdy spotkałem ją z chłopcami przed domem. – Henry śpi, Val kazała Polly się położyć, a ja mam dla ciebie przysmak.

Zamruczałem z radości i pobiegłem za nimi na górę.

Olek włączył telewizor. Tomaszek usiadł z nosem w ekranie. Frania krzyknęła z kuchni, że ma się odsunąć i parsknęła śmiechem. Ciekawe, czy widzi przez ściany. My, koty, mamy doskonały wzrok i idealne wyczucie, ale tego nie umiemy. Poszedłem do kuchni, tam czekałem na obiad. Tak jak obiecała, ugotowała mi rybę. I podała. Jak człowiekowi, poza tym, że jadłem na podłodze. Szybko wylizałem talerzyk do czysta, potem umyłem się starannie, gdy karmiła chłopców i jadła razem z nimi.

Po obiedzie ułożyła małego Tomaszka na drzemkę, a sama ćwiczyła z Olkiem czytanie.

– Angielski jest trudny – marudził.

– Tak, ale świetnie ci idzie. Zaraz będziesz lepszy ode mnie.

– Fajnie będzie w szkole? – zapytał ze strachem w głosie.

– No pewnie. Tak jak w Polsce.

– Ale tu jest inny język.

– Oczywiście, ale nauczyciele ci pomogą, więc nie masz się czego bać. – przekonywała

Olka.

Widziałem jednak, że mimo tych słów sama martwiła się o synka.

– A Polly kupi mi plecak. Będzie super, najładniejszy ze wszystkich.

Wiercił się niespokojnie, kiedy mama go tuliła i całowała.

Poczytał jeszcze trochę, potem wyciągnął samochodziki i chciał, żebym je gonił. Robiłem to posłusznie, ale nie czułem się najlepiej. Denerwowałem się coraz bardziej i chociaż naprawdę chciałem się dobrze bawić, nie wkładałem w to całego serca. Byłem na siebie zły. Może to nasza ostatnia wspólna zabawa na jakiś czas, albo i, wzdrygnąłem się na tę myśl, na zawsze, muszę się bardziej postarać. Pozwalałem więc Olkowi pchać samochód na mnie, a potem usiłowałem odepchnąć go łapą. Łatwo nie było. Olek pękał ze śmiechu, kiedy mi się udało. Bawiliśmy się, jak mi się zdawało, bardzo długo, aż w końcu musiałem iść. Wcielić w życie swój straszny plan.

Żegnając się z nimi, starałem się zapamiętać ich twarze. Miałem szczerą nadzieję, że wkrótce znowu ich zobaczę.

Rozdział 33



Na drżących łapach zbliżałem się do domu Claire. Na zewnątrz czekała Tygryska; pożegnała mnie i życzyła szczęścia. Pytała, czy się nie rozmyśliłem. Nie, nie mogłem się wycofać. Musiałem wykonać to trudne zadanie ze względu na Claire, którą tak bardzo kochałem. Owszem, byłem na nią zły, denerwowało mnie, że jest taka słaba, ale kochałem ją i wiedziałem, że mnie potrzebuje. Że ma tylko mnie i choć wydaje się, że to niewiele, pragnąłem udowodnić, że tym razem to wystarczy.

Z udawaną energią wskoczyłem do domu przez kocią kłapkę i zamarłem. Czułem, że Claire jeszcze nie wróciła. Joe siedział w saloniku, oglądał telewizję. Wziąłem głęboki wdech. Futerko stanęło mi dęba. Ostatnio tak bardzo się bałem jak na początku swojej bezdomności. Moje kocie serce waliło tak szybko, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Siedziałem w przedpokoju. Czekałem. Nie wiem, ile czasu upłynęło, zanim usłyszałem kroki Claire na ścieżce. Dziękowałem Bogu za nasz koci słuch. W tej sytuacji czas grał decydującą rolę. Wbiegłem do saloniku i wskoczyłem Joemu na kolana. Był zdziwiony i, tak jak przypuszczałem, zły.

– Złaż ze mnie, ty cholerny sierściuchu! – wrzasnął. Syknąłem i podrapałem go w ramię.
– Pieprzony kot! – Cisnął mną w kąt pokoju.

Zwinąłem się w kłębek, potem wylądowałem na łapy. Claire weszła do domu. Rozdarłem się na całe gardło.

Joe podbiegł i zaczął mnie kopać. Ból przeszywał mi ciało. Ne miałem siły miauczeć.

– Matko jedyna! Zostaw go! Zostaw, do cholery! Ty draniu! – usłyszałem wołanie Claire, potem ogarnęła mnie ciemność.

Chociaż oglądałem z Margaret mnóstwo seriali medycznych, nie wiedziałem, czy jestem przytomny, czy nie, czy może coś pomiędzy. Na pewno nie umarłem, bo nigdzie nie dostrzegłem Agnes ani Margaret, a byłem pewien, że po śmierci się spotkamy. Czułem ciepło, miałem wrażenie, że się poruszam, a każdemu drgnieniu towarzyszył koszmarny ból. Jak przez mgłę słyszałem głosy i kamień spadł mi z serca, bo jeden z nich należał do Claire.

– Co ja najlepszego zrobiłam? – lamentowała. – Dawałam się wykorzystywać, a teraz jeszcze skatował Alfiego. Boże, jak on zdechnie, nigdy sobie tego nie wybaczę.

– Claire. – Teraz głos Tashy. – Po rozwodzie się załamalaś. Potem myślałyśmy, że już wyszłaś na prostą, ale to były tylko pozory. Nadal uważałaś, że jesteś do niczego. I Joe wyczuł twoją słabość. Tacy jak on zawsze to wyczuwają. Nie możesz siebie obwiniać. Alfie z tego

wyjdzie, już zaraz będziemy na miejscu i weterynarz mu pomoże – przekonywała, choć nie słyszałem pewności w jej głosie. – Alfie cię uratował.

– Widział, jak wczoraj Joe walnął pięścią w ścianę. Pewnie uznał, że to samo zrobiłby mnie.

– I zrobiłby, gdybyś go nie wyrzuciła.

– Teraz to już wiem. Kiedy widziałam, jak kopie biednego, bezbronego kotka, nagle oprzytomniałam i znalazłam w sobie siłę, o jaką nigdy siebie nie podejrzewałam. Odciągnęłam go od Alfiego, byłam tak wściekła, że sama zaczęłam okładać drania pięściami, wtedy znowu zaczął ten numer z przeproszaniem. Nie do wiary! Tym razem nie dałam się na to nabrać. Powiedziałam mu, że jeśli w pięć minut nie wyjdzie, wzywam policję.

– I co?

– Rozplakał się, tak jak wtedy, gdy walnął pięścią w ścianę, ale tym razem byłam twarda. Bałam się sama podnieść Alfiego, dlatego zadzwoniłam do ciebie. Wszędzie było pełno krwi, Alfie się nie ruszał. Joe ciągle tam stał, jakby nie zmierzał nigdzie iść, więc znów kazałam mu się wynosić, i wtedy się zaczęło. Wybrałam numer na policję i powiedziałam: jeszcze minuta i dzwonię.

– I w końcu się wyniósł?

– Tak, ale przedtem zwymyślał mnie od ostatnich.

– Co za palant.

– Jak ja mogłam tego nie widzieć?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Miałam wrażenie, że cię opętał. Ale kiedy na czymś nam bardzo zależy, widzimy tylko to, co chcemy zobaczyć. Claire, niech to będzie dla ciebie lekcja. Na świecie jest mnóstwo kolesiów pokroju Joego.

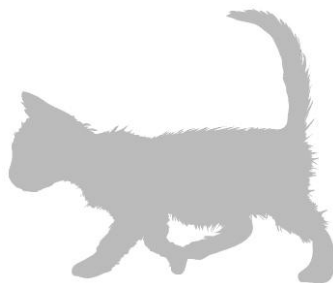
– Strasznie mi przykro, jestem taka głupia. Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli Alfie z tego nie wyjdzie.

– Słuchaj, przez takie nastawienie, przez to, że uważasz się za głupią, wpakowałaś się w ten cały syf.

Podobało mi się, że Tasha ściąga Claire na ziemię. Nie podobało mi się, że Claire płacze, ale znowu odpływałam w ciemność, więc nic nie mogłem na to poradzić.

Mój plan zadziałał, w końcu pozbyłem się Joego. Oby tylko cena nie okazała się zbyt wysoka.

Rozdział 34



Nie mam pojęcia, ile dni spędziłem w tym dziwnym miejscu. W szpitalu dla zwierząt. Weterynarz robił mi różne rzeczy. Powiedział, że muszę tam zostać. Byłem półprzytomny. Jak przez mgłę słyszałem wzmianki o jakichś operacjach. Dawali mi zastrzyki, po których wracała ciemność. Słyszałem głosy, ale nie zawsze rozumiałem, co mówią. Dostawałem leki, wtedy ból ustawał, ale bardzo chciało mi się spać. Już się nie bałem, bo nie miałem siły na takie uczucia. Chyba cały czas spałem. Ale nie tak normalnie, kiedy się śni o rybkach, tylko takim dziwnym snem bez snów, w którym nic się nigdy nie dzieje.

Pewnego dnia obudziłem się i uniosłem powieki. Poruszyłem wąsami – nadal były na swoim miejscu. Choć nie bardzo mogłem się ruszać, czułem, że mój mózg działa mniej więcej normalnie.

– Alfie – odezwała się jakaś kobieta. Spojrzałem na nią. Miała na sobie zielony kitel. Włosy zebrane do tyłu. Wydawała się miła. – Cześć, to ja, Nicole, jestem pielęgniarką, opiekowałam się tobą. Fajnie, że w końcu otwierasz oczka. Lekarz zaraz do ciebie zajrzy.

I wtedy wiedziałem, że ze mną lepiej. Weterynarz mnie szturchnął i badał; syczałem na niego gniewnie, ale tylko się zaśmiał. Nicole mnie pogłaskała i powiedziała, że jestem w na tyle dobrej formie, że Claire może przyjść z wizytą.

Prawie popłakałem się ze szczęścia, kiedy zobaczyłem Claire i Tashę. Trochę się namęczyłem, żeby utrzymać otwarte powieki, ale przynajmniej udało mi się zobaczyć, że wygląda już o wiele lepiej, trochę tak jak wtedy po wyjeździe na weekend. Wracała do etapu Clare sprzed Joego.

– Alfie, mówią, że wyzdrowiejesz! – Z jej oczu płynęły łzy. Szczęścia, jak się domyślałem.

– Uff, jesteś już bardziej do siebie podobny. To był najgorszy tydzień mojego życia – ciągnęła Claire. – Ale jeśli nadal będziesz zdrowiał w takim tempie, jeszcze tydzień i pozwolą mi zabrać cię do domu.

– Do domu bez Joego – podkreśliła Tasha.

– O nie, Joego już nie ma i już nikt nigdy nie stanie między nami. Uratowałeś mnie, Alfie; wiem o tym.

– Nie uważasz, że to dziwne? – mruknęła Tasha.

– Ale co?

– No, że to wszystko przebiegło tak, a nie inaczej?

– O co ci chodzi?

– Można by pomyśleć, że to zaplanował. Zobacz: Joe wali pięścią w ścianę i was

przeraża, a potem, dzień później, wracasz do domu i widzisz, jak katuje twojego kota.

– Bo to brutal! W ogóle nie chcę o tym myśleć! – wycedziła przez zęby Claire.

– Nie, posłuchaj, twierdził, że Alfie go zaatakował, tak? A jeśli to prawda? A jeśli sprowokował Joego, żeby mieć pewność, że ten drań cię nigdy nie skrzywdzi?

– Słuchaj, wiem, że Alfie jest mądry, ale bez przesady, Tasha. Zwariowałaś? To kot. Uśmiechnąłem się pod wąsem i odpłynąłem w sen.

Claire odwiedzała mnie często w ciągu najbliższych dni, a ja szybko odzyskiwałem siły. Mogłem już wstawać, bo na szczęście nic nie było złamane, choć cały czas mnie bolało tu i tam; weterynarz powiedział, że może nigdy nie odzyskam dawnej zręczności. Ale ja się nie przejmowałem, bo ostatecznie uznałem, że szczęściarz ze mnie. Ani wtedy, ani później tego nie czułem, ale najwyraźniej tak właśnie jest.

Kilka dni przed moim planowanym powrotem do domu, znowu zjawiała się Claire, ale tym razem nie z Tashą. Byłem przytomny, ale bardzo śpiący, bo dostałem lekarstwo, więc ledwie otwierałem ślepią. Ale ten głos poznałbym wszędzie.

– Alfie! Rany, co ci się stało?

Mój Jonathan! Chciałem otworzyć oczy, ale mi się nie udało.

– Twierdzi pan, że Alfie to pański kot? – Claire była zła.

– Już mówiłem! Wszędzie go szukałem, do cholery.

– Widziałam pana ogłoszenia, ale nie sądziłam, że chodzi o tego samego kota, bo Alfie jest mój – wyjaśniła stanowczym tonem.

– Co? Mimo, że pisałem, że szukam szarego kotka imieniem Alfie? – Jonathan był gniewny, tak jak na samym początku naszej znajomości.

– No cóż, rzeczywiście, mogłam... – Claire trochę się speszyła.

– Kot wygląda tak samo i ma takie samo imię, a ona myślała, że chodzi o innego kota?

Cieszyło mnie, że Jonathan najwyraźniej wcale się nie zmienił podczas mojej nieobecności.

– Cóż, jednak to mój kot.

– To pani tak twierdzi, ale jak pani myśli, ile szarych kotów imieniem Alfie mieszka na tej samej ulicy? – Słyszałem zniecierpliwienie w jego głosie.

– Ja nie... przepraszam. Pewnie mieszkał i u pana, i u mnie.

– Hm, to tłumaczyłoby fakt, że często znikał.

– Zawsze mnie to intrygowało... – mruknęła.

– W głowie mi się nie mieści, że od tygodnia rozwieszam wszędzie te ogłoszenia, a pani nawet nie raczyła zadzwonić.

– Zobaczyłam je dopiero wczoraj, i nawet wtedy, jak powiedziałam, nie sądziłam, że chodzi o tego samego kota. Ale dzisiaj, kiedy widziałam, jak pan wieszka kolejne, w końcu skojarzyłam. – Claire mówiła inaczej niż zwykle. Spodobało mi się, że stawia czoło Jonathanowi.

– Zamartwiałem się.

– Wiem i przepraszam. Mówię poważnie. Ale naprawdę myślałam, że to mój kot!

Chciałem miauknąć, żeby im przypomnieć, że tu jestem, ale z mojego pyszczka nie wydobył się żaden dźwięk.

– A dzieciak?

Nastawiłem uszu. Czyżby chodziło o Olka? Stopniowo czułem, jak otacza mnie miłość. Jonathan za mną tęsknił i mnie szukał; może ci spod 22 też?

– Proszę posłuchać, naprawdę dopiero niedawno zobaczyłam pana ogłoszenie. Tego drugiego, z rysunkiem kota, w ogóle nie widziałam, dopóki pan mi go nie pokazał. – Claire była bardzo przejęta. – Zresztą i tak nie wiem, czy sama bym się zorientowała, ten bazgroł nie bardzo

przypomina mojego Alfiego – roześmiała się słabo.

– A dzieciak, to znaczy, zakładam, że to dzieciak, albo dorosły bez krzty talentu, pewnie umiera ze zmartwienia.

– Wiem i bardzo mi głupio. A tak swoją drogą, ale flirciarz z tego Alfiego! – roześmiała się. – I pewnie wszyscy go karmili!

– O tak, łobuz dostawał mnóstwo smakołyków i czułości. Na razie wiemy o jego trzech domach, a nie wiadomo, ile jeszcze ich jest. Może prosto stąd pojedziemy do tego dzieciaka? Wiem po sobie, jak okropnie może się denerwować.

– Bardzo mi przykro, naprawdę.

– Jeśli kiedyś dorwę tego drania, który to zrobił Alfiemu, zabiję go na miejscu. Jak można tak skatować bezbronного kota? Co za śmieć. – Jonathan spochmurniał.

– Wiem i żałuję, że nie wezwałam policji. Czuję, że to moja wina.

– Chyba nie do końca – przyznał Jonathan, może nie przyjaźnie, ale już nie tak gniewnie.

– Niestety, do końca. W tym rzecz. To tylko i wyłącznie moja wina.

– Och, na pewno niełatwo było pani patrzeć na to, jak on go bije.

Claire zaczęła płakać.

Otworzyłem oko – Jonathan niezdarnie klepał ją po plecach. Znów uderzyło mnie, jak do siebie pasują, choć obraz, przez leki, miałem trochę rozmazany.

– Przepraszam, Jonathanie.

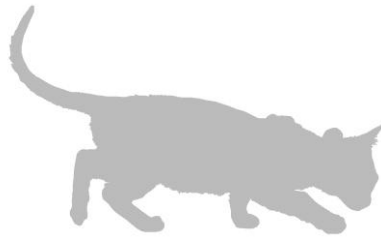
– Nie ma za co. Wszystko będzie dobrze.

Skinęła głową.

– Och Alfie! – Poglaskała mnie przez klatkę. – Wygląda na to, że wszyscy cię kochają.

I wtedy wiedziałem, że już szybko dojdę do zdrowia – bo byłem kochany i kochałem ich wszystkich i każdego z osobna. Zresztą teraz miałem nowy plan, nad którym musiałem popracować.

Rozdział 35



Wreszcie nadszedł dzień, gdy miałem wyjść do domu. Koniec życia w klatce; nie żeby było mi jakoś bardzo źle, ale to jednak nie hotel Ritz. I choć zachęcali mnie do ćwiczeń, cały czas siedziałem w zamknięciu. A teraz wrócę do starego życia, do wędrówek po Edgar Road; może na razie za bardzo nie poskaczę sobie po płotach, ale przynajmniej spróbuję. Nie mogłem się już doczekać, kiedy zobaczę wszystkie swoje rodziny. I Tygryskę. Nie wiedziałem tylko, czy się na mnie nie gniewają, skoro już wzajemnie o sobie wiedzą. Miałem nadzieję, że nie.

Przyjechała po mnie Claire i choć nie byłem specjalnie zadowolony, razem z weterynarzem wsadzili mnie do kociego transportera. Miauknąłem, nie z bólu, tylko z oburzenia – uznałem, że pakowanie mnie do takiej skrzynki jest poniżej mojej godności.

– Na razie powinien przebywać w jednym miejscu. Zalecałbym trochę ruchu, ale bez przesady. Pewnie sam się zorientuje, na ile może sobie pozwolić, jednak przez pierwszy tydzień lepiej trzymać go w domu, potem zobaczymy – mówił weterynarz.

Łypałem na niego ze złością z tego całego transportera. Nie podobały mi się te zalecenia i krzyżowały moje plany.

– Spokojnie, zajmę się nim.

Przy recepcji stał Jonathan, zerkał na Claire i na mnie. Bardzo się ucieszyłem na jego widok.

– Jeszcze zapłacę rachunek – mruknęła Claire.

Recepcjonistka podała jej jakąś kartkę.

– O rany. – Jonathan gwizdnął cicho. – Strasznie drogo.

– Cóż, skoro to też twój kot, może się dorzucisz? – zapytała Claire. Jonathan zrobił taką minę, że musiała się roześmiać. – Żartowałam. Mamy ubezpieczenie.

– Ubezpieczenie? – powtórzył z niedowierzaniem, jakby nigdy o czymś takim nie słyszał.

– Tak. Alfie to mój kot, więc oczywiście go ubezpieczyłam.

– Nigdy mi to nie przyszło do głowy – przyznał.

– Cóż, wcale mnie to nie dziwi – prychnęła Claire. – I pewnie zdarzało ci się zapomnieć go nakarmić, jak wychodziłeś, co?

Jonathan miał dość przyzwoitości, żeby się spieszyć, bo rzeczywiście tak bywało.

– Cóż, skoro chodził do czterech domów, chyba nie przymierał głodem.

– Nie w tym rzecz. Dobra, idziemy, czeka na nas impreza.

Wtedy to ja się oburzyłem; wybierają się na imprezę tego dnia, gdy ja wracam po ciężkiej chorobie?

Jonathan zaparkował samochód przed swoim domem i wniósł mnie do środka. Claire szła za nim. Przez całą drogę przekomarzali się, żartowali ze mnie. Szybko nabrałem pewności, że to

tylko kwestia czasu, aż zrozumieją, że są dla siebie stworzeni. Co prawda na razie to nie było takie oczywiste, bo bez przerwy się kłócili, a Claire dopiero co zakończyła trudny, bolesny związek, ale dla mnie wszystko było jasne. Nawet spierali się inaczej; spokojnie, bez agresji. I nie tylko to: Claire odpłacała pięknym za nadobne. Przy Jonathanie nie czuła się onieśmiewiona, była taka, jaka moim zdaniem powinna być. Powiecie, że to kocia intuicja, ale w głębi serca wiedziałem, że ci dwoje pokochają się tak, jak ja ich kochałem.

Z każdą chwilą byłem szczęśliwszy, zwłaszcza kiedy wyobraziłem sobie krewetki i mój kaszmirowy kocyk, Olka i grę w piłkę, moją Polly, dwóch Tomaszów i małego Henry'ego, i oczywiście nie zapomniałem o cudownej Frani. Tak bardzo za nimi tęskniłem, z uśmiechem czekałem, aż mnie wypuszczą z transportera.

Jonathan postawił mnie w przedpokoju, otworzył drzwi, podniósł transporter i wkroczył do kuchni. Nadal byłem trochę naburmuszony, że idą na jakieś przyjęcie, ale kiedy przeszedł do saloniku, miauknąłem ze zdziwienia.

– Alfie! – Olek podbiegł do mnie. Zatrzymał się tuż przed Jonathanem.

Na ścianie wisiał kolorowy transparent, a przy stole stali: Frania, mały i duży Tomasz, Matt, Polly i Henry. Nie do wiary. Nie znali się, a byli tu, wszyscy razem.

– Przydybaliśmy cię, Alfie – stwierdził Matt ze śmiechem.

– Co to znaczy: przydybaliśmy? – zainteresował się Olek.

– Wiemy, że ma cztery domy. To znaczy, u nas nie mieszka, ale nas odwiedza – wyjaśniła Frania.

– Tak, Alfie, szukaliśmy cię wszędzie, narysowałem twój portret, ale nigdzie cię nie było i bardzo się martwiliśmy. A potem dowiedzieliśmy się, że zostałeś ranny. – Olek miał łzy w oczach.

– Olek, potrzymaj go, tylko ostrożnie. – Jonathan podał mnie chłopcu, a ten zaraz mnie pocałował.

Podeszła do nas Claire. Dziwnie się czułem, widząc wszystkie swoje rodziny razem. Wtulony w Olka przyglądałem się im uważnie. Polly wyglądała pięknie jak nigdy, była w o wiele lepszym humorze i lekko bujała Henry'ego na kolanach. Tomasz i Matt nic się nie zmienili. Frania była opanowana, jak zwykle, a mały Tomaszek chyba trochę urósł. Za to Claire prezentowała się wspaniale. Widziałem ją już wcześniej, u weterynarza, ale nie mogłem się jej porządnie przyjrzeć. Znowu rozkwitała, chyba nawet ociupinkę przytyła – mam oko na takie sprawy – jej policzki nabrały kolorów. Piękna, pomyślałem. I ona, i Jonathan. Cudowni.

Jonathan wziął mnie od Olka i ułożył na kocim pościu, które zazwyczaj stało u Claire. Obok postawili jedzenie – krewetki i łososia, najpyszniejsze rzeczy na świecie. Wszyscy się nade mną rozczulali i dawali mi prezenty. Jakbym miał urodziny! Olek i Tomaszek coś dla mnie narysowali – kota i samochód, bo dorośli powiedzieli im, że potrącił mnie samochód, kiedy przechodziłem przez jezdnię. Chcieli przy okazji ich dodatkowo przestrzec. Poczułem się trochę urażony; doprawdy, przemierzyłem pół Londynu i nic mi się nie stało! Co jak co, ale przez jezdnię umiem przechodzić.

– Musisz uważać, kiedy przechodzisz na drugą stronę ulicy – pouczył mnie Olek.

Jonathan mrugnął porozumiewawczo.

– Mamę dla ciebie jeszcze jeden prezent – oznajmił.

– Który już dawno temu powinieneś dostać – wtrąciła się Claire. Pochyliła się nade mną i delikatnie zdjęła mi obrózkę. Odczepiła od niej plakietkę, która łączyła mnie z Margaret, i wzięła inną, nową, a wszyscy zaczęli bić brawo. – Alfie, tu jest twoje imię i numery telefonów nas wszystkich, żebyś już nigdy się nam nie zgubił.

Mówi się, że koty nie płaczą, ale przysięgam wam, miałem łzy w oczach.

Ogarniało mnie coraz większe zmęczenie. Wszyscy byli dla mnie niesamowicie dobrzy, powtarzali, jak bardzo za mną tęsknili. Myślałem, że z radości pęknie mi serce. Cztery moje rodziny przy jednym stole u Jonathana – to najpiękniejszy prezent.

Ustalali grafik. Przez pierwsze dni rekonwalescencji miałem mieszkać u Claire, która specjalnie wzięła wolne w pracy, żeby mnie pielęgnować. Jonathan oznajmił, że też poprosił o urlop, tylko później, żeby mieć na mnie oko. Podobno musiałem regularnie zażywać lekarstwa i odpoczywać.

– Aha, jeszcze jedno, szuka cię miła kotka z sąsiedniego domu – oznajmiła Claire.

Bardzo chciałem, żeby Tygryśka też mnie odwiedziła. Wtedy moja rodzina i przyjaciele byłiby w komplecie.

W końcu – kiedy Olek usłyszał, że po szkole może mnie odwiedzać, a Polly obiecała, że wpadną z Henrym ze mną posiedzieć, gdyby Claire chciała iść na zakupy, i kiedy wszyscy wygłaskali mnie i wypieścili – poszli sobie.

Jonathan zaniósł mnie do Claire i ułożył na dole. Tłumaczyli, że nie dam rady wejść po schodach, i pewnie mieli rację, bo byłem jeszcze bardzo słaby.

– Napijesz się czegoś? – zapytała Claire Jonathana, gdy już szykowałem się do snu.

– Chętnie. A zamówimy coś na wynos? Bo wiesz, umieram z głodu, więc pomyślałem, że tak dla towarzystwa... – dodał i mógłbym przysiąc, że się przy tym zarumienił.

– Jasne. Cieszę się, że już jest w domu. – Popatrzyła na mnie.

– No, w jednym z domów – poprawił ją Jonathan i roześmiali się oboje.

Ucieszyłem się, słysząc w ich głosach coś, co czułem w sobie – miłość. Oni jeszcze o tym nie wiedzieli, ale ja – owszem. Bardzo mądry ze mnie kot.

Epilog



Byłem z wizytą u Tygryski. Próbowwała trochę ze mną ćwiczyć, bo w końcu sama przyznała, że musi odrobinę schudnąć. Twierdziła, że jak mnie nie było, to z rozpaczony cały czas jadła. To miłe, że się o mnie martwiła, ale moim zdaniem jest po prostu leniwa.

Od tamtego, jak to się teraz mówiło, incydentu, minęło już wiele miesięcy. Nie zdawałem sobie sprawy, że mój plan, choć niebezpieczny – o mały włos skończyłby się moją śmiercią – przyniesie takie skutki, o wiele lepsze, niż kiedykolwiek śmiałem przypuszczać. Mijały kolejne pory roku, powoli wracałem do dawnej formy. I znowu przyszło lato, świeciło słońce, wieczory były ciepłe i jasne. Przetrwalem wszystko – atak Joego, paskudną zimą, podczas której nie chciało mi się wytykać nosa z domu, choć oczywiście w końcu brałem się w garść i wychodziłem. Wróciłem do starych zwyczajów. Odwiedzałem wszystkich – Jonathana, mieszkania pod numerem 22 i oczywiście Claire. Znowu stałem się kotem wielorodzinnym, ale trochę innym, bo sytuacja była inna. A teraz zmieniła się jeszcze bardziej.

Frania, Tomasz i chłopcy nie mieszkali już przy Edgar Road. Na szczęście wyprowadzili się niedaleko, za róg, do większego mieszkania. Rzadko ich odwiedzałem, bo to jednak kawał drogi, za to oni ciągle przesiadywali u Polly i Matta albo u Jonathana i Claire. Zaprzyjaźniłem wszystkie swoje rodziny, co niesamowicie mnie cieszyło; polubili się, a tego chciałem najbardziej.

Tomasz został współnikiem w restauracji i szło mu doskonale. Olek świetnie sobie radził w szkole i znał angielski lepiej niż rodzice. Mały Tomaszek mówił coraz więcej i już prawie bez akcentu. Frania pracowała w sklepie i często przynosiła mi ryby w prezencie. Twierdziła, że już coraz mniej tęskni za domem w Polsce.

Polly czuła się o wiele lepiej i polubiła rolę mamy. Rósł jej brzuch. Wytłumaczyli mi, że ma w nim dziecko – super, jeszcze jeden mały człowiek dla mnie do zabawy! Byli bardzo szczęśliwi z Mattem i synkiem. Henry już chodził i często ciągnął mnie za ogon, ale tak dla żartu, więc starałem się zbytnio nie złościć. Największą zmianą było to, że teraz mieszkali naprzeciwko Jonathana. Ich dom nie był tak duży jak jego, ale większy niż poprzedni i fajny dla rodziny.

Claire i ja zamieszkaliśmy na stałe pod numerem 46, u Jonathana. Mój pomysł, żeby ich wyswatać, wypalił, choć trochę to trwało. I to był najlepszy plan ze wszystkich, choć właściwie zrealizowali go sami, bez mojej pomocy. Razem wydawali się bardzo szczęśliwi. Owszem, Jonathan czasami marudził, wtedy Claire się z niego nabijała. Nie bała się go wcale, a on traktował ją – i mnie – po królewsku. Tasha bez przerwy wpadała z wizytą, zapraszali też innych

znajomych, oraz – ma się rozumieć – rodzinę Frani, Polly i Matta. Dom tętnił życiem, dokładnie tak, jak powinien.

Claire i Jonathan nazywali mnie kocim cudotwórcą, że niby tyle zrobiłem. Pochlebiali mi to bardzo; słuchając ich, można by pomyśleć, że zbawiłem świat, a nie po prostu pomogłem czterem rodzinom. Ale najwyraźniej tak właśnie było i moje życie stało się lepsze, bogatsze.

Wypracowaliśmy sobie rytm, który odpowiadał nam wszystkim. Miałem za co dziękować losowi: za przyjaciół, za rodzinę, za miłość, która mnie otacza. Trudne chwile na ulicy, ucieczki przed psami i samochodami, walka o każdy kęs i schronienie należały do przeszłości; czasami zastanawiałem się nawet, czy naprawdę to przeżyłem. Ale tak było; wiedziałem to, bo przeszłość nigdy mnie nie opuszczała. Łzy i lęki, historie moich rodzin, to wszystko stało się częścią mnie. Nigdy nie zapomnę Joego i tego, co mi zrobił, bo choć bardzo dużo mnie to kosztowało, zyskałem jeszcze więcej.

Nigdy nie zapomnę, jak Olek wrócił ze szkoły z piątką i powiedział, że to za wypracowanie o najlepszym przyjacielu – o mnie. Nigdy nie zapomnę, jak Frania wyznała, że na początku w Anglii było jej bardzo ciężko, ale dzięki mnie dawała radę. Nigdy nie zapomnę, jak Polly szepnęła, że ją uratowałem – i Claire także. Nigdy nie zapomnę, jak Jonathan żartował ze mnie, że zrobiłem z niego kociarza, i opowiadał Claire, jak go wyrwałem ze szponów strasznej Philippy. Nigdy nie zapomnę swojej długiej podróży do nich wszystkich i mogę tylko mieć nadzieję, że ciężkie czasy już minęły, i teraz mogę wreszcie zacząć odpoczywać.

Bo nadal najbardziej na świecie lubię być kotem kanapowym, a teraz mam do dyspozycji tyle kanap, ile trzeba. I kolan. Czasem w nocy wychodzę na dwór, patrzę w gwiazdy. Spoglądam w niebo i mam nadzieję, że gdzieś tam są Agnes i Margaret i do mnie mrugają, bo choć odkąd je straciłem, zrobiłem mnóstwo wspaniałych rzeczy, to wiem, że dokonałem tego dzięki ich miłości i dzięki temu, czego mnie nauczyły. Jestem lepszym kotem dzięki nim i temu wszystkiemu, przez co przeszedłem. I już rozumiem, że właśnie takie jest życie.

Podziękowania

Pisanie tej książki było przyjemnością także dzięki ekipie, z którą przyszło mi nad nią pracować. Szczególne podziękowania dla wspaniałej redaktorki, Helen Bolton; nasza współpraca była bardzo owocna, a ty okazałaś się inspirującą przewodniczką i wsparciem przy mojej pierwszej powieści. Całej ekipie wydawnictwa Avon dziękuję za entuzjazm i wiarę, które dodawały mi skrzydeł. Mam też szczęście mieć wspaniałe agentki – ogromne podziękowania dla Kate Burke i wszystkich z agencji Diane Banks Associates.

Moi bliscy dodawali mi otuchy, podsuwali smakowite kąski, pozwalali, żebym pisała do późna w noc. Przyjaciele ścigali mnie na ziemię i słuchali pierwszych wersji wszystkich pomysłów. Wszyscy jesteście częścią tej książki.

I na zakończenie – słowo o kotach, które zawsze stanowiły część mojej rodziny. Dziękuję wam wszystkim – byliście dla mnie jak rodzina, jak przyjaciele; byliście moim natchnieniem i wsparciem. Nie jesteście tylko zwierzętami; znaszycie wiele więcej.

Przypisy

^[1] Charakterystyczne umaszczenie zwierząt: czarne z rudymi i kremowymi przebłyskami (wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).

^[2] Ile masz lat?/Sześć, a Tomaszek dwa./Bardzo dobrze. Gdzie mieszkasz?/W Londynie. Jesteśmy z Polski, ale Polska jest daleko.

